

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 11/602

1997



• « *La Culture* » • *Revue mensuelle* •

SMECZ: Z UKOSA... Z ROSJI

J. WIDACKI: STOSUNKI POLSKO-LITEWSKIE

G.W. KOŁODKO: POST SCRIPTUM

K. DZIEWANOWSKI: WIZJE CZASU

I HISTORII

J.J. PLUTA: JAK UMIERAŁA FORMACJA

SPIS RZECZY

K.W. Studnicki-Gizbert:	<i>Pamięć społeczeństw</i>	3
SMECZ:	<i>Z ukosa... z Rosji</i>	15
WIERSZE		
Leszek Szaruga:	<i>Już idzie; Przeinaczenie</i>	34
Teresa Tomsia:	<i>Z zapisków nie-pewnego wyborcy</i>	35
Grzegorz Wróblewski:	<i>Robespierre (1758-94); Ostatnie kuszenie</i>	36
ARCHIWUM POLITYCZNE		
Jan Widacki:	<i>Stosunki polsko-litewskie (Od końca lat 80-tych po dzień dzisiejszy)</i>	37
KRAJ		
Grzegorz W. Kołodko:	<i>Post scriptum</i>	72
SPRAWY I TROSKI		
Mariusz Kubik:	<i>Prof. Leszek Balcerowicz o Związku Ludności Narodowości Śląskiej</i>	79
WYWIADY „KULTURY”		
Henryk Ratajczak:	<i>O sytuacji nauki na Białorusi. Rozmowa z akademikiem Rostislavem G. Zhbankovem</i>	81
SĄSIEDZI		
Bohdan Osadczyk:	<i>Ukraina na rozdrożu</i>	85
KRONIKA KULTURALNA		
Stefan Abner:	<i>Z nordyckiej perspektywy – Literacki Nobel 1997 – uwagi czytelnika</i>	93
—	<i>Lista członków wspierających Towarzystwo Opieki nad Archiwum Instytutu Literackiego w Paryżu</i> ..	99
WOLNA TRYBUNA		
Janusz J. Pluta:	<i>Jak umierała formacja. Rozważania o przegranej</i>	102

Ciąg dalszy na str. 160

P. 9787 II eqz

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Listopad/Novembre 1997

INSTYTUT  **LITERACKI**

WPLĄTY NA FUNDUSZ «KULTURY»

Rafał Bubnicki, Wrocław	F. 500,00
Dla uczczenia pamięci inż. Fryderyka Topolskiego i dr. Andrzeja Semkowa – Wojciech, Caroline i Noemi Topper- man, Downsview, ON (Kanada)	F. 250,00
Ilse Maybach, Heilbronn/N, (Niemcy) – po raz 34-ty	F. 300,00
François Prause, Chiangmai (Tajlandia) – po raz 43-ci	F. 300,00
Barbara i Jerzy Sawiccy, Deep River (Kanada) – w pierwszą rocznicę śmierci i dla uczczenia pamięci nieodżałowanej Marii (Nusi) Gawron z Tarnowa, zmarłej w Chicago, której sprawy polskiej kultury były zawsze bardzo drogie – dol. can. 500,00	F. 2.130,00

DZIĘKUJEMY

Pamięć społeczeństw

„Jesteśmy tym co pamiętamy”, ale to co pamiętamy zmienia się ze zmianą pokoleń. Wielkie zjawisko historyczne, które weszło głęboko w świadomość jednego pokolenia, staje się prawie zapomniane w następnym pokoleniu. Pamięć i interpretacje doświadczeń decydują o sposobie myślenia, zatem zanik pamięci i zmiana interpretacji uzyskanych doświadczeń powodują zmiany światopoglądu.

Pamięć społeczeństwa, tak jak pamięć indywidualna, wyrabia się pod wpływem wielkich wydarzeń. Ponieważ w kształtowaniu się światopoglądu ogromny wpływ mają przeżycia młodości, zatem pamięć zdarzeń, które wpłynęły na losy młodych ludzi jest jednym z czynników decydujących o charakterze danego pokolenia i jego ideologii. Przyjmując tę hipotezę można rozróżnić trzy fazy fali pamięci społecznej: 1) tworzenie się „pamięci pokolenia” w wyniku przeżyć ludzi, którzy mieli 15 do 20 lat w okresie wydarzenia historycznego, które wpłynęło na ich sposób myślenia; 2) objęcie stanowisk kierowniczych przez tę grupę (normalnie związane z wiekiem 35-65 lat); i 3) stopniowe zacieranie się pamięci historycznej w miarę starzenia się pokolenia wychowanego pod wpływem danego zjawiska. Oznacza to, że pamięć człowieka, który miał 15-20 lat w okresie wielkiego wydarzenia zaczyna mieć zasadniczy wpływ na myślenie i działanie społeczeństwa 15 albo 20 lat później. Następnie, mniej więcej w trzydzieści lat po wielkim wydarzeniu historycznym, ilość ludzi na stanowiskach kierowniczych, którzy wydarzenia tego nie przeżyli, zaczyna przewyższać liczbę tych, którzy posiadają o tym wydarzeniu pamięć bezpośrednią; tak więc zmiana pokoleń

i zmiana grupy kierowniczej jest związana ze zmianą świadomości powstałej w wyniku pewnego zdarzenia historycznego. Na przykład w Kanadzie w 1951 roku 100% członków „grupy kierowniczej” miało bezpośrednią pamięć o czasach kryzysu lat trzydziestych; grupa ta stopniała do 44% w 1971, a w roku 1981 tylko 12% „grupy kierowniczej” miało „pamięć bezpośrednią” o czasach kryzysu. W latach siedemdziesiątych i na początku osiemdziesiątych nastąpiło zasadnicze przesunięcie ideologiczne, związane za „zmianą pokolenia”.

Definicje demograficzne są z natury rzeczy bardzo przybliżone. Wśród przywódców intelektualnych i politycznych mamy ludzi o kilkanaście, a nawet dwadzieścia parę lat starszych niż 65 lat; są też ludzie, którzy mając 55 lat wycofali się z czynnego życia, aby poświęcić się grze w golfa i turystyce, ale mimo oczywistych uproszczeń schemat łączący zjawiska demograficzne i pamięć historyczną jest pomocny w zrozumieniu przyczyn zmian ideologicznych związanych z wymianą pokoleń, co potwierdza historia polityczna i intelektualna XX stulecia.

Pierwsza wojna światowa. Pierwsza wojna światowa była najważniejszym wydarzeniem pierwszego ćwierćwiecza. Wielkie straty ilościowe i jakościowe poniesione przez Francję i Wielką Brytanię sprawiły, że nie duma ze zwycięstwa, ale pamięć o poniesionych ofiarach stała się dominującym elementem świadomości społecznej tych narodów. W wyniku tych ogromnych strat, powszechnie przypisywanych niekompetencji dowództwa (albo przynajmniej niezrozumieniu przez generałów konsekwencji nowoczesnej techniki) nastąpiła fala pacyfizmu dominująca w latach międzywojennych, oraz kryzys zaufania do elit wojskowych i politycznych. Ani we Francji, ani w Wielkiej Brytanii dowódcy z I-ej wojny nie odegrali roli politycznej (wyjątkiem był marszałek Pétain, ale jego wejście na scenę polityczną było spowodowane klęską 1940 roku). Z drugiej strony wspólna niedola w okopach stworzyła poczucie solidarności społecznej. Trzech premierów Wielkiej Brytanii (Clement Attlee, Anthony Eden i Harold Macmillan) walczyło na froncie jako oficerowie liniowi, co nie pozostało bez wpływu na ich późniejsze zapatrywania. Attlee stał się socjalistą, a konserwatysta Harold Macmillan

był pod koniec życia w opozycji do neokonserwatyizmu Margaret Thatcher, przypominając w swych przemówieniach o zobowiązaniach kraju w stosunku do górników i robotników, których ojcowie walczyli na frontach, a po wycofaniu się z czynnej polityki, wybrał jako tytuł lordowski Earl of Stockton, składając tym hołd swoim byłym podkomendnym z miejscowości górniczej.

Nie obiektywna ocena zjawisk, ale pomieszanie prawdy i mitów wpływają na ocenę wielkich wypadków. Wskazuje na to różnica między oceną doświadczeń I-ej wojny w Niemczech i we Francji, i Wielkiej Brytanii. Wprawdzie w latach trzydziestych Niemcy przeżywały falę pacyfizmu, ale dominującym mitem była legenda o „niezwyciężonej armii zdradzonej przez domowy rozkład” i wspomnienia o zwycięstwach Hindenburga i Ludendorfa na froncie wschodnim oraz „prawie udanej” (aczkolwiek obiektywnie bezsensownej) ofensywie na froncie zachodnim. O ile dla Francji i Wielkiej Brytanii I wojna weszła do pamięci społecznej jako bezsensowna rzeź, w świadomości niemieckiej była ona „wojną nie wykorzystanych możliwości” (tytuł wpływowej historii wojny gen. von Hoffmana), w Polsce pamięć o I-ej wojnie, a zwłaszcza o wojnie 1920 roku łączyła się z pamięcią o wyzwoleniu. W krajach anglosaskich 11 listopada obchodzony jest jako Memorial Day, w Polsce jako Święto Niepodległości. W naszej pamięci historycznej nazwiska dowódców z tego okresu łączyły się z odzyskaną niepodległością, co tłumaczy nie tylko autorytet Piłsudskiego, ale też Hallera, Sikorskiego, Sosnkowskiego i Śmigłego-Rydza (tego ostatniego do 1939 roku).

Pokolenie I-ej wojny stało się „pokoleniem przywódczym” w latach od 1925-35 do lat pięćdziesiątych; procent ludzi tego pokolenia zaczął się kurczyć w późnych latach czterdziestych, aczkolwiek wybitni członkowie tego pokolenia odgrywali poważną rolę w późniejszym wieku (na przykład Attlee przestał być premierem w wieku 68 lat, a Macmillan w wieku 67 lat).

Wielki kryzys lat trzydziestych. „Wielki kryzys” lat trzydziestych nastąpił raczej wcześniej po zakończeniu I-ej wojny i przyspieszył zmiany społeczne. O ile za rzeź na

froncie można było winić generałów, za kryzys lat trzydziestych winiono słusznie kierownicze koła polityczne i gospodarcze. Mit „twardej waluty”, walka z deficytami i próby zahamowania kryzysu przez obcinanie budżetu były bezsensownym ekonomicznym i przyczyniały się do katastrofalnego wzrostu bezrobocia. W Niemczech zarówno gwałtowna inflacja jak też brutalna deflacja zrujnowały klasę średnią i doprowadziły do nędzy klasę robotniczą. W Ameryce Północnej masowe bezrobocie powodowało „marsze głodowe” i wrzenie społeczne. Nie jest zatem dziwne, że lata trzydzieste były okresem załamania się zaufania do elit politycznych i gospodarczych i pogrzebaniem na mniej więcej czterdzieści lat ortodoksyjnego konserwatyzmu. Innym rezultatem pamięci o kryzysie była „psychologia oszczędzania” głęboko zakorzeniona wśród ludzi pokolenia, które kryzys przeżyło, co spowodowało zjawisko wysokiej stopy oszczędności w latach powojennych, która ułatwiła finansowanie powojennych inwestycji. Pracując w latach pięćdziesiątych w Kanadzie pamiętam opowieści o latach kryzysowych i konieczności oszczędzania często powtarzane przez ludzi na kierowniczych stanowiskach. Był to też okres, kiedy przedmiotem dumy ministerstw było niewydatkowanie części uchwalonego budżetu – trudno o większy kontrast między psychologią tych czasów a psychologią lat siedemdziesiątych, ale w latach siedemdziesiątych ludzie pamiętający kryzys stali się mniejszością!

Kryzys gospodarczy silnie uderzył w Polskę. Tak jak na Zachodzie, kolejne polskie rządy, po likwidacji powojennej inflacji, prowadziły zabójczą politykę przewartościowania złotego i cięć budżetowych. Kryzys spowodował radykalizację robotników i strajki chłopskie¹. Mimo wielu cech wspólnych między doświadczeniami „Wielkiego kryzysu” w Polsce i w krajach zachodnich, trzeba podkreślić poważne różnice: wiele problemów społecznych i gospodarczych Polska odziedziczyła po zaborcach i kraj ucierpiał przez wielkie zniszczenia wojenne. Odbudowa państwa i zniszczonej gospodarki była powodem dumy narodowej, a „silna złotówka” stała się symbolem postępu i stabilizacji.

1. Pamiętniki starszych dygnitarzy PRL pochodzących z klasy robotniczej podkreślają, że otaczająca ich, w okresie młodości, nędza robotników była źródłem ich socjalizmu albo komunizmu.

Tak jak na Zachodzie dominowała w Polsce ortodoksja ekonomiczna zarówno na uniwersytetach jak i w kołach rządowych². Ale tak jak na Zachodzie wyrastało pokolenie młodych, nowoczesnie myślących ekonomistów, z których Michał Kalecki i Oskar Lange uzyskali światową sławę (trzeba jednak dodać, że najbardziej twórczym okresem Langego był okres jego profesury w Chicago, a Kalecki był lepiej znany w Wielkiej Brytanii niż w Polsce). Trudno powiedzieć aby sprawowało władzę w Polsce pokolenie wychowane w okresie niepodległości i kryzysu – można cytować liczne przykłady nowoczesnego myślenia i realizmu wśród wybijających się w tym czasie młodych publicystów i naukowców, ale pokolenie to zostało wykruszone przez wojnę i okupację, a następnie zostało odsunięte od wpływów politycznych w okresie stalinizmu i PRL-u, albo zmuszone do życia na emigracji.

Druga wojna światowa. Myśląc o II wojnie zwykle myślimy o bohaterstwie walczących, bitwach i frontach. Nie należy jednak zapominać, że kraje anglosaskie zawdzięczały swe zwycięstwo skutecznej mobilizacji przemysłu i pełnemu wykorzystaniu ogromnych zasobów ludzkich i materiałowych. Dla utrzymania na froncie jednego żołnierza albo lotnika potrzeba było około 20 ludzi pracujących w przemyśle zbrojeniowym, w marynarce handlowej i służbach zaopatrzenia. Wysiłek ten wymagał stworzenia nowych technik zarządzania, planowania i programowania, zastosowania metod naukowych i improwizacji w organizacji nowych struktur administracyjnych. Pamięć o wojnie stworzyły nie tylko przeżycia na froncie, ale też przeżycia milionów cywili pracujących w przemyśle. Triumfy organizacji przemysłowej i wzorowego zaopatrywania sił zbrojnych nie pozostały bez echa. Technokraci, którzy się wybili w okresie wojennym, stali się poszukiwanymi menadżerami przemysłu (wystarczy wspomnieć

2. Największymi ówczesnymi autorytetami byli profesor A. Krzyżanowski z Krakowa, bezkompromisowy zwolennik „szkoły wiedeńskiej” i prof. E. Taylor, który z Krakowa przeszedł do Poznania. Za przykład ortodoksji w myśleniu sterników polskiej gospodarki może służyć książka „Poland and her Economic Development” Romana Góreckiego, prezesa Banku Gospodarstwa Krajowego, wydana w 1935 roku z fotografią prezydenta na pierwszej stronie.

Roberta McNamarę, który uzyskał sławę stosując metody kwantytatywne w organizacji zaopatrzenia, co mu otworzyło karierę u Forda i następnie pozycję sekretarza obrony i prezesa Banku Światowego). Doświadczenie wojenne stworzyło przekonanie, że jeśli sprawna organizacja i mobilizacja zasobów narodowych zapewniły zwycięstwo w wojnie, to nowoczesne państwo powinno być w stanie zmodernizować przemysł, zapewnić pełne zatrudnienie i stworzyć lepsze warunki społeczne. Przeświadczenie o możliwościach państwa i o konieczności jego aktywnej roli odegrało kluczową rolę w ideologii powojennej i to nie tylko w krajach anglosaskich (na przykład we Francji ogromną rolę w modernizowaniu gospodarki odegrali technokraci z *Electricité de France*, *Commisariat du Plan* oraz *Ministère de Logement et d'Équipement*). Jednym z ważnych powodów zwycięstwa ideologii aktywnego państwa (reprezentowanej przez demokratyczną lewicę i centrum) była pamięć o triumfach gospodarki wojennej oraz o wzorowo przeprowadzonej demobilizacji połączonej z programami edukacyjnymi, co pozwoliło na masowy awans społeczny. Pamięć o kryzysie i wspólnym wysiłku w czasie wojny umożliwiła łatwe przyjęcie ideologii państwa opiekuńczego. W późniejszych latach siedemdziesiątych i na początku lat osiemdziesiątych pokolenie pamiętające kryzys i wojnę zaczęło schodzić ze sceny i zmiana pokoleń była połączona ze zmianą dominującej ideologii.

Doświadczenia krajów „trzeciego świata” były odmienne od krajów zachodnich. Nie II wojna, ale powojenna dekolonizacja były dla nich wydarzeniem zasadniczym. Dekolonizacja odbyła się w czasie przesunięcia się na lewo panującej ideologii w krajach zachodnich, gdzie wychowywali się przyszli przywódcy nowych państw. Na przykład Pandit Nehru, wychowany w Wielkiej Brytanii, stał się socjalistą i zwolennikiem gospodarki planowej i ta ideologia przetrwała w Indiach, przynajmniej do śmierci Indiri Ghandi. Aczkolwiek wiele nowych państw przyjęło nazwę „republik demokratycznych” albo „ludowej”, w praktyce formalne przyjęcie ideologii lewicowej oznaczało tylko zastąpienie urzędników kolonialnych przez groteskowo rozbudowaną lokalną biurokrację i obsadę posad przez ludzi pochodzących z rządzącego

plemienia w przedsiębiorstwach należących do firm z dawnych metropolii. Nawet idealisci, jak na przykład Julius Nyerere w Tanzanii, okazali się bezradni w stosowaniu europejskiego socjalizmu w Afryce. Z czasem etykieta „republika demokratyczna” oznaczała tylko, że dane państwo otrzymywało sprzęt wojskowy i doradców z ZSSR.

Zasadniczą zmianą w krajach „trzeciego świata” było odejście od władzy przywódców niepodległościowych. Proces ten zaczął się w późnych latach sześćdziesiątych i zakończył pod koniec lat osiemdziesiątych kiedy pokolenie twórców nowych państw zeszło ze sceny³. Wyrośli nowe pokolenie, wychowane już w niepodległych państwach, przeważnie na miejscowych uniwersytetach, mniej skłonne do marzeń o „nowym wolnym świecie”, zapominające o walce z kolonializmem, ale świadome powszechnej pokolonialnej korupcji i trudności gospodarczych. Stratę pamięci historycznej ilustruje następujący przykład. W czasie pobytu w Nigerii poznałem twórczość Wole Soyinka (laureata Nobla) i jego wspomniał tragedię „Śmierć królewskiego koniuszego”. Tematem tragedii jest konflikt wynikający z braku wzajemnego zrozumienia pomiędzy tradycyjnym światem Nigerii i administracją kolonialną. Problem starcia różnych kultur, wzajemnie się nie rozumiejących i nie chcących się rozumieć, jest problemem uniwersalnym, co jest powodem dlaczego tragedia Soyinka zrobiła na mnie tak wielkie wrażenie. Mój znajomy, bardzo dobrze wykształcony Nigeryjczyk, interpretował tę sztukę jako potępienie tradycjonalizmu, a występującego tam Brytyjczyka określił jako typowego niedołęznego biurokrate, nie uznającego różnic kulturowych i rasowych. Epoka kolonialna zeszła z jego pamięci, pozostał problem walki z tradycjonalizmem, a problem starć pomiędzy odmiennymi cywilizacjami wcale go nie interesował.

3. Z najważniejszych postaci: Kwana Nkrumah (Ghana) stracił władzę w 1966 r.; Nehru (Indie) zmarł w 1964 r. a jego córka Indira Ghandi została zamordowana w 1984 r.; Jomo Kenyatta (Kenya) zmarł w 1978, a Julius Nyerere (Tanzania) w 1985 r. Ostatni przywódcy niepodległościowi w Afryce (w Côte d'Ivoire, Malawi i Zambii) odeszli na początku bieżącego dziesięciolecia.

Pokolenie powojenne. Trzydziestolecie 1914-1945 było okresem wielkich wydarzeń nie mających na Zachodzie odpowiedników w latach powojennych. Nie oznacza to jednak braku zjawisk historycznych, które wpłynęły na kształtowanie świadomości powojennego pokolenia. Najważniejszymi takimi wydarzeniami były: zrzućenie bomby atomowej, wojna wietnamska, wrzenia studenckie, rewolucja obyczajowa lat sześćdziesiątych i kryzys energetyczny lat siedemdziesiątych.

Zniszczenie Hiroshimy i Nagasaki miało miejsce pod koniec II wojny światowej, ale konsekwencje możliwej wojny atomowej weszły do świadomości społecznej w okresie dorastania powojennego pokolenia. Wojna atomowa i jej konsekwencje były poza obrębem dotychczasowych doświadczeń, dlatego pokolenie nie obciążone doświadczeniem historycznym łatwo mogło zrozumieć jej możliwe konsekwencje. Pokolenie II wojny światowej myślało o bombie atomowej jako o bardziej zabójczej wersji nalotów (liczba ofiar bombardowania Hamburga, Drezna i Tokio przewyższała liczbę ofiar Hiroshimy), natomiast pokolenie powojenne myślało o masowym zrzućaniu bomb i sile kilkunastokrotnie większej niż bomba zrzućona na Hiroshimę, wyciągając logiczny wniosek, że wojna atomowa oznacza zniszczenie świata.

Wojna w Wietnamie i okres wrzeń studenckich były zjawiskami połączonymi w czasie, a kryzys wywołany wzrostem cen nafty nastąpił w parę lat po tym. Zjawiska te spowodowały załamanie się wiary w „starsze pokolenie” i zaostriżyły konflikt pomiędzy pokoleniami. Istniały różnice zdań pomiędzy „starszym” i „młodszym” pokoleniem na temat możliwości wojny atomowej; powstawały konflikty wywołane „rewolucją obyczajową” i odrzuceniem konwencji dotyczących ubrania i zachowania. „Starsze pokolenie” wydawało się nie rozumieć ani zagrożenia istnienia świata, ani bezsensu ofiar wojny prowadzonej w imieniu doktryny „zachowania równowagi sił”, ani oczywistego dla młodego pokolenia piękna rewolucji seksualnej, nowej muzyki itp. Gwałtowny i niespodziewany wzrost cen nafty w latach siedemdziesiątych – tak zwany „kryzys energetyczny” – spowodował kryzys gospodarczy, wzrost bezrobocia i inflację. Nie był to kryzys podobny do kryzysu lat trzydziestych, ale

tym niemniej kryzys niespodziewany, któremu ówczesne rządy nie umiały podołać, co pogłębiło kryzys zaufania do warstw kierowniczych i przyczyniło się do odrzucenia przyjętej przez nie ideologii. Dodatkowym czynnikiem było oczywiście niepowodzenie wielkich programów społecznych w końcu lat sześćdziesiątych (na przykład „wojny z biedą” w USA za czasów prezydentury Johnsona).

Na początku lat siedemdziesiątych, obserwując radykalizację młodzieży spodziewano się radykalizacji społeczeństwa i możliwego triumfu „nowej lewicy”. Wypadki potoczyły się całkowicie odmiennie. Wprawdzie dzięki „pokoleniu lat sześćdziesiątych” ochrona środowiska stała się jednym z powszechnie przyjętych celów polityki, ale pokolenie Woodstocku (igrzysk młodzieżowych zdominowanych przez „hippies”), zamieszek studenckich w Paryżu i podobnych manifestacji w innych krajach zachodnich, gdy zaczęło dochodzić do stanowisk kierowniczych, przyjęło ideologię „nowej prawicy”, antyetytatuizmu i neoliberalizmu. Zjawisko to można tłumaczyć jako konsekwencję kryzysu zaufania w stosunku do pokolenia rodziców, wychowanego na pamięci kryzysu i wojny. Istotnym też było wyczerpanie intelektualne centrum-lewicy i pojawienie się dobrze wypracowanych teorii neoliberalnych, podczas gdy „nowa lewica” lat sześćdziesiątych nie wyłoniła jakichkolwiek idei pozytywnych z wyjątkiem podniesienia troski o ochronę środowiska. „Nowa lewica”, kwestionując legitymizm ustroju społecznego i ekonomicznego kwestionowała równie silnie legitymizm państwa, a jej programy były programami manifestacji i konfrontacji, a nie reform. Istniały też bardziej materialistyczne powody zmian ideologicznych. Po wojnie nastąpił masowy awans społeczny, ale dzieci pokolenia korzystającego z tego awansu interesowała teraźniejszość, a nie przeszłość – znalezienie dobrze płatnej pracy i zwiększenie konsumpcji (chęć zwiększenia konsumpcji kolidowała z wysokimi podatkami „państwa opiekuńczego”). Zmiany strukturalne w okresie powojennym zmniejszyły liczebność dawnej klasy robotniczej i tradycyjnej drobnej burżuazji i stworzyły szybko wzrastającą „nową klasę” specjalistów utożsamiającą się z kierownictwem i biurokracją przedsiębiorstw. Masowe udostępnienie zakupów akcji poprzez fundusze inwestycyjne wiązały „nową

klasę" z kapitalizmem finansowym. Czy bez kryzysu zaufania i usunięcia z pamięci społecznej kryzysu i II wojny zmiany ideologiczne nastąpiłyby równie szybko i radykalnie jest pytaniem bez odpowiedzi, ale fakt, że zmiany ideologiczne i „wymiana pokoleń” nastąpiły w tym samym czasie sugeruje związek między tymi wydarzeniami.

Zmiany pokoleniowe w Polsce. Ewolucja polityczna i społeczna w Polsce była całkowicie inna niż na Zachodzie. Tym niemniej jednak istnieją te same elementy demograficzne i podobna zależność między pamięcią bezpośrednią jednostek i pamięcią społeczną, dlatego warto przytoczyć parę podstawowych danych o polskich pokoleniach.

● Pokolenie pamiętające okres przedwojenny (ludzie mający w 1994 roku lat 80 i więcej): 2 % ogółu ludności (procent mężczyzn jest nieco niższy). Z wyjątkiem nielicznych jednostek jest to grupa, która wpływa minimalnie na światopogląd społeczeństwa.

● Pokolenie pamiętające wojnę i okupację (ludzie mający w 1994 roku więcej niż 65 lat): 9,4%. Grupa ta spadnie do 3% w roku 2000. Trzeba też podkreślić, że 37% Polaków w wieku powyżej 15 lat to dzieci rodziców nie pamiętających wojny, zatem coraz bardziej zaciera się nawet „pamięć pośrednia” powstająca z opowiadań rodziców.

Mała liczebność grupy pamiętającej przedwojenną Polskę, wojnę i okupację tłumaczy dlaczego z historycznych wielkich partii (Stronnictwa Narodowego, PPS, Stronnictwa Ludowego i „piłsudczyków”) tylko Stronnictwo Ludowe przetrwało do obecnych czasów. Koniec „piłsudczyków” i „postpiłsudczyków” jest zjawiskiem naturalnym, ale Stronnictwo Narodowe i PPS były wielkimi stronnictwami w II Rzeczypospolitej i odgrywały poważną rolę w czasie konspiracji i na emigracji, a trudno uważać za prawdziwych spadkobierców tych stronnictw obecnie istniejące grupy i grupki starające się nawiązać do ich dawnych tradycji.

Wśród grupy pamiętającej przedwojenną Polskę i wojnę warto by było zidentyfikować ludzi związanych z dawnymi kresami, ze Lwowem i Wilnem. Nie dysponując potrzebną statystyką, szacunek tej grupy musi być bardzo przybliżony. Przypuszczalnie ludzie ci stanowią mniej niż 1,5% żyjących w kraju Polaków. Podobny procent stanowi ludność Niemiec

związanych bezpośrednią pamięcią z naszymi obecnymi ziemiami zachodnimi. Są to obserwacje ważne bowiem dotyczą emocjonalnego podłoża stosunków polsko-niemieckich, polsko-ukraińskich i polsko-litewskich.

● Pamięć o przeszłości komunistycznej. Nie można mówić o „Polsce komunistycznej” (PRL i okres bezpośrednio po wojnie) jako o jednolitym okresie. Po okresie silnego ucisku „epoki stalinowskiej” nastąpiły poważne zmiany. Z wolna, nieśmiało i ze zwrotami miała miejsce pewna liberalizacja, albo raczej ustalenie *modus vivendi* między reżimem i rządzonym przez niego społeczeństwem. Punktem zwrotnym był rok 1956. Dlatego w rozważaniach o „pamięci społecznej” w PRL trzeba uwzględniać różnicę między okresem stalinizmu (włączając lata po śmierci Stalina, w których system stalinowski był kontynuowany), a następnymi latami. W roku 1994 tylko 20,5% ludzi w Polsce miało powyżej 14 lat, gdy okres stalinowski i poststalinowski się skończył. Oznacza to, że dla większości Polaków najgorsze lata ucisku nie są konieczne częścią pamięci o PRL.

Większość Polaków odnosi się do PRL negatywnie. Ale nasuwają się pytania „jaka większość” i „jak negatywną jest pamięć o PRL?”. Pewne światło na te zagadnienia rzucają wyniki wyborów. W wyborach prezydenckich w 1990 roku 32,3% wyborców głosowało w pierwszej turze na kandydatów przeciwnych „Solidarności” (Cimoszewicza i Tymińskiego); w następnych wyborach prezydenckich „postkomunista” Kwaśniewski wygrał znikomą przewagą głosów; sondaże prowadzone w 1995 roku wskazują, że SLD ma poparcie około 35% obywateli. W wyborach i sondażach nie tylko pamięć o PRL, ale też wiele innych czynników decyduje o preferencjach wyborców, ale w walce z SLD partie post-solidarnościowe podkreślają związek między dawnym PRL a obecnymi „postkomunistami”; jednak ci „postkomuniści” wydają się mieć stałą bazę poparcia ponad 30% obywateli. Można argumentować, że dla znacznej liczby Polaków PRL nie jest zanotowana w pamięci jako czysto negatywne zjawisko. „Nie czysto negatywne” nie oznacza notowania pozytywnego i może oznaczać neutralność albo chęć wytarcia PRL z pamięci. Być może, że młody rolnik, z którym parę lat temu rozmawiałem, najlepiej określił stosunek wielu ludzi

do PRL: „tak było, jak było, były rzeczy dobre, były złe, dobrze, że się to skończyło, ale lepiej o tym wszystkim zapomnieć”. Trudno powiedzieć w jakim stopniu ta wypowiedź jest typowa, ale wydaje się, że odzwierciedla poglądy wielu obywateli.

Niedawno rozmawiałem z inteligentnym dyplomatą hiszpańskim na temat pamięci o Franco. Jego zdaniem większość Hiszpanów wymazuje świadomie Franco z pamięci i w przeciwieństwie do Polski, jest ogólnie przyjęta zasada „zapomnienia i pojednania”. Franco zmarł w 1975 roku i został „wyłączony z pamięci społecznej” mniej więcej w 15 lat po swej śmierci. Czy PRL zniknie z powszechnej pamięci polskiego społeczeństwa w 2005 roku? Przypuszczalnie nie, ale prawdopodobnie pamięć ta przestanie być poważnym czynnikiem poglądów politycznych. Jak pisał sto lat temu Ernest Renan: „aby zdobyć wolę współżycia, wielu członków narodu musi zapomnieć dzielące ich [wspomnienia] ucisku i niesprawiedliwości. *L'oubli*, czyli akt zapomnienia [jest] konieczny dla tworzenia się narodu”⁴.

Chelsea, Quebec, Kanada, lipiec 1995.

Konrad W. STUDNICKI-GIZBERT

Dr Konrad W. Studnicki-Gizbert, ekonomista, b. profesor uniwersytetów Mt. Allison i York w Kanadzie, b. dyrektor Biura Studiów Kanadyjskiej Komisji d/s Transportu, doradca ONZ d/s Ameryki Łacińskiej, pracował jako konsultant w 23 krajach na 4 kontynentach.

4. Ernest Renan, „Qu'est-ce qu'une nation?”, Conférence faite en Sorbonne le 11 mars 1882 (cytowane przez Normana Daviesa „Europe - A History” s. 813.

Z ukosa... z Rosji

Lotnisko moskiewskie Szeremietowo wyszykowane na Olimpiadę uchodziło za nowoczesne. Teraz, gdy w wielkim ścisku czeka się w długiej kolejce do okienek paszportowych, i gdy wznosi się oczy do nieba w niecierpliwym geście, widać reklamę firmy produkującej żaluzje, jakby to była na lotnisku najważniejsza dla przybyszy informacja, a obok wiszą girlandy kurzu w ozdobach sufitu. Odkrywam, że mój narząd pchania się tak rozwinięty w czasach kolejkowych prawie obumarł i z trudem przypominam sobie jak należy używać łokci, a kolanami szukać wolnych szczelin. Kiedy w końcu mijam paszportowe okienka, szczęśliwie odzyskuję torbę podróżną i rozglądam się za bagażowym wózkiem, trafiam wzrokiem na jakieś podejrzanе typy, które oferują wózek za opłatą. Wychodząc wpada się w ludzki szpaler, tropiący swych bliskich, syczący taxi, a ów szpaler wydaje się nie mieć końca. Ofiara przylotu nieprawdopodobnie długo pełźnie wąskim gardłem w stronę niepewnego ujścia. Nie mam skłonności do klaustrofobicznego lęku, ale poczułem się więźniem gąb dookolnych, a po wypadnięciu z leja odkrywam w sobie uczucie całkowitego zagubienia, jak kiedyś w dzieciństwie, gdy w tłoku zgubiłem matkę. Odnalazł się na szczęście kierowca wysłany przez hotel. Zwykłych taksówek w tym mieście nie ma, wpada się w ręce przewozowych gangów, które zdzierają skórę, dlatego hotele przysyłają po gości samochody.

Napięcie jest dzisiaj we wszystkich wielkich metropoliach, ale w Moskwie tu ono podszyte głębinowym

zagrożeniem płynącym ze strasznej przeszłości i z niepewnej przyszłości, gdy teraźniejszość przemyka się jak spłoszony zając wśród dotykającego niechlujstwa i braku wyraźnych reguł gry. Niepokoi ponurość ludzi na ulicach. Przypomnijmy sprawiedliwie, że przybywających z Zachodu do Polski od wieków poruszał smutek ludzkich twarzy. W Warszawie do dzisiaj jest mniej uśmiechów niż choćby w miastach ponurej skandynawskiej północy. A jednak nawet przybysza z Polski uderzy zaszepienie moskiewskich twarzy, ich zmęczenie, stała troska. Nawet ja – niemal alkoholowy abstynent poczułem, że wódka w tym miejscu jest niezbędna by przeżyć.

Opowieść każdego mieszkańca tego kraju o swoim życiu uświadamia, że nawet dramatyczne polskie biografie są chude przy rosyjskich. To oczywistość, ale zapomina się o niej. Stalinizm i wojna, późniejsza stalowa forma komunizmu, przeorały w Rosji dusze ludzkie bez porównania głębiej niż u nas, to była „pierekowka dusz”. I te dusze są dzisiaj w strasznym stanie. Biorąc pod uwagę skalę zniszczeń rzecz można, że człowiek ma i tak duże zdolności regeneracyjne.

Rosyjskich artystów zastałem jeszcze bardziej wychudzonych niż naszych, ale ich otyłość była o wiele bardziej chorobliwa. Pisarze, z którymi rozmawiam, odkrywają śmierć anegdoty i dowcipu politycznego. Dowcip polityczny, anegdota, były niezwykle rozwinięte, podobnie jak u nas, tu były chyba jedyną formą wolności? Śmierć dowcipu politycznego nie oznacza jeszcze pełnej normalności, ale to świadectwo, że Rosja weszła na drogę, gdzie już nie króluje kłamstwo.

Kiedy miliony ludzi szły na śmierć Stalin powiedział: *Żyć stało tutsze, żyć stało wiesieleje*. Czy teraz ten makabryczny żart staje się prawdą? Ktoś mi po chwili namysłu odpowiada: *żyć stało tutsze, no nie wiesieleje*. Inni po chwili namysłu mówią: *żyć stało wiesieleje, no nie tutsze*. Czy należy wyciągnąć wniosek, że nie żyje się teraz ani lżej ani weselej? Cz. mówi: „przede wszystkim trzeba stwierdzić, że my w ogóle zaczęliśmy ŻYĆ. I to jest najważniejsze! Przełożył i opublikował niedawno dwie książki. Gombrowicza na rosyjski, za co otrzymał honorarium w wysokości 10 dolarów. Pra-

cuje jako stróż nocny. Ostatni raz widziałem go w roku 74, nie pamiętam tego spotkania. On pamięta, dla niego to był ważny moment w życiu. Pożyczyłem mu „Kąg pierwszy” Sołżenicyna, czytał od wieczora do świtu. Wrócił do Moskwy z płomieniem prawdy w klatce piersiowej.

W tych latach przyjeżdżał do mnie czasami z Moskwy R. Obzerał się w Polsce wolnością, upijał się nią. Podobnie jak wielu Rosjan z grup intelektualnych nauczył się polskiego by czytać naszą prasę, w której było tyle tlenu. Pokazuje mi w toalecie historyczne miejsce, gdzie trzymał gazety. Potem śledził powstanie „Solidarności”, przeżywał w Moskwie grozę stanu wojennego, słuchał po nocach polskiej Wolnej Europy, trafił nawet na wiadomość, że mnie zapudłowali, od czego dostał gorączki. Pyta mnie teraz o dziesiątki bohaterów „naszej wojny”, na śmierć o wielu zapominałem. Co mam mu odpowiedzieć, tak często nie znam ich losów, a niektórzy – o zgrozo – są mi dzisiaj bardziej wstrętnei niż moi ówcześni wrogowie.

Dla R. ten czas zastygł w kamieniu jak mitologia starożytnej Grecji. W naszej pamięci zostało to zdruzgotane i zafajdane przez chore ambicje i spory. Mariusz Wilk na swoich sołowieckich wyspach napisał niedawno, że idealizuję tamten czas, „sierpniowy łopot flag na dźwigach gdańskiej stoczni”. Bez wątpienia tak. Ale czym jest przeszłość i przyszłość bez mitu, czym jest nasza kultura bez niego? Walka o mity narodowe, ale też osobiste, jest walką o sens historii i życia, to szczególnie ważne dla tych co nie mają religii. „Solidarność” jak wszystkie piękne społeczne ruchy, miała w sobie piwnice, a w nich stada szczurów. Każdy wielki i szlachetny poryw buntu ma takie piwnice. Pytanie, czy po latach na piętra wstępuje to co było piękne, czy wbiegają szczury?

W Rosji brak poczucia bezpieczeństwa i pewności jutra dotyczy wszystkich. Biedni boją się, że im nie starczy na życie, pracujący, że stracą pracę, bogaci, że zabije ich mafia. Mafia boi się siebie nawzajem. I nie ma w tym wszystkim reguł gry. Kiedyś szalał stalinowski terror, ale potem zawisł nad krajem ciężki stalowy parasol, chronił przed słońcem, ale też przed gradem i deszczem. Panowało mroczne poczucie bezpieczeństwa. Dzisiaj nagle wpadło tyle światła, że wszyscy

mają zapalenie spojówek. I znowu mało widzą. Trwa walka o przetrwanie lub o duże pieniądze.

Kilka dni mieszkałem w domu emerytki, kiedyś wybitnego naukowca, więc zobaczyłem na czym polega rosyjskie ledwie wiązanie końca z końcem. Te końce są jednak różne w różnych krajach. A jeden z moich moskiewskich kolegów zarabia kilkakrotnie lepiej ode mnie, ale żyje kilkakrotnie skromniej. Odkłada każdego rubla. Boi się przyszłości. Jest zdumiony, że ja mam czas i zdrowie chodzić do kina. Wspomina czule te straszne, ale piękne czasy, gdy spotykali się ze znajomymi, wymieniali zakazanymi książkami, strzępkami zasłyszanymi w Wolnej Europie. Otoczeni szarym i zimnym morzem tworzyli małe wysepki szeptu wokół płomyka prawdy. Teraz każdy jest sam, jest zimno, nikt nie ma energii i czasu na wymianę duchowego ciepła, i nic już tak nie ekscytuje. Tu również odnajduję pewne powinowactwa z naszym w Polsce czuciem, i ponownie tylko skala jest inna. Pytam: „A czy nie bierzesz pod uwagę przyjacielu faktu, że nie jesteśmy już tacy młodzi? Nasz świat bardzo się zmienił, to prawda, ale my też inaczej poruszamy się po tym świecie”. Jego zafrasowana mina mówi, że zapomniał o tym. Rozumiem go, ja też czasami zapominam.

Ludzie pytani o drogę zwykle ogromnie życzliwie starają się pomóc. A pamiętam jak niedawno przykuty do walizki przez godzinę, w strugach deszczu, chodziłem po pewnym niemieckim mieście; z kilkunastu zaczepionych przechodniów, tylko jedna osoba spod parasola coś odburknęła, inni traktowali mnie jak deszcz. Wtedy po raz pierwszy tak mocno odczułem egoizm bogatego świata. Tu każdy stara się pomóc. Z drugiej strony co krok wpada się na tak monstrualne chamstwo, z jakim nie spotkałem się nigdzie.

Większość kobiet, które usługują w miejscach publicznych ma takie miny, jakby dopiero co pobił je pijany mąż. Zdarza się jednak typ baby jowialnej, która potraktuje człowieka jak dziecko, pochwali, pouczy, a tylko kiedy trzeba nakrzyczy. Wydaje się, że nikt w tym kraju nie pracuje z przyjemnością, że każdy jest w miejscu pracy tylko na chwilę, z powodu jakiegoś życiowego nieszczęścia lub w zastępstwie. Kiedy sprzedawczyniom mówiłem *spasiba* rzadko odpo-

wiały *pażausta*, jakby ze zdziwieniem. Ale ci sami ludzie, gdy się do nich podejdzie od innej strony, bywają nagle tak serdeczni i otwarci, jak nigdy nie bywa obsługa w eleganckich zachodnich sklepach. Na to nie pozwala im to samo, co zawsze gwarantuje grzeczność, wyrobiona forma, to ona zapewnia, że są w środku między udawaną serdecznością, a prawdziwą obojętnością. Tu każda chwila słabości czy złego humoru w kontakcie z klientem od razu przybiera obfity kształt. Bardzo to męczące, bo nigdy nie wiadomo, czy pochylając się choćby ku sklepowej, dostanie się od niej w łeb czy dojdzie do duchowego zbliżenia?

W brutalnym skrócie można powiedzieć, że odległość między sercem a odbytem jest w tym kraju tak mała, że stanowią niemal jedno.

Niezwykle wiele jest miejsc pilnowanych, wszędzie się ludzi sprawdza i kontroluje, a wydaje się, że nic nie jest upilnowane i pod kontrolą. Znajduję oczywiście bez trudu odpowiedni fragment u de Custine'a: „Drobiazgowość administracji rosyjskiej nie zapobiega bynajmniej chaosowi”.

Poraża kontrast między atrapą dbania o każdego człowieka, a brutalną rzeczywistością. Dzieje się to również w miejscach, gdzie wydaje się, że taka grubość jest niemożliwa, choćby w dobrym hotelu. Ale trzeba przyznać, że panuje socjalistyczna równość w chamstwie. Jest w Moskwie kilka czy kilkanaście miejsc, gdzie nauczono personel pewnych form, ale to są wyjątki. Lecz i w tych wyjątkach formy nie są zapięte na wszystkie guziki. W Polsce kurczy się obszar niekompetencji i powstają liczne wzorce! Tu ich nie ma. Właściwie nigdy nie było.

Odkrywam, że polskie chamstwo zwykle bywa jednak podszyte jakąś próbą formy, zawsze można odwołać się do szlacheckiego honoru, liczyć na jakieś wzdęcie godnościowe. Chamstwo rosyjskie jest bezdenne i bez formy, nawet nie wie, że forma istnieje. Polskie chamstwo ma zwykle za plecami jakieś snobizmy, choćby ten na Zachód. Rosjanom wbito w głowę sierpem i młotem wielkomocarstwowość, więc tubylca skopią równie porządnie co inostranca.

Kwitnie też mdły dydaktyzm, pouczanie i traktowanie ludzi jak nierozgarnięte dzieci. W końcu wszyscy byli tu dziećmi w wielkim eksperymentalnym przedszkolu. W hotelu

co jakiś czas dydaktyczny głos przez korytarzowe megafony poucza, czego w hotelu robić nie wolno, że jak się opuszcza pokój to należy wyłączać z sieci lampki nocne, leżąc w łóżku nie wolno palić papierosów, bo to niebezpieczne itp., a w puencie jest sentencja: „Obywatelu, pożar jest łatwiej wywołać niż zgasić”.

Kiedy w moskiewskim metrze pociąg staje na stacji, nagrany na taśmę głos oznajmia nazwę stacji, a potem patetycznie, jakby ogłaszano początek wojny: „szanowni pasażerowie wysiadajcie ostrożnie i nie zapominajcie swoich rzeczy.” W trolejbusie gdy taki sam głos propagował humanizm, wszedł właśnie mężczyzna bez nogi. Nogawkę od wojskowych spodni miał zawiniętą powyżej miejsca, gdzie powinno być kolano. Wyglądał na weterana wojny w Afganistanie, czyli tzw. Afganiec. Przejechał jeden przystanek i nikt mu nie ustąpił miejsca. W końcu sam dokuśtykał o kulach i morderczym spojrzeniem, bez słowa, wyrzucił z siedzenia jakiegoś obywatela w średnim wieku, który gdy stracił miejsce miał taką minę jakby zjadł coś gorzkiego.

Rosyjskie chamstwo jest wszechogarniające i głębinowe, sięga korzeniami do nieszczęść odległych pokoleń. Pod sowietami był wielki strach, więc chamstwo mieszkalo w kaftanie strachu. Strach było być zbyt brutalnym, bo a nuż trafi się ktoś z nomenklatury? Chamstwo kiedyś w kagańcu, teraz biega luzem i kąsa, nikt nikogo się nie boi, no może mafii, ale ich łatwo poznać. Wysiadają z najnowszych modeli mercedesów z przyciemnionymi szybami. Szokuje, że w ramach tego chamstwa, jak w łajnie, nagle czasami błysnie serce jak na czystej dłoni. Bardzo to jest męczące.

W Moskwie uświadomiłem sobie jak wiele i jak szybko w Polsce zmienia się na lepsze, jak liczne okropieństwa przybyły do nas z Rosji, jak były jednak łagodzone przez pewien rodzaj polskiej miękkości. Upieram się, że jest to pozostałość szlacheckich form i ambicji. Swoją rolę odegrał katolicyzm, to prawda, często naskórkowy, ale skóra jest ważna, nie tylko narządy wewnętrzne.

Dzielnica z lat 60-tych; mieszkam tam kilka dni. Domy kilkupiętrowe z wielkiej bryły zanurzone w gęstym liściastym lesie. Posadzili go mieszkańcy, bo spółdzielnia nie intere-

sowała się otoczeniem. Drzewa rosną tak blisko domów, że zasłaniają światło i aż do trzeciego piętra jest ciemno jak w piwnicy. W opłakanym stanie są klatki schodowe, a jak muszą być opłakane, skoro ja płacę z kraju opłakanych klatek schodowych? W mieszkaniach uderza niechlujstwo wykonania wewnątrz i bezmyślność. Przełączniki zamontowano tak wysoko, że trzeba się wspinać na palce, a wychodząc z łazienki leci się na nos, bo próg sięga prawie kolana. Podchodzę do pobliskiej budki z serami by zrobić zakupy, okazuje się to niemożliwe, bo pod okienkiem jest błoto aż po kostki, nikomu nie przyszło do głowy by tam coś położyć, nie mówiąc już o wybrukowaniu tego miejsca. Samochody są ustawione możliwie blisko okien, zwykle pordzewiałe, mimo to nie są jednak bezpieczne i właściciele wkładają je w stalowe gorsety. Takie składane metalowe klosze sprzedają prywatne firmy. Kiedyś to były proste sześciokąty, teraz można nabyć modele bardziej aerodynamiczne. Zamyka się w takim kloszu samochód na kłódkę, a nad kłódką najlepiej jest powiesić przetrzyniętą na pół plastikową butelkę, by chroniła kłódkę od deszczu.

Pobliskie wysokie domy dla małej nomenklatury też się sypią. Na klatce schodowej można podziwiać zabytkowe ślady prób założenia tam oranżerii, ale dzisiaj już nie tylko ściany. resztki roślin, a też osobnicy i pilnujące wejścia, zdają się obłazić ze skóry.

W Puszkinińskim Muzeum, gdzie przychodzi każdy niemal turysta odwiedzający Moskwę, restauracja przypomina stołówkę w nędznej fabryce, w toalecie nie ma papieru toaletowego i ręczników, a krany ciekną. Nikt nie mówi słowa po angielsku, nieszczęsna kobieta w kasie nie wie jak jest bilet po angielsku. Obok w Galerii Tretiakowskiej szok: dziewczyna w bufecie uśmiechnięta i co nieco mówi po angielsku. Toaleta w nieco lepszym stanie bo dopiero co oddana do użytku, ale pisuary zakryte tekturą. To jednak nieprawda, że w muzeach najbardziej mnie interesują toalety.

Uderza słabość rosyjskiego malarstwa, szczególnie jeżeli pamięta się o sile literatury tego samego czasu. Ale solidny realizm XIX wieku wiele mówi o mrocznym charakterze kraju, którego obraz w literaturze dali wielcy pisarze tamtego czasu. Wiele z tego charakteru dotrwało do dzisiaj.

Nadal w Rosji jest trudno, może nawet trudniej niż za komunizmu, cokolwiek załatwić. Najprostsza sprawa może okazać się niebywale pokrętna. Pewien ambasador opowiada mi, że aby jego samochód mógł uzyskać numery dyplomatyczne, trzeba go oddać na kilka dni, gdzie stał na parkingu, za który opłata wynosi kilkadziesiąt dolarów za dobę. Na targach książki, gdzie byłem gościem, część zachodnich stoisk wystawiała tylko swoich pracowników, bo książki zostały zatrzymane na cło. Nie można było ustalić przyczyny, prawdopodobnie celnicy chcieli łapówki. Niemcy interweniowali u kanclerza Kohla, który odwiedzał właśnie Moskwę, ale na próżno. Minęły czasy kiedy ta piramida niekompetencji miała szczyt, na którym siedział jakiś dygnitarz partyjny otoczony wianuszkami wszechmocnych urzędników. A oni mogli podjąć decyzję. Płyn korupcji rozmył wszystko.

Drzwi w urzędach, hotelach, w dużych sklepach są wymowne. Najpierw jest jedna zaskakująco ciężka para, potem następna, ale nigdy nie jest tak, że te następne otwierają się symetrycznie. Więc żeby gdziekolwiek wejść trzeba się nieźle naszarpać. Nie spotkałem gmachu publicznego, gdzie drzwi nie demonstrują człowiekowi jaki jest mały i słaby.

Komunizm usiadł okrakiem na carskim systemie, aby pogalopować w jeszcze większe upodlenie człowieka, gdzie kłamstwo stało się religią. Gogol, Czechow i Dostojewski opisali carską Rosję niemal równie bezwzględnie jak sowiecką opisał Sołżenicyn, a te książki puszczała carska cenzura. Sołżenicyn mieszka teraz w Rosji, buduje sobie pod Moskwą dom, czy pałac, i nikt go nie traktuje poważnie, podobno jest chorobliwie konserwatywny, ot dziwak.

Jakie jest pomieszanie w rosyjskich głowach ukazuje uwielbienie dla Juri Kobzona. Ten słynny pieśniarz wyśpiewywał tubalnie wszystko co było potrzebne Związkowi Sowieckiemu, jeździł do Afganistanu by krzepić żołnierzy. Teraz żegna się ze sceną pieśni, zamienia ją na scenę polityczną. Mówi się, że ma silne powiązania z mafią, dlatego Amerykanie nie dali mu wizy. Oglądałem w telewizji wielką uroczystość pożegnalną dla Kobzona. Śpiewał i jemu śpiewano do piątej rano. Na tym koncercie groch z kapustą,

rewolucyjne pieśni żenią się z cerkiewnymi. Jak stalinizm żenił się z carską tradycją, tak teraz tradycja sowiecka przenika w tradycję nowej Rosji. Co się z tego narodzi?

Patrzę na dzieci, przynajmniej w Moskwie w pewnych środowiskach rośnie nowa generacja wychowana w stylu zachodnim, czasami nawet w warunkach ciepłarnianych. Jak te delikatne rośliny przeżyją mroźną zimę? Trwa walka o edukację, o znajomość angielskiego ... Szkoły błyskawicznie się rozwarstwiły, a różnice między nimi są ogromne. Córka mojego kolegi R. chodzi do „tej lepszej” szkoły. Nie łatwo się tam dostać, rodzice płacą jakieś kontrybucje, rzecz jest zupełnie umowna, jeden z zamożniejszych rodziców na własny koszt ogroził szkołę murem i kolczastym drutem by dzieci były bezpieczne. R. poczuł ogromny niepokój. Co on może takiego dla szkoły zrobić? W desperacji poszedł do dyrektora i dał mu w kopercie sporą sumę w dolarach. Teraz się trapi, że dyrektor wziął te pieniądze do własnej kieszeni. Ale może dobrze, w końcu rzecz w tym by córka utrzymała się w tej lepszej szkole.

Cały system finansowy w Rosji jest mniej więcej nieprzezroczysty. Nikt dokładnie nie wie skąd burmistrz Jurij Łużkow wziął te gigantyczne pieniądze na remont centrum Moskwy i na jubileuszowe gargantuiczne uroczystości. Łużkow steruje swoim moskiewskim imperium ręcznie. Kiedy liberałowie próbowali szybko prywatyzować moskiewskie firmy, Łużkow był temu przeciwny, bo tracił krowy do wydojenia.

Centrum miasta jednak odnowiono, a było w stanie gorszym niż serce Jelcyna. Reszta Moskwy jednak się sypie, ale między Moskwą a innymi miastami jest przepaść. W strasznym stanie jest podobno nawet Petersburg. Kiedy Moskwa stanie na czworakach to prowincja nadal będzie leżeć, ciągnąc wszystko do dołu. Moskwa ma być lokomotywą, która udźwignie całą Rosję. Jak na razie wypija z niej resztki krwi.

A jednak chyba pomału rusza kapitalistyczny rosyjski kombajn, ciężki i niezręczny, charcząc i plując wokół. Ale chyba drepce do przodu? Wokół dużo zgiełku, śmieci i korupcji.

Rosną w oczach społeczne nierówności. Biedny naród złorzeczy, ale się nie buntuje, bo przecież tak było za caratu, za Stalina, potem dawnych bogaczy zastąpiła nomenklatura. „Nowi Rosjanie” to ich kontynuacja. Nikt nie wierzy w uczciwość tej grupy, wszyscy wierzą w ich pieniądze. Większość obywateli nie płaci podatków, policja podatkowa właściwie nie istnieje, można więc czuć się bezkarnym.

Każdy bardziej luksusowy stary dom w Moskwie oblepiony jest dzisiaj marmurowymi plastrami z odciskami łbów marszałków, działaczy partyjnych, którzy tam mieszkali. A weterani bywają tak obwieszani orderami, że nie starcza już miejsca po obu stronach piersi. A poniżej pasa i na plecach wieszac nie uchodzi, więc jest kłopot.

Podchodzę do grupki takich weteranów. Jeden z siwą brodą, kropka w kropkę Tołstoj, jest też niewiasta cała w medalach i starzec w resztkach munduru. Mówią że wszystkie medale za wojnę, za Warszawę też mają. Niewiasta prosi abym poszukał tego za Warszawę, w tym tłoku nie może go znaleźć. Szperam w tym szlachetnym złomie, ale nadaremno, jakbym szukał igły w stogu siana. Kobieta pokazuje bliznę na szyi, tu była ranna; „tu i tu na udzie” – „niech pani nie pokazuje” – błagam. „Tołstoj” mówi, że osiem razy z armią przechodził przez polską granicę. Pytam o Stalina. „Za Stalina każdy miał mieszkanie, jedzenie, no i dzięki niemu wojnę wygraliśmy”.

„No dobrze, a te miliony zabitych, łagry, więzienia...?” Kobieta na to, że Stalin *niewinowat*, o niczym nie wiedział. To Beria. I Stalin go zabił. „A was nie aresztowali?” – pytam. „Nie, ale bliskich tak”. „Tołstoj” przyznaje, że mu tatusia przez pomyłkę zamknęli, a tamtemu zamknęli na amen mamusię; „ale to wszystko przez pomyłkę, Stalin o niczym nie wiedział”. „Teraz źle się dzieje w Rosji”. Popierają Ziuganowa, nie Żyrynowskiego, bo to wariat. A jak w Polsce? Niepokoją się, słyszeli, że tam źle się traktuje weteranów.

Ci ludzie to sieroty po komunizmie. Zostały im tylko medale, wspomnienia i nędzne emerytury. Teraz toczą ostatnią beznadziejną wojnę by ocalić własne biografie i sens własnej odwagi.

Ludzie przypadkowo spotykani na ulicy, czasami tak

chętni do rozmowy, ujawniają wielkie pomieszanie w głowie. Niby wiedzą, że Stalin był zbrodniarzem, ale z drugiej strony tak wiele dla Rosji zrobił. Dzięki niemu stała się imperium, pokonała Niemców, tyle fabryk zbudowano, każdy miał pracę.

Zaczepia mnie mężczyzna, nudzi mu się, robotnik, nazywa się Bujanowski, wie, że ma polskie pochodzenie, ale po polsku nie zna słowa. Popiera liberalnego Niemcowa, ale uważa, że Stalin ma dwie strony, dobrą i złą. I jak można było dopuścić do zalewu rynku przez zachodnie produkty i żeby było bezrobocie. Ten człowiek w średnim wieku wydaje się jeszcze być w stanie pewne rzeczy pojąć, można mu sporo wytłumaczyć, intuicyjnie stawia na tych polityków, którzy są rozsądni. Ale w głowie ma straszny bałagan.

Tu ludzie byli daleko od normalnie żyjącego świata, tak uwięzieni w system, omotani konformizmem i kłamstwami, że kłamstwo weszło w ściany domów i pod skórę, mało więc kto potrafi ostatecznie i jednoznacznie potępić przeszłość nie obdzierając siebie ze skóry.

Hotel „Moskwa” w czerwonym sercu miasta, tuż obok Kremla, niezwykle obfity budynek w stylu wczesnego socrealizmu. Przypomina prowincjonalne polskie hotele z czasów socjalistycznych. Tylko, że tu czujnie pilnowane jest nawet wejście, a etażowe niewiasty siedzą na piętrach, a jakże, ale już nie pilnują moralności piętra. Gdy wróciłem późnym wieczorem, obok etatowej niewiasty stała miła prostytutka, bardzo zaniepokojona, że tak długo szwędam się po mieście; pewnie jestem zmęczony, ona pomoże mi się odprężyć.

Widać, że mało co jest myte, a jak jest myte to i tak nie daje się domyc. Myje się prymitywnymi narzędziami, a myją ludzie niedomyci. Nieszczęścia tego kraju są wżarte w twarze ludzi, jak i w oblicza domów, w nierówności bruku. Astolphe de Custine podróżował po Rosji w roku 1839, opisał ją tak przenikliwie, że jego książka była zakazana w ZSSR, a i w Polsce Ludowej do wczoraj. Gdy on do dzisiaj bywa aktualny, nie tylko, gdy pisze o duszy tego kraju: „Ruszyłem długimi szerokimi ulicami o nierównym bruku, jak zwykle w miastach rosyjskich”. Zgadza się.

Miasto zostało oczyszczone z żebraków. Sprzed hotelu „Moskwa” usunięto prostytutki, to była akcja milicyjna, ale humanitarna, przewieziono je w inne miejsce w centrum. W Moskwie podobnie jak w Kijowie, zorganizowana prostytutka wydaje mi się najlepiej funkcjonującą instytucją. (Ale Ukraina to inna opowieść. Byłem tam kilka miesięcy temu, a teraz po Moskwie widzę jak ten Kijów jest przenicowany sowiecką Rosją do szpiku kości. Martwi mnie ten kraj, bo mam wrażenie, że nie zrobił jeszcze nawet pierwszego kroku, że nie ruszyły wielkie mechanizmy, a w Rosji ruszyły. Ukraina, kraj, który do końca nie wie kim chce być, nawet język boleśnie waha się między rosyjskim i ukraińskim? Ale to jest osobny temat, dla Polski, kto wie, chyba gardłowy?).

Rosja od kilku lat delektuje się cywilizacją zachodnią, która docierała zwykle w postaci naskórkowej, czyli opakowań. Był okres kiedy miasto było zasypane skórkami po bananach, potem butelkami po piwie, teraz wszędzie wala się niebywała ilość puszek po piwie i po coca-coli. Widziałem jak robi się porządek po jubileuszowych obchodach. Zardzewiałe ciężarówki strumieniami wody wygarniały śmieci, nie bacząc, czy nie zaplatał się tam jakiś człowiek. Tak kiedyś wymyto miliony. Prasa jest jednak wolna i czytałem reportaże o okrutnym traktowaniu bezdomnych. Po obchodach żebracy pojawili się znowu w „moim” przejściu podziemnym, imponując formami żebrania; jakiś obywatel podrzucał cztery kulki, inny śpiewał godzinami mimo braku głosu, a obok grał kwartet na poziomie dobrej filharmonii. Kobiety żebrzące z dziećmi wydawały się naprawdę potrzebować pomocy. Kontrasty między biedą a nowym bogactwem są uderzające. Samochody dzielą się na superluksusowe i w stanie godnym pożalowania. Nie ma, jak u nas, wozów klasy średniej. I tak samo brakuje w Rosji klasy średniej. Luksusowe samochody posiadają niemal zawsze przyciemnione szyby i jest oczywiste, że ich właściciele mają tak samo przyciemnione sumienia.

Eleganckie przyjęcie w hotelu „Kosmos”, gdzie z alkoholi jest tylko wódka i szampan. Nagle pełna energii i zapachu alkoholi wpada na salę mała grupa byczokarcza i czarnogarniturowa; na jednym z tych karków poznają głowę

Żyrynowskiego. Część gości z odrazą udaje, że nie widzi tego najścia, ale od razu pojawia się gęstwa lizusów z bujnymi jęzorami. I jak za carskiej Rosji, jak za sowieckiej, liżą dygnitarza. A Żyrynowski łaskawy kieliszkiem się trąci i śpiesznie rozdziela łaski. Potrząsa energicznie ręce weteranów, a Ci brzęczą dziesiątkami medali; dziwne instrumenty muzyczne z innej epoki.

Żyrynowski staje tuż obok mnie, a płatek łupieżu z jego karku spada mi na rękaw. Co zrobić z takim fragmentem wielkiego człowieka? Potem w ciągu trzech dni spotykam Żyrynowskiego w różnych miejscach trzykrotnie, on po prostu jest wszędzie,

Jakoś są do siebie podobni ci populiści, nawet nasz chłopski Lepper, wszyscy mają psychopatyczną energię. Ta owa energia pozwala im się przebić przez ludzki zdrowy rozsądek i dotrzeć do tego co w ludziach chore. Żyrynowski byłby postacią groteskową, gdyby nie głębia rozpacz tej przegranej Rosji, która dała mu miliony zwolenników. Jego program populistyczno-faszystowski, jest też antykomunistyczny. Żyrynowski epatuje antysemityzmem, a okazało się, że jego ojciec ma złe pochodzenie.

Jego przeciwnikiem jest demokratą Borys Niemcow, liberał kulturalny, inteligentny i niezwykle przystojny, a na dodatek, młody. Czytałem jego książkę „Prowincjusz”, to rozmowa z osobą, z której wyłania się dosyć sympatyczny portret. Píše, że nigdy nie należy mówić nigdy, ale on jednak nigdy nie będzie głosował na Żyrynowskiego i Ziuganowa. Cała Rosja pamięta pojedynek słowny, który toczyli w telewizji Żyrynowski i Niemcow, siedzieli naprzeciw siebie i coraz ostrzej na siebie nacierali. Nagle Żyrynowski chlusnął mu w twarz sokiem ze szklanki. Niemcow odwzajemnił mu się zawartością swojej szklanki. Przed kamerą zakotłowało się i program przerwano. To jest życie polityczne tego kraju. Najbardziej światły polityk Rosji i najbardziej ciemny piorą się sokiem po gębach na oczach całej Rosji.

Ale jak na mroki i bóle tego kraju można rzec, że Niemcow, Gajdar, no i przede wszystkim Jelcyn, mimo swoich wad, to jednak są mężowie opatrności Rosji, i że mają niezwykle wielu zwolenników jak na otchłanie Rosji.

Ziuganow to nie jest nasz Kwaśniewski, to prawdziwy zatwardziały komuch. Moi moskiewscy znajomi uważają, że gdyby wygrał wybory, wprowadziłby w Rosji porządek jak Łukaszenko na Białorusi. A oni wtedy z Rosji emigrują.

Klanowość rosyjskiej gospodarki i polityczne klincze tych klanów paraliżują rozwój kraju. Ale największy problem, że nie widać nawet skrawków solidności pracy, tak na górze jak i na dole. Jelcyn gra na starym rosyjskim, potem sowieckim stereotypie, źli urzędnicy – dobry car. Jak prywatyzować i decentralizować ten kraj, kiedy decentralizacja jest, po pierwsze sprzeczna z głęboko zakorzenioną tradycją Rosji, a po drugie, tworzy od razu miniimperium lokalnych kacyków. Nikt nie wie jaka jest cierpliwość społeczna, skoro jest ona w nowej sytuacji, nagle bez odwiecznego gorsetu lęku. Ludzie czasami boją się siebie, ale już nie boją się cara i państwa. To musi zmienić Rosję.

Markiz de Custine w swoich obserwacjach często wracał do motywu lęku, który przenikał wszystko. A czuł go szczególnie na Kremlu, czuli go tam, podejrzewam, Polacy jeszcze lat temu dziesięć. Dzisiaj w niektórych miejscach znajduję groteskę, w innych dotknięcie ponurej historii, czasem komercję. A lęk chyba wietrzeje z Rosji. W owo miejsce wpływa niepokój o przyszłość, czy nawet strach wolności wyboru. Ta wolność jest na razie niedomyta, i ledwo człapie, ale człapie.

Migawki w telewizji. Jelcyn człapie po nowootwartych magazynach i broni rosyjskiej wódki przed zalewem wódki z Zachodu. Wygląda jak ruski niedźwiedź z naprawionym sercem, tubalnym głosem wydobywającym się z dołu brzucha, wypowiada wojnę zachodnim wódkom, grzmi: „nasza wódka lepsza”, a mówi to doprawdy z niezwykłym znawstwem.

W telewizji sceny ulicznej egzekucji kryminalistów w Groznym. Liberalne komentarze telewizji, że to średnio-wiecz, a „Czeczenia jako część Rosji, kompromituje nas”. Nigdy nie miałem wątpliwości, że broniący swej wolności Czeczeni godni są szacunku, ale wedle naszych miar moralnych są często barbarzyńcami, którzy wyznają inny porządek moralny niż my. Afganistan, który tak nas wzruszał, wprowadza reżym z koranicznego Orwella. Ale oczywiście

należy Czeczenii dać wolność i pozwolić, aby się sama ucywilizowała lub nie. „Cywilizować” nie może niedawny oprawca. Okazało się potem, że ta wstrząsająca scena rozstrzelania, wbrew intencjom rosyjskich demokratów, bynajmniej nie wstrząsnęła sumieniami Rosjan. Zamiast oburzenia na Czeczenów, dosyć powszechna była aprobata. Ponad 58% czytelników dziennika *Moskowskij Komsomolec* stwierdziło, że w Rosji też „trzeba publicznie rozstrzeliwać kryminalistów”.

Na 850-lecie Moskwy obwieszono miasto transparentami, gdzie w stare formy wtłoczono nowe treści. Jak kiedyś miłowano Stalina i komunizm, tak teraz miłuje się Moskwę na dziesiątki sposobów. „Kto nie był w Moskwie, nie wie co to piękno”. Natręctwo czułości, deklaracja miłości w hasłach na ulicach i w mass-mediach są kopią propagandowej gorliwości dawnych czasów. Prasa jest wolna i potrafi być krytyczna, ale nikt chyba nie napisał, że kochać tego molocha, jest niezwykłą formą uczuciowego zboczenia.

Moskwa na swój nieco naciągnięty jubileusz dała swoim 9 milionom mieszkańców przede wszystkim błękitne niebo. Samoloty rozpylały coś, by rozpędzić chmury. W kilka dni potem wszystkie choroby, szczególnie dzieci, były zwalane na owe cudowne rozpędzenie chmur, słusznie czy nie? Kiedyś w ZSSR próbowano odwrócić bieg rzek, a powodzie i trzęsienia ziemi ukrywano, teraz zapewniono Moskwie czyste niebo. I dawnym zwyczajem z wielkich inwestycji, które miały być oddane na rocznicę, niemal nic nie zostało ukończone wedle planu. Odbudowano chram Chrystusa Zbawiciela, zburzył go Stalin, miał tam stanąć Pałac Sowietów ze stumetrowym Leninem. W końcu Chruszczow zbudował w tym świętym miejscu basen. Moskwiczanom chyba teraz trochę brakuje tego basenu. Mają za to stary-nowy chram, ale jeszcze pusty w środku. Ta świątynia jest raczej przeciętną architekturą, ale jej złota kopuła dobrze wpisuje się w architekturę miasta. Większość małych cerkwi została podniesiona ze stanu upadku, na zewnątrz błyszczy złotem, a w środku żarem świec. Te zmartwychwstałe kościoły nieco ocieplają miasto, ale nie ma w nich tłoku, więc chyba trudno mówić o jakimś wielkim odrodzeniu życia religijnego.

Centrum handlowe pod placem Maneżskim też nie zostało ukończono na czas, chociaż na własne oczy widziałem, że pracowano w dzień i w nocy. Ten przerobiony plac w miejscu samochodowego skrzyżowania, ma być miejscem spotkań. Dobry pomysł, ale nie najlepsze wykonanie. To wszystko w stylu wieku XIX, z kolumnami i fontannami, więc śmieszne, że prasa pisała, że to projekt godny wieku XXI. Z brzegu placu płynie sztuczny potok, a w nim rzeźby. To gruzińskiego pochodzenia rzeźbiarz Cereteli, ulubieniec burmistrza Łużkowa, który pstrzy Moskwę niebywałymi brzydactwami, zilustrował w potoku bajki dla dzieci. A tuż obok stoi kremlowski mur, jest grób nieznanego żołnierza, groby miast bohaterów. Ten wojenny patos gryzie się teraz z groteską sztucznego strumienia.

W gigantycznych projektach na wymyśloną rocznicę, w niedotrzymywaniu terminów, w patosie uroczystości, jest wiele z dawnej Rosji. Ale są także znaki nowego. W centrum kilka tysięcy młodych osób płci obojga biło rekord świata w liczbie całujących się par. A mumia Lenina na Placu Czerwonym musiała słuchać jak śpiewał Pavarotti. Jeden ze stalinowskich wieżowców został rozogniony świetlną muzyką Jarre'a. Zgromadził się trzymilionowy tłum, czego oczywiście nie przewidziano. Z lęku przed wypadkami zamknięto metro. I te miliony maszerowały w środku nocy, czasami kilkanaście kilometrów, do swoich odległych dzielnic. Byłem tego wieczoru u znajomych, mieszkają na obrzeżach dużego centrum. I nie mogłem wrócić do hotelu. Taksówek nie ma w mieście. Ludzie zatrzymują prywatne samochody i płacą kierowcom. Ale tej nocy ceny były monstrualne. Naród jednak odporny, nikt nie narzekał, ludzie szli szczęśliwi, że nażytkali się wielkiego świata, którego odpryski migotały na stalinowskim wieżowcu.

Potężny gmach Łubianki nie patrzy już w oczy pomnika Dzierżyńskiego. Kiedyś to był skromny budynek firmy ubezpieczeniowej, po rewolucji zagnieździła się tu CzeKa, a po roku 1947 dobudowano potężne gmazysko dla KGB. Prerażające miejsce, pierwszy etap dla milionów na śmierć. Nadal mieści się tam policyjne centrum. O zmroku obchodzę ten gmach wokół, wydaje się być szczelnie zapięty. Nie ma

tablicy upamiętniającej męczeństwo ludzi, jest tylko jedna tablica z nazwiskiem architekta, A. Szczusewa, który po wojnie rozbudował to monstrum, autora mauzoleum Lenina, a też hotelu „Moskwa”, gdzie spędziłem kilka nocy patrząc głęboko w czarne oczy karaluchów.

Wilgotna noc wisi nad Łubianką, a przed gmachem, w miejscu gdzie wyrwano – ale czy z korzeniem? – pomnik Dzierżyńskiego, trwa rockowy koncert. Młodzież tańczy wśród chrzęstu gniecionych puszek po piwie. Gdyby tak zaprosić wszystkich zamęczonych w pobliskim budynku, to byłby dopiero bal. Ale ta młodzież nie wie nic o tym gmachu, byłby dopiero bal.

Tuż obok jest hotel „Savoy”, jedno z nielicznych miejsc w tym kraju, gdzie dba się o formy, ale one też nie są zapięte na wszystkie guziki. Ten hotel z końca wieku bardzo pięknie został odremontowany, secesja tak bogata, że aż zęby bołą. Tutaj pani S. urządza swoje luksusowe spotkania artystyczne. Mówi mi, że kiedy była małą dziewczynką i przechodziła obok tego hotelu, patrzyła na lustrzane sufity i marzyła by kiedyś tu wejść. Teraz weszła i organizuje luksusowe spotkania dla artystów. A inni mali i duzi przechodzą obok, patrzą na bogaty i niedostępny im świat. Ale nawet w takich miejscach brakuje tego co nazywa się klasą, jest ogromny brak w Rosji surowca, który nazywa się „dobry smak”.

Oglądam sklep z meblami w jednej z dzielnic z lat 60-tych. Wszyscy klienci mają przy uchu telefon komórkowy, ich samochody są luksusowe i pilnowane, a w sklepie wszystkie meble sprowadzono z Zachodu, jakby ktoś jeździł po wielu krajach i niezwykle fachowo wybierał co najbardziej szpetne. Brak gustu widoczny jest na każdym kroku.

Podobnie jak w Polsce rozpleniły się reklamy. Na jednym z billboardów widnieje ładna buzia dziewczyny i jest napis „kocham ciebie”. Nie mogłem zrozumieć co zachwala? Okazuje się, że to reklama wielkich uczuć, a zarazem własnych pieniędzy. Rosyjski milioner ufundował takie portrety swej ukochanej, bo było jej smutno.

Mówi się o nich „Nowi Rosjanie”. Nie wszyscy mają taką fantazję i pieniądze jak ten od billboardu. Ale widać ich wszędzie, bo obnoszą swoją zamożność bez miary i bez gustu.

Zachowano wiele mniejszych pomników Lenina, niemal

wszędzie na cokołach budynków są sierpy i młoty, a czerwone gwiazdy świecą na wieżach Kremla. I leży kukła Lenina w mauzoleum. Ludzie w Rosji niby wiedzą o zbrodniach, o łagrach, ale wiedzą jakby płytko i niepewnie. Bo jak przetrwać tyle zbrodni, tyle kłamstwa, w którym każdy dorosły maczał choćby opuszek palca? Stąd niechęć, by robić konsekwentnie rachunki sumienia, bo w tym rachunku wszyscy się pogubią. Jakie jednak będą koszty tego zaniechania?

Mauzoleum Lenina nadal pracuje, wielka fabryka fałszywego mitu, ale teraz produkuje już tylko groteskę, lub pokarm dla rzeszy szaleńców. Kolejki nie są wielkie, a złożone głównie z cudzoziemców. Przy wejściu do mauzoleum posągowe postacie żołnierzy, ale te posągi niespodziewanie warczą: „ręce z kieszeni”, „czapki z głów”. Posągi potrafią warczeć tylko po rosyjsku, więc Amerykanie i Japończycy i tak ich nie rozumieją, ale jakoś te czapki same im spadają z głów, a ręce wyskakują z kieszeni. Półmrok, surowe, proste wnętrza, najtęższe mózgi ZSSR pracowały by zgwałcić nastrojem świątyni miliony obywateli ZSSR. Trudno o bardziej cielesny pokaz jak sowiecki komunizm stał się religią. Ta religia została osadzona w ziemi i od razu zaczęła gnić.

Lenin leży martwy w zapachu róż. Ma gładkie rączki dziecka. Podobno istniał i nadal istnieje cały instytut, który zajmuje się konserwacją nieszczęsnych szczątków wodza rewolucji. A sam Lenin zmieniał się przez lata, to młodził, to bladł lub nabierał kolorów, jakby tracił nogi, albo znów coś zyskiwał.

Coraz liczniejsze są głosy, że należy nieszczęsnego pochować po ludzku, jak sam tego chciał, obok matki. Ale sowiecka Rosja nadal jest głośna i krzyczy, że po ich trupie, że nie dadzą z Lenina zrobić zwykłego zmarłego. Przy kremłowskim murze idą rzędami groby i kamienne głowy potworów, które rządziły tym krajem. Dzierżyński – widzę – dostał świeże kwiaty, bo są jego urodziny, a ma w Rosji nadal „rodzinę”. Tyle emocji kiedyś budziły we mnie te gęby tu zagrzebane, a teraz taka żałość, trochę tylko żal, że nie mogą na chwilę zmartwychwstać by zobaczyć, że tyle się namordowali, w podwójnym znaczeniu tego słowa, a wydmuchali tylko bańkę mydlaną. Ta bańka niedawno pękła i ujrzano

nieszczęsny, zacofany kraj, który niemal wszystko musi zaczynać od początku.

WDNH to wielki kompleks targowy oddany do użytku w roku 1939, to jest niezwykle skansen architektury socrealistycznej, raj dla badaczy tego stylu. Tandetny kapitalizm pokrył te pałace socjalizmu liszajem byle jakich budek, na zewnątrz i wewnątrz.

Przed pawilonem „kosmos” wisi rakietą, potężna ale w kiepskim stanie, a pod nią błyszczą maski luksusowych samochodów, komis dla bogaczy, to kwitnie żywy raj zachodniego, kapitalistycznego luksusu pod martwą rakietą.

A ta obszerna hala ze swoimi ołtarzami była kiedyś świątynią kosmosu. Centralny ołtarz zajmuje wielki, łuszczący się portret Gagarina. Wokół niego żałośnie zwisa i rdzewieje kosmiczny złom, gdy w dole mrowi się rój azjatów, chyba Tajlandczyków, taszczą telewizory na swoje niechlujne stragany, które opanowały rosyjski „kosmos” końca wieku.

Wracam do Polski z ulgą. Na lotnisku znowu dotknięcie sowietów, chamstwo, kolejki, brudno. W polskim samolocie poczucie luksusu i kultury, nawet grupka wracających z delegacji pijanych w dym rodaków wydaje mi się sympatyczna. Trasa z Okęcia elegancka, piękne trawniki, czysto, ludzie zadbani, grzeczni.

Zdażyłem by się najeść kampanią wyborczą. Przygotowałem się na zgiełk, a było spokojnie i dosyć kulturalnie. Tam gdzie kiedyś panowały takie emocje, zawisła w powietrzu nuda. Bardzo dobrze. Jeden ze znaków, że Polska staje się normalnym krajem.

SMECZ

Teresa TOMSIA

Z ZAPISKÓW NIE-
PEWNEGO WYBORCY

Moja ojczyzna jest
zmęczoną kobietą.
Pośpiesznie próbuje się doinwestować
przyjmując za dobrą monetę
ogólnoświatowe komplementy.
W salonie kosmetycznym wystukuje palcem
romantyczną odę poprawek do paragrafów,
ale realistyka zostawia ślady –
po latach, dniach, godzinach bez nadziei
rysy tężeją, nadchodzi depresja.
W rodzinie
martwią się o matkę swoją.
Szukają lekarstwa za oceanem
zamiast kopać studnię.

Moja kobieta
jest zmęczona
ojczyzną.
Zapomina o makijażu obietnic.
(Trzeba się była zabrać za siebie wcześniej.)

Kobieta przegląda się w ojczyźnie,
ale to jej nie wystarcza,
pragnie, aby ojczyzna
ujrzała się w niej.

Teresa TOMSIA

Wiersze

Leszek SZARUGA

JUŻ IDZIE

Już idzie białoooka
w krwi wschodów i zachodów,
idzie w pyle galaktyk,
wyłania się ze snów.

Przez pustynię bezczasu,
przez absurd historii,
podąża nienazwana,
mówi do nas bez słów.

A gdzie przejdzie, tam cisza,
a gdzie przejdzie, tam krzyk.
Przecucie tajemnicy
staje się myślą znów.

PRZEINACZENIE

ciało myślące w świecie
w świat się przeinaczy
w grobie w księdze
zamkniętej w gwieździe
spadającej w słowie
w kropli deszczu
na piasku twej mowy

Leszek SZARUGA

Grzegorz WRÓBLEWSKI

ROBESPIERRE (1758-94)

Gdy mnie ścięto,
zrozumiałem
wszystko

Moja głowa
przestała być
polityczną

OSTATNIE KUSZENIE

Dlaczego zauważyłem tylko Ciebie?
Ponieważ nie zauważyłem nikogo innego.

Gdybym zauważył kogoś innego,
widziałbym podwójnie.

Gdybym widział podwójnie,
widziałbym niewyraźnie.

Widząc niewyraźnie zatraciłbym
poczucie rzeczywistości.

Grzegorz WRÓBLEWSKI

Archiwum polityczne

Stosunki polsko-litewskie

(OD KOŃCA LAT 80-TYCH PO DZIEŃ DZISIEJSZY)

1. Przemiany w Europie Środkowej, które zostały zapoczątkowane pod koniec lat 80-tych zaowocowały między innymi odzyskaniem pełnej niepodległości przez Polskę i przez Litwę. Obydwa państwa i obydwie narody stanęły przed trudnym zadaniem samodzielnego ułożenia swoich stosunków wzajemnych. Nie było to łatwe po obu stronach. Trzeba się było nie tylko zmierzyć z brzemieniem historii, ale także reagować na nowe problemy, których dostarczał w obfitości dzień bieżący.

Wspomnienie historii nadawało współczesnym nieporozumieniom i konfliktom inny wymiar, wzmacniało je i to niejako podwójnie. Stanowiło zawsze kontekst do zdarzeń współczesnych, a często było ich inspiracją. I na odwrót. Współczesne nieporozumienia i konflikty przypominały i odświeżały zadawnione krzywdy i wzajemne pretensje. Ożyły zamrożone stare schematy, mity, stereotypy, które w nowych warunkach nabierały nieraz dla postronnych, postaci karykaturalnych. Łączyło się to i spletało w jedną całość, dziwny gąszcz, wśród którego politykom i społeczeństwom Obojga Narodów trzeba będzie szukać drogi do porozumienia i współdziałania.

2. W świadomości polskich powojennych środowisk opozycyjnych i niepodległościowych panowało przekonanie, że zabranie Polsce przez ZSSR ziem wschodnich, owych na

wpół legendarnych Kresów, z Wilnem i Lwowem, było niesprawiedliwe i krzywdzące, uzgodnione zostało w pakcie Ribbentrop-Mołotow a zapoczątkowane agresją sowiecką z dnia 17 września 1939 roku. Ta ostatnia łamała pakt o nieagresji, naruszała traktat ryski etc. Oczywiście zatem się wydawało, że aktem sprawiedliwości dziejowej byłoby przywrócenie tych ziem i miast Polsce.

Jednak przekonanie to ulegało z czasem stopniowemu osłabieniu. Związane to było zarówno ze świadomością praktycznej nierealności postulatu odebrania tych ziem Związkowi Sowieckiemu, jak i z dorastaniem kolejnych pokoleń Polaków urodzonych już po wojnie, nie związanych osobistymi przeżyciami z tymi terenami, a uważających Wrocław, Gdańsk czy Szczecin za swe rodzinne miasta. Umacniało się też w najbardziej świadomych częściach społeczeństwa polskiego przekonanie, że zachowanie *status quo* odnośnie granic w powojennej Europie leży w interesie Polski i jest wymogiem naszej racji stanu. Wreszcie ruchy niepodległościowe w niektórych republikach sowieckich (zwłaszcza na Litwie i w pozostałych krajach bałtyckich), jakie rozpoczęły się tuż przed przełomowym dla nas rokiem 1989, uświadomiły Polakom ostatecznie, że Wilno należy nie do jakiegoś bezosobowego i wrogiego ZSSR, a do Litwy, podobnie jak Lwów do Ukrainy. Sumowało się to ze świadomością, że te nowe państwa są naszym naturalnym sojusznikiem w walce o niezależność od ZSSR. Mówiąc lapidarnie, o ile jeszcze w Polsce ktoś miał ochotę odbierać Wilno i Lwów Związkowi Sowieckiemu, to z całą pewnością prawie nikt nie miał ochoty odbierać ich Litwie czy Ukrainie.

Te procesy, które zaszły w świadomości zbiorowej Polaków żyjących w Polsce, niekoniecznie miały miejsce w świadomości Polaków żyjących na Litwie, Białorusi czy Ukrainie, a także w świadomości części Polonii żyjącej na Zachodzie. Będzie to przyczyną wielu późniejszych nieporozumień a nawet oskarżeń o zdradę interesu narodowego czy polskiej racji stanu, o czym później. Jednak w Polsce zdecydowana większość społeczeństwa polską granicę z Litwą, Białorusią czy Ukrainą uważała na początku lat 90-tych za ostateczną.

Odmienny pogląd na sprawę granicy polsko-litewskiej

mogły reprezentować jedynie nieliczne środowiska zrzeszone w różnych organizacjach czy klubach kresowych (choć te ostatnie, oficjalnie deklarowały, że nie zgłaszają pretensji terytorialnych do naszych wschodnich sąsiadów), lub w zupełnie nie liczących się „kanapowych” partiach i stronnictwach zaliczanych do politycznego folkloru.

Natomiast wcale poważna część środowisk polskiej prawicy prezentowała pogląd, że aktualną granicę polsko-litewską można i należy uznać, ale jako rezultat negocjacji, po spełnieniu przez Litwę całego szeregu ustępstw na rzecz Polski i Polaków na Litwie. Takim ustępstwem miałoby być w szczególności uznanie autonomii Wileńszczyzny. Taki pogląd prezentowało w różnej formie m.in. wielu działaczy ZChN, a popierały go jawnie środowiska kresowe. Nie wdając się w szczegółowe rozważania, należy pogląd taki uznać za całkowicie nierealistyczny, blokujący porozumienie z Litwą i unormowanie z nią stosunków. Jest przy tym sprawą oczywistą, że na złych stosunkach polsko-litewskich straciłaby przede wszystkim mniejszość polska na Litwie.

3. Tak więc, gdy delegacja Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego pod przewodnictwem Bronisława Geremka, w dniu 27 marca 1990 roku zapewniała delegację „Sajudisu”, że „Polska granicę między Litwą a Polską traktuje jako równie ostateczną jak polską granicę zachodnią na Odrze i Nysie” wyraziła nie tylko opinię parlamentarnej większości, czy rządu, ale także opinię powszechną w społeczeństwie polskim.

4. Kilkudziesięcioletni brak własnej państwowości uniemożliwiający normalny rozwój krytycznej historiografii spowodował, by posłużyć się określeniem Miłosza, „zapiekłowanie” przedwojennej litewskości w wielu środowiskach inteligenckich i twórczych na Litwie.

Historia stosunków polsko-litewskich z lat 1918-1945 znana była bardzo powierzchownie, często ograniczała się do kilku sloganów, składających się w bardzo uproszczony schemat. Jego początkiem była „agresja Żeligowskiego”, której kontynuacją była „polska okupacja Wilna i Wileńszczyzny” w okresie międzywojennym, a dążeniem do jej przywrócenia była podziemna działalność AK. Ta ostatnia,

w tym ujęciu postrzegana była – z uwagi na cel działania – jako siła przede wszystkim antylitewska, dopuszczająca się aktów terroru wobec ludności litewskiej. Mało tego, w powszechnej świadomości to właśnie AK, a nie litewska administracja, współpracowała z Niemcami. Ta ostatnia, podobnie jak wojsko gen. Plechaviciusa była postrzegana jako namiastka litewskiego państwa. Przekonanie o współdziałaniu AK z Niemcami miało, jak się zdaje, swe źródło w ogólnej niechęci do tej formacji, na którą to niechęć nałożyły się oskarżenia sowieckiej historiografii i propagandy (a przed 1956 także i polskiej). W tej sytuacji, stwierdzony przez litewskich historyków jakikolwiek fakt rozmów, chociażby rozejmowych, poszczególnych dowódców AK z dowódcami niemieckimi, uzyskiwał rangę konfirmacji tej powszechnie akceptowanej tezy i był podchwytywany przez polityków i publicystów.

Powszechna była nieświadomość takich faktów, jak skład narodowościowy „okupowanego przez Polskę” w latach 1920–1939 Wilna (w którym Litwinów było mniej niż 1%), fakt uznania granicy polsko-litewskiej w 1923 roku przez Radę Ambasadorów i w ślad za tym, przez całą w zasadzie społeczność międzynarodową (z USA i Stolicą Apostolską włącznie), czy fakt, że „okupacja” była wynikiem świadomej decyzji sejmu wileńskiego, wybranego w powszechnych wyborach przy frekwencji ok. 64%.

Konsekwentnie więc, wzorem lat międzywojennych granicę polsko-litewską sprzed 1939 roku nazywano (i nazywa się nadal) „linią demarkacyjną”.

Litewski punkt widzenia różny jest także od naszego na wcześniejszy okres wspólnej historii. Okres Unii postrzegany jest jako okres stopniowej utraty państwowości i okres polonizacji elit. Inaczej patrzą też Litwini na Konstytucję 3-go Maja, która formalnie położyła kres odrębności państwowej Wielkiego Księstwa. Poza Grunwaldem (*nota bene*, gdzie zdaniem Litwinów dowodził Witold a nie Jagiełło) trudno znaleźć wydarzenia ze wspólnej historii, względnie jednakowo oceniane.

Litewskie przewrażliwienie demonstrowane na początku lat 90-tych, wyostrenie uwagi na wszystkie gesty strony polskiej, w wielu wypadkach wydawało się nam nieracjonalne,

przesadne, nieraz wręcz obsesyjne (np. wypowiedziany przez jednego z najpoważniejszych polityków litewskich zarzut, że kult Matki Boskiej Ostrobramskiej w Polsce jest przejawem... polskiego imperializmu). Trzeba jednak pamiętać, że wśród wielu litewskich środowisk nie było antypolskiej fobii, przeciwnie, polska literatura, muzyka, czy w ogóle kultura cieszyła się wielkim szacunkiem, podziwiano Polaków za ich sukcesy w obaleniu komunizmu, w budowie nowoczesnego demokratycznego państwa. Widziano też w Polsce naturalnego sojusznika Litwy i przewodnika do struktur Europy Zachodniej. W środowiskach tych, z zażenowaniem patrzono na przejawy litewskiego nacjonalizmu i zdawano sobie sprawę z konieczności cywilizowanego, europejskiego uregulowania problemów mniejszości narodowych na Litwie, w tym głównie mniejszości polskiej. Jednak wspomniana „przedwojenna litewskość”, charakteryzująca się obawą przed kulturalną i militarną dominacją Polski, czy najogólniej rzecz ujmując, przed polonizacją, była na początku lat 90-tych cechą dominującą w znacznej liczbie środowisk litewskich. Charakteryzowała się ona dużą nieufnością wobec Polski i irracjonalną nieco obawą, że w odradzającej się Europie Polska zechce powrotu do przedwojennego *status quo*, a więc zażąda od Litwy Wilna i Wileńszczyzny.

5. Te obawy, obserwowane znad Wisły wydawały się czymś irracjonalnym i obsesyjnym. Nad Wilią, urealniali je niestety postawy i działania niektórych prominentnych i wpływowych działaczy polskich. Ci ostatni, w sporze Litwy z ZSSR stali niestety po stronie tego ostatniego. Większość polskich deputowanych do Litewskiej Rady Najwyższej w historycznym dla Litwy głosowaniu nad Aktem Niepodległości w dniu 11 marca 1990 roku jako jedynych wstrzymało się od głosu (w liczbie wstrzymujących się był m.in. prezes Związku Polaków na Litwie, R. Maciejkianiec).

Działacze polscy (m.in. J. Ciechanowicz) wydawali po polsku sowiecką gazetę *Ojczyzna*, w stopce której z dumą akcentowali, że gazeta ukazuje się bez zgody władz litewskich, ale za to, za zgodą władz w Moskwie. To na łamach tej gazety, znalazło się m.in. podziękowanie dla sowieckiego OMON-u za pacyfikowanie Litwy i Litwinów. Z polskich

środowisk wyszedł też projekt utworzenia „Wschodnio-polskiej Republiki Rad” obejmującej tereny II Rzeczypospolitej wcielone po 1939 do ZSSR (pomysłodawcą był deputowany do RN ZSSR, J. Ciechanowicz). Na koniec podjęto, cieszące się dużym poparciem społeczności polskiej na Litwie działania zmierzające do utworzenia polskiej autonomii politycznej na terenach Wileńszczyzny (z własną flagą, godłem i hymnem). Te ostatnie działania, na nieszczęście, dość hałaśliwie popierały niektóre prawicowe środowiska w Polsce.

Wiele tych działań i inicjatyw było w dodatku zbieżnych z planami KGB wobec Litwy, które dostały się w ręce litewskie i ani władze, ani społeczeństwo litewskie nie były przekonane, że była to zbieżność przypadkowa. Na marginesie warto dodać, że plany KGB przewidywały utworzenie w Wilnie „słowiańskiego”, rosyjsko-polskiego uniwersytetu, a gdyby to było niemożliwe, tylko polskiego.

Nieufność, niechęć, a w niektórych środowiskach litewskich wręcz nienawiść do mniejszości polskiej wywołały postawy tej mniejszości wyrażone w kolejnych referendach.

W referendum z 5 lutego 1991, na pytanie, „czy odpowiadasz się za niepodległą, demokratyczną Republiką Litewską, w zamieszkałym w blisko 70% przez Polaków rejonie wileńskim „tak” odpowiedziało zaledwie 15% uprawnionych. Jeszcze gorzej było w rejonie sołecznickim, zamieszkałym w blisko 90% przez Polaków. W rejonie tym, „tak” zagłosowało zaledwie 13% uprawnionych, przy czym w obu tych rejonach frekwencja była najniższa w całej republice.

Za to w ogłoszonym przez Gorbaczowa w kwietniu 1991 roku referendum, „czy jesteś za utrzymaniem ZSSR?”, zbojkotowanym przez Litwinów, najwyższa frekwencja była w rejonach zamieszkałych przez Polaków, tam też był najwyższy odsetek głosów za utrzymaniem ZSSR. W kolejnym referendum, odbytym już po rozpadzie ZSSR (14 czerwca 1992) na pytanie „czy jesteś za wyprowadzeniem z Litwy wojsk rosyjskich?” w zamieszkałych przez ludność polską rejonach frekwencja była najniższa w całej Litwie, a za wyprowadzeniem wojsk rosyjskich opowiedziało się mniej niż 1/3 uprawnionych. Były to zdecydowanie najgorsze wyniki referendum w całej Litwie. Wyniki referendów ukazywały postawy większości, zdominowanej przez była sowiecką (choć

narodowości polskiej) nomenklaturę, mniejszości polskiej wobec litewskiego państwa.

One określały w dużym stopniu postawy władz litewskich i litewskiego społeczeństwa wobec polskiej mniejszości. Oczywiście zacieranie litewskich środowisk nacjonalistycznych, ewidentne błędy a czasem tylko niezręczności władz i urzędów litewskich, takie postawy społeczności polskiej umacniały, pogłębiały, racjonalizowały a niejednokrotnie prowokowały. Oczywiście wśród Polaków na Litwie były także inne opcje polityczne. Środowisko Czesława Okińczycza (adwokata, deputowanego do Rady Najwyższej i sygnatariusza Aktu Niepodległości Litwy) od początku stawiało na współpracę z niepodległym państwem litewskim przeciw Moskwie, a nie na współpracę z Moskwą, przeciw Litwie. Rozumiało też, że problemy mniejszości polskiej należy załatwiać z władzami w Wilnie, a nie w Moskwie, a później, po rozpadzie ZSSR w niektórych kręgach politycznych w Warszawie. Środowisko to stawiało również na pojednanie polsko-litewskie, widząc w nim szansę także dla mniejszości polskiej na Litwie.

Było to jednak środowisko bez porównania mniej liczne, złożone z przedstawicieli inteligencji, pozbawione wpływów na prowincji.

Zmiana nastawienia Litwinów do społeczności polskiej była procesem trudnym, ciągle trwającym, wymagającym dużej aktywności ale i taktu ze strony władz RP i polskiej dyplomacji. Można mieć nadzieję, że jest to proces na tyle już zaawansowany, że nieodwracalny.

6. Blisko 300 tysięczna społeczność polska zamieszkuje zwarcie najbiedniejsze, najbardziej zaniedbane gospodarczo i cywilizacyjnie pogranicze litewsko-białoruskie. Zacołanie tych terenów jest dziedzictwem przeszłości. W przedwojennej Polsce też należały one do najbardziej zacołanych, zdecydowanie ustępując cywilizacyjnie Litwie Kowieńskiej, której rolnictwo należało wówczas do przodujących w Europie. Społeczność ta należy do najmniej wykształconych narodowości zamieszkujących Litwę, ustępując pod tym względem zdecydowanie mniejszości rosyjskiej (która należy do najbardziej wykształconych) czy Litwinom.

Paradoksalnie, mimo znacznego zsovietyzowania, wykazywała ona znaczne, jak na warunki ZSSR, przywiązanie do Kościoła, świadoma była swych polskich korzeni. Warto zaznaczyć, że w LSSR przez cały czas istniało polskie szkolnictwo podstawowe i średnie (obejmujące łącznie sto kilkadziesiąt szkół), istniała też możliwość odbycia w języku polskim studiów nauczycielskich. Ukazywała się polskojęzyczna gazeta, organ Komunistycznej Partii Litwy – *Czerwony Sztandar*, w której szefem działu ideologii i propagandy był w latach 80-tych dzisiejszy lider polskiej partii o nazwie Akcja Wyborcza Polaków na Litwie, Jan Sienkiewicz. Działały finansowane przez władze polskie zespoły „Wilnia” i „Wileńszczyzna”, działał polski teatr amatorski. Tego wszystkiego nie było w sąsiedniej Białorusi, mimo, że żyło tam co najmniej dwukrotnie więcej Polaków niż na Litwie.

Wbrew panującym przekonaniom, Polacy na Litwie sowieckiej nie byli w stosunku do innych narodów nierosyjskich ZSSR dyskryminowani. Zasiadali w centralnych organach partii komunistycznej (np. R. Maciejkianiec), byli deputowanymi do Rady Najwyższej ZSSR (np. A. Brodawski, J. Ciechanowicz), zasiadali we władzach terenowych (np. Z. Balcewicz był v-merem Wilna), a także w organach przymusu (KGB, MSW) gdzie jeśli uwzględnić odsetek ludności polskiej w całej populacji, to byli nawet nadreprezentowani. Pamiętać jednak trzeba, że ludność polska na Litwie, pozbawiona była przez wojnę, a następnie dwie fale repatriacji do Polski (po 1945 i po 1956 roku) większości warstwy inteligencji a nawet drobnomieszczaństwa, nie mówiąc już o inteligencji twórczej, działaczach społecznych czy politycznych.

W starszym pokoleniu Polaków żywa była pamięć krzywd doznanych od Litwinów kolaborujących z Niemcami w latach 1941-44, pamięć Saugumy, korpusu Plechavičiusa, litewskiej policji, bestialskich mordów w Glinciszkach, Święcianach, Ponarach i wielu innych miejscach. Głęboko zakorzeniona była także zniekształcona legenda Marszałka Piłsudskiego i jego kultem. Rezultatem tego było absolutne przekonanie o wyższości Polaków nad Litwinami, często pogarda dla Litwinów i ich idei niepodległości. Była to owa,

by raz jeszcze użyć określenia Miłosza „zapeklowana polskość”. Zapeklowana na poziomie lat 30-tych.

7. Młody nacjonalizm litewski zderzył się więc po 1990 roku natychmiast z nacjonalizmem polskim. Zdaje się też nie ulegać wątpliwości, że konfliktami narodowościowymi na Litwie zainteresowane były także służby specjalne rozpadającego się ZSSR, a później ich rosyjskie spadkobierczynie i kontynuatorki. Nie bez znaczenia była również postawa różnych środowisk politycznych w Polsce, które świadomie lub czasem może nieświadomie, wspierały nacjonalizm niektórych polskich działaczy na Litwie i ich działania, oceniane przez Litwę (tak przez władze jak i przez opinię publiczną) jako jednoznacznie antylitewskie.

Z kolei nacjonaści litewscy wymyślali coraz to nowe hasła i programy, które w społeczności polskiej w sposób uzasadniony zwiększały poczucie zagrożenia.

Tak np. głoszone poglądy, iż przynależność narodową określa nie świadomy wybór jednostki, ale dziedzictwo krwi, a więc Polacy na Wileńszczyźnie, jako w swej masie spolonizowani Litwini, faktycznie są Litwinami i dziś, i którym należy, nawet wbrew ich woli, ułatwić powrót do zagubionej litewskości. Wymyślono i upowszechniano za pomocą państwowych jeszcze w tym czasie mediów oczywiście nienaukową teorię, iż ludzie, których nazwiska kończą się na -wicz, nie są Polakami, ale jakąś trzecią narodowością („Litwini słowiańskojęzyczni”) itp.

Powszechny był pogląd, że Litwa jest państwem Litwinów, a nie wszystkich zamieszkujących ją narodowości, bowiem tylko Litwini walczyli o niepodległość, a pozostałe narodowości, jeśli nie przeszkadzały, to w najlepszym razie były bierne. Nawiasem mówiąc, było to dość wiernym odwzorowaniem popularnego w Polsce po roku 1918 poglądu endeków. Przyznać jednak trzeba, że mimo takiego podejścia, Państwo Litewskie, w przeciwieństwie do Łotwy czy Estonii, nie czyniło swym mniejszościom narodowym trudności z uzyskaniem litewskiego obywatelstwa. W efekcie ponad 96% zamieszkujących Litwę Polaków przyjęło obywatelstwo litewskie. Przyjęcie tego obywatelstwa było warunkiem ubiegania się o udział w reparytyzacji ziemi,

dlatego do ubiegania się o nie apelowały zarówno Związek Polaków na Litwie, jak i wszystkie środowiska polityczne z Polski. Jednak zarówno ZPL, jak i część środowisk w Polsce, od razu zaczęły się domagać od Państwa Polskiego przyznania Polakom na Litwie także obywatelstwa polskiego.

Głoszenie poglądów nacjonalistycznych, godzących realnie w mniejszość polską, lub, częściej, wywołujących w niej poczucie zagrożenia, było zrozumiałą przyczyną niepokoju i reakcji nie tylko wśród Polaków na Litwie, ale także w Polsce. Stało się to jedną z przyczyn, dla których wiele środowisk w Polsce, z przekonania antykomunistycznych, poparło antylitewskich działaczy polskich z KPZR-owskim rodowodem, widząc w nich obrońców polskości na Litwie.

Niepokój Polaków uzasadniony był tym bardziej, że w ślad za głoszonymi teoriami i propagandą, szły pociągnięcia natury organizacyjno-administracyjnej, służące „umacnianiu litewskości” na Litwie Wschodniej, jak Litwini nazywają Wileńszczyznę. Z polskiego punktu widzenia była to próba lituanizacji zamieszkującej te tereny ludności polskiej i białoruskiej. Takimi pociągnięciami było utworzenie Telewizji Litwy Wschodniej (która swój program emitowała na częstotliwościach na których dotąd retransmitowała na Wileńszczyznę swój program Telewizja Polska) czy powołanie Państwowej Komisji Problemów Regionalnych, na czele której stanął znany z antypolskich wystąpień pos. R. Ozolas, a której celem było „zintegrowanie Litwy Wschodniej z resztą Litwy”, co przy ówczesnym stanie nastrojów społecznych i tendencji ówczesnych władz, znaczyło programową lituanizację, i tak było przez społeczność polską jednoznacznie oceniane. Komisja wsławiła się całym szeregiem inicjatyw zmierzających przede wszystkim do ograniczenia polskiego szkolnictwa. Dodać jednak trzeba, że propozycje komisji i tak nie były realizowane przez władze, jednak niepotrzebnie drażniły społeczność polską.

8. W końcu grudnia 1989 roku w gmachu Sejmu w Warszawie odbyło się spotkanie delegacji Litewskiego Ruchu na Rzecz Przebudowy „Sajudis” pod przewodnictwem Vytautasa Landsbergisa z przedstawicielami Obywatelskiego

Klubu Parlamentarnego pod przewodnictwem Bronisława Geremka. Mówiono o potrzebie wzmacniania poczucia bezpieczeństwa i wzajemnego zaufania, o ruchu granicznym, o przyszłej współpracy gospodarczej. Omawiano także kwestie historyczne i prawne w stosunkach między Litwą a Polską. Szczególnie dużo miejsca poświęcono sprawom mniejszości: Polakom na Litwie i Litwinom w Polsce. Dyskutowano o ich udziale w życiu politycznym, społecznym, kulturalnym i religijnym obydwu krajów. Zgodnie uznano, że mniejszości powinny odegrać istotną rolę w przyszłych samorządach lokalnych, w gestii których powinna znaleźć się większość problemów tych społeczności. Uznano na koniec potrzebę kontynuacji tego typu spotkań i 28 XII 1989 podpisano wspólny komunikat.

Dnia 11 marca 1990 roku, zdominowana przez „Sajudis” Rada Najwyższa Litewskiej Socjalistycznej Republiki Sowieckiej uchwaliła uroczyste Akt Niepodległości Litwy. Z 9 Polaków – deputowanych do Rady Najwyższej tylko 3 (w tym Cz. Okińczyc) głosowało za niepodległością Litwy, pozostali 6 (w tym R. Maciejkianiec) wstrzymało się od głosu. Byli to jedyni deputowani, którzy nie poparli niepodległości Litwy.

Z uwagi na uwarunkowania międzynarodowe, Polska, podobnie jak inne państwa (w tym USA) nie mogła formalnie uznać państwa litewskiego (o czym obszerniej niżej). Mimo braku formalnego uznania niepodległej Litwy, polski parlament wydał oświadczenie, w którym potwierdził ciągłość i niepodległość Państwa Litewskiego od przedwojny.

Nastąpiło też dalsze ożywienie kontaktów na różnych płaszczyznach, w tym kontaktów politycznych. W dwa tygodnie po uchwaleniu Aktu Niepodległości Litwy, delegacja OKP z B. Geremkiem odwiedziła Wilno. W dniu 27 marca 1990 roku przewodniczący delegacji OKP B. Geremek i przewodniczący Klubu Poselskiego „Sajudis” V. Cepaitis podpisali wspomniany wyżej wspólny komunikat. Stwierdzono w nim, jak pamiętamy, iż *Polska granicę między Litwą a Polską traktuje jako równie ostateczną, jak polską granicę na Odrze i Nysie.*

Za jeden z ważniejszych problemów w stosunkach dwustronnych uznano sprawy mniejszości. *Obie strony*

uznały – czytamy w komunikacie – że budując nową Europę, zarówno Polska jak i Litwa stają przed szansą ułożenia wzajemnych stosunków, a także wewnętrznych stosunków narodowościowych, tak aby stały się one modelem dla całego naszego zrzucającego pęta totalitaryzmu regionu. Oznaczałoby to ustawowe uregulowanie spraw mniejszości narodowych i zagwarantowanie im praw do zachowania ich tożsamości kulturowej i językowej w oświacie i samorządzie. Wprowadzenie autentycznego samorządu terytorialnego umożliwi ponadto mniejszościom narodowym zyskanie wpływu na bieg spraw lokalnych.

Mimo braku oficjalnych stosunków, 26 listopada 1990 roku, na prośbę strony litewskiej polski MSZ złożył litewskiemu MSZ obszerny, podzielony na XII rozdziałów „Aide memoire – w sprawie potrzeb mniejszości polskiej w Republice Litewskiej”.

W dokumencie tym, strona polska domaga się zagwarantowania praw mniejszości polskiej, w szczególności jej prawa do zachowania tożsamości narodowej, kulturalnej i językowej, prawa do zrzeszania się, udziału w życiu publicznym, prawa do szkolnictwa w języku ojczystym. Równocześnie strona polska deklarowała w tym dokumencie swoje poparcie dla koncepcji unitarnej Państwa Litewskiego i oświadczyła, że nie popiera dążeń do utworzenia polskiej autonomii politycznej na Wileńszczyźnie.

To ostatnie stwierdzenie wywołało oburzenie niektórych zaangażowanych w budowę autonomii liderów społeczności polskiej na Litwie, a także krytykę w niektórych środowiskach politycznych w Polsce.

Również późną jesienią 1990 roku delegacja litewskiego MSW pod przewodnictwem v-ministra Pietrasa Liubertasa była przyjmowana w polskim MSW, a tematyka rozmów wykraczała poza sfery bezpośredniego zainteresowania obydwu resortów, obejmując m.in. cały szereg spraw dotyczących położenia polskiej mniejszości. Postulaty dotyczące tych spraw przewodniczący delegacji litewskiej zobowiązał się osobiście przekazać premier Kazimierz Prunskienie. Podpisano wówczas wspólny protokół, kładący podwaliny pod późniejszą dobrą współpracę MSW Polski i Litwy.

Obok, z natury rzeczy ograniczonych kontaktów rządowych, ożywione były kontakty międzyparlamentarne. Nawet wówczas, gdy gmach parlamentu litewskiego szykował się do obrony przed czołgami sowieckimi, gościła w nim delegacja posłów OKP.

Do nieformalnej dyplomacji wykorzystywano także kontakty prywatne, szczególne usługi oddał tu dyrektor Ośrodka Studiów Wschodnich w Warszawie, Marek Karp, który był osobiście zaprzyjaźniony z wieloma politykami litewskimi.

Gdy w styczniu 1991 roku niepodległość Litwy była szczególnie zagrożona, min. Algirdas Saudargas przybył do Polski z upoważnieniem do tworzenia litewskiego rządu emigracyjnego, na wypadek, gdyby rząd litewski nie mógł funkcjonować w Wilnie.

Równocześnie społeczeństwo polskie w Polsce czynnie, w różnych formach manifestowało swą sympatię dla walczącego o niepodległość narodu litewskiego (m.in. organizowano manifestacje przed placówkami dyplomatycznymi i konsularnymi ZSSR, zbierano pieniądze na pomoc dla Litwy itp.)

Mało znany jest fakt, utrzymywania w tym czasie kontaktów między Polską i Litwą, także na najwyższym szczeblu. Tak np. święto 3-go Maja 1991 roku stało się okazją do wymiany korespondencji między Przewodniczącym Rady Najwyższej Litwy V. Landsbergisem i Prezydentem RP L. Wałęsą. Jednak mimo tych wszystkich kontaktów, mimo autentycznej sympatii Polski do litewskich dążeń niepodległościowych, a później do obrony tej niepodległości, Polska przez ponad rok (od 11 marca 1990 do 26 sierpnia 1991 roku) nie uznawała formalnie Litwy.

Jak już wspomniano, nie zezwalała na to sytuacja międzynarodowa. Istniał jeszcze ZSSR, który Litwę traktował jako część swego terytorium i uznanie jej niepodległości traktowałby jako akt wrogi. Polska w tym czasie prowadziła z ZSSR trudne negocjacje na temat wyprowadzenia z Polski wojsk sowieckich. Poza tym, sytuacja za naszą wschodnią granicą wcale nie była jeszcze jednoznaczna, a samej granicy polsko-litewskiej wciąż pilnowały sowieckie Wojska Pograniczne KGB. W tej sytuacji nie tylko Polska, jak i żaden

kraj regionu, ale nawet USA i żaden, poza daleką Islandią, kraj NATO nie odważyły się na uznanie Litwy *de iure*.

Sytuacja uległa zasadniczej zmianie po klęsce moskiewskiego puczu. Dnia 26 sierpnia 1991 roku premier Jan Krzysztof Bielecki poinformował listem premiera Litwy Gediminas Vagnoriusa, iż w *dniu dzisiejszym Prezydium Rady Ministrów Rzeczypospolitej Polskiej podjęło decyzję w której wyraża gotowość nawiązania normalnych stosunków międzypaństwowych z Republiką Litewską*. Polski premier przypomniał, że rząd RP na Uchodźstwie nigdy nie uznał likwidacji państwa litewskiego dokonanej przez ZSSR w 1940 roku i stanowczo je potępił, czym wyrażał powszechne odczucie narodu polskiego. W tymże liście, polski premier napisał też: *Rzeczpospolita Polska wierzy, że Polacy mieszkający wśród Was odczują tę zmianę jako polepszenie swej sytuacji. Wiemy, że nie jest to łatwe, ale konieczne i możliwe. Są oni bowiem na ziemiach litewskich dziećmi Obojga Narodów*.

9. Ale ten sam pucz w Moskwie, który kładąc kres istnienia ZSSR, stworzył okazję do nawiązania normalnych stosunków z Litwą, stał się zarazem pośrednio przyczyną poważnego kryzysu polsko-litewskiego.

Na wieść o puczu Janajewa, zdominowane przez polską nomenklaturę partyjno-kołchozową rady rejonowe sołecznicka i wileńska uznały, że oto nadchodzi renesans ZSSR. Prominentni działacze tych rad opowiedzieli się po stronie puczystów i ZSSR (dwóch z nich do dziś ukrywa się prawdopodobnie na Białorusi i ściganych jest na Litwie listami gończymi).

W odpowiedzi na to, w tydzień po uznaniu Litwy przez Polskę, 4 września 1991 roku Rada Najwyższa Republiki Litewskiej uchwałą Nr I-1754 rozwiązała rady rejonowe rejonu sołecznickiego i wileńskiego, oraz zdominowaną przez Rosjan radę Sniečkus (Visagina), rejonu ignalińskiego.

Nie wdając się w ocenę motywacji litewskiej (władze litewskie dawały do zrozumienia, że dysponują także informacjami zdobytymi przez służby specjalne, wykraczające daleko poza to, co zostało ujawnione), trzeba powiedzieć, że tak czy inaczej, społeczność polska pozbawiona została

jakiegokolwiek reprezentacji na szczeblu samorządowym, zaś wyznaczeni przez rząd litewscy komisarze, swoją działalnością niestety potwierdzali, iż w swoich poczynaniach kierują się chęcią odwetu na ludności polskiej. Na różne sposoby nękali polskie szkolnictwo, zaniedbywali proces reprywatyzacji ziemi, przydzielali nie sprywatyzowaną jeszcze ziemię przyszłym z innych stron Litwy bądź z Wilna na działki budowlane itp.

Na rozwiązanie rad rejonowych zareagował prezydent Lech Wałęsa, który w liście do przewodniczącego RN Vytautasa Landsbergisa w dniu 15 września 1991 napisał m.in.: (...) *rozwiązanie rad rejonów sołecznickiego i wileńskiego zamieszkałych w większości przez Polaków, wprowadzenie zarządu komisarycznego (...) naruszają prawa polskiej mniejszości narodowej. Jeżeli poszczególni deputowani rozwiązanych rad naruszyli prawo Republiki Litewskiej, jak to motywują władze, to wobec tych osób powinno zostać zastosowane przewidziane prawem działania. Niedopuszczalne jest natomiast stosowanie zasady odpowiedzialności zbiorowej w stosunku do całej społeczności polskiej*.

Na list ten V. Landsbergis odpowiedział 1 października 1991 roku. Napisał między innymi: *Pana niepokój o mniejszość polską chciałbym rozwiać wyjaśnieniem, że polityczne i prawne środki [zastosowane] wobec trzech miejscowych samorządów, zdominowanych przez ludzi działających na rzecz Kremla przeciwko Republice Litewskiej nie były wymierzone przeciwko mniejszości polskiej (...) żadne decyzje parlamentarne nie są wymierzone przeciwko tożsamości Polaków a ograniczenie działalności pewnych grup politycznych nie może być nazywane ograniczeniem praw mniejszości narodowej*.

Na ten list z kolei, w dniu 16 grudnia 1991 roku odpowiedział Lech Wałęsa. Polski prezydent zwrócił w swym liście uwagę, że *Republika Litewska utrzymuje nienormalny stan powstały po rozwiązaniu samorządów i zaapelował o zredukowanie okresu zawieszenia demokracji lokalnej i rozpoznanie możliwie szybkich wyborów do ciał przedstawicielskich w wymienionych rejonach*. Już w cztery dni później, 20 grudnia 1991 roku odpowiedział Landsbergis.

W swym kolejnym liście przekonywał polskiego prezydenta: *Pan zgodzi się, że nadal istnieją siły, które chciałyby destabilizować sytuację w tym regionie Europy (...) Odziedziczyliśmy sieci niektórych takich sił, splecione przez wspólne wysiłki KGB-KPZR-PZPR i naszym zadaniem jest zerwać te sieci, a nie wpaść [w nie], nawet jeżeli pływaki były pośpiesznie przemalowane na kolor wojowniczego nacjonalizmu.*

Tak więc, stosunki polsko-litewskie, zaraz po uznaniu Litwy przez Polskę i po nawiązaniu oficjalnych stosunków, znalazły się w głębokim kryzysie.

10. Podpisanie w styczniu 1992 roku przez ministrów spraw zagranicznych obu państw wspólnej „Deklaracji o przyjaznych stosunkach i dobrosąsiedzkiej współpracy między Rzeczpospolitą Polską i Republiką Litewską”, było poważną próbą przełamania impasu. Świadczyło o wielkiej mądrości politycznej i dalekowzroczności obu ministrów. Na razie obydwaj zostali skrytykowani i obrzuceni błotem.

W Polsce niektóre środowiska określające się jako prawicowe, miały pretensje do ministra Skubiszewskiego, że jedzie do Wilna i podpisuje Deklarację w czasie, kiedy rady rejonowe wileńska i solecznicka są rozwiązywane i nie ma wyznaczonego terminu nowych wyborów.

Na Litwie, prawica miała pretensje do ministra Saudar-gasa, że podpisał Deklarację, w której Polska „nie przeprosiła za agresję Żeligowskiego”. Liderzy polskiej społeczności na Litwie, w tym osławiony p. Maciejkianiec, w tym czasie prezes frakcji polskiej w Radzie Najwyższej, oskarżali min. Skubiszewskiego, iż przybył do Wilna i „podpisał Deklarację na kolanach”, klęcząc przed Litwinami. Oskarżenie to, tyleż głupie co krzywdzące zostało szeroko rozkolportowane w środowiskach polskich na Litwie, nastawiając nieufnie społeczność polską do polskich władz i ich polityki wschodniej. Zarzut ten sformułowany ostatecznie przez Jana Sienkiewicza na łamach wydawanego przez niego (*nota bene* głównie za pieniądze z Polski!) *Magazynu Wileńskiego*, że „rząd polski frymarczy losami Polaków na Litwie” będzie odtąd powtarzany przez polskich działaczy przy każdej niemal okazji.

Tymczasem, aż do chwili podpisania traktatu (tj. do 26 kwietnia 1994 roku), to jest przez ponad dwa lata, Deklaracja była jedynym dokumentem dwustronnym, regulującym stosunki polsko-litewskie! W oparciu o zapisy Deklaracji można się było upominać m.in. o prawa mniejszości polskiej. Wyznaczała też ona kierunki prac po obu stronach granicy, które zaowocować miały później Traktatem. W tym okresie podpisanie Deklaracji stanowiło moment przełomowy. Było wynikiem dalekowzroczności jej twórców, którzy potrafili oderwać się od aktualnych konfliktów i obustronnych pretensji i spojrzeć odważnie na przyszłość stosunków polsko-litewskich.

Samo podpisanie Deklaracji automatycznie stosunków tych nie poprawiło, dało jednak podstawy do ich stopniowej poprawy. Tymczasem, do końca 1992 roku, stosunki polsko-litewskie były zdecydowanie złe i pokomplikowane. Popisy nacjonalistów Obojga Narodów, stosunki te dodatkowo jeszcze bardziej komplikowały, a alergie na nacjonalizm, ale drugiej strony, były ogromne. W konsekwencji w zapomnienie poszły wzajemne zapewnienia i deklaracje z ostatnich lat. Litwa przestała liczyć na Polskę jako naturalnego partnera i pośrednika w drodze do zjednoczonej Europy. To wtedy zrodziły się owe fantastyczne pomysły litewskiej drogi do Europy... przez Skandynawię. W tym okresie przyszło mi rozpoczynać moją misję Ambasadora RP na Litwie. (Do Wilna przybyłem 25 maja 1992 roku).

11. W przemówieniu jakie przy okazji składania listów uwierzytelniających wygłosiłem do Przewodniczącego Rady Najwyższej Vytautasa Landsbergisa, powiedziałem m.in. że wielkość każdego narodu określa się poprzez ocenę jego stosunków z silniejszym i słabszym. Bo miarą wielkości narodu jest jego odwaga, ale i wielkoduszość. Naród litewski narodu jest jego odwaga, ale i wielkoduszość. Naród litewski wykazał się odwagą nie uginając się przed silniejszym. Z konsekwencją i determinacją przeciwstawił się Związkowi Sowieckiemu i wywalczył swą niepodległość. Spotkał się za to z uznaniem całego świata, w tym w szczególności z uznaniem Polski i Polaków. Teraz świat i Polska czeka jak Litwa postąpi ze słabszym, czy wykaże swą wielkoduszość. Nie musiałem

precyzować o co mi chodzi. W rozmowie jaką odbyłem w chwilę później z V. Landsbergisem, ten ostatni nawiązał do tego wątku mojej wypowiedzi. Zapewnił, że Litwa „wykaże swą wielkoduszność” rozpisując wybory do rozwiązanych rad. Nie może to jednak nastąpić od razu bowiem „wybraliby tych samych”, że musi upłynąć trochę czasu, musi umocnić się litewska państwowość, a prokuratura musi zakończyć śledztwo w sprawie działalności antylitewskiej niektórych działaczy i ich związków z puczystami z Moskwy. Krótko mówiąc, że wybory odbędą się dopiero w jesieni, jeżeli nic nadzwyczajnego się nie wydarzy.

Ówczesne zadania naszej polityki i dyplomacji na Litwie, z uwagi na zastany stan faktyczny i z uwagi na nasze długofalowe interesy można by uszeregować następująco:

1. Pilnowanie przestrzegania postanowień Deklaracji z 13 stycznia 1992.

2. Doprowadzenie do możliwie najszybszego rozpisania wyborów do rozwiązanych rad rejonowych wileńskiej i sołecznickiej.

3. Domaganie się dla ludności polskiej praw wynikających ze standardów europejskich.

4. Doprowadzenie do rozpoczęcia negocjacji traktatu bez warunków wstępnych.

5. Niedopuszczenie do nowych zadrążeń, a równocześnie nieustępowanie z imponderabiliów.

6. Nie czekając na podpisanie Traktatu, budowanie infrastruktury prawno-traktatowej (podpisywanie umów między państwowych, międzyrządowych i porozumień międzyresortowych) umożliwiającej współpracę dwustronną i stwarzającą ułatwienia dla obywateli obydwu państw, a także ożywienie współpracy gospodarczej, naukowej, kulturalnej.

7. Wspieranie tych działań mniejszości polskiej, które zmierzają do utrzymania tożsamości narodowej, do rozwoju jej oświaty, kultury i życia społecznego i samorządowego.

Realizacja wszystkich tych zadań wymagała od nas cierpliwego budowania zaufania ze strony litewskiej. Miała ona w konsekwencji zmierzać do pojednania polsko-litewskiego. Wymagało to (i nadal wymaga) autentycznego dialogu, wy-

kraczającego poza dialog dyplomatów i polityków. Wymaga długofalowego programu autentycznej, nie tylko deklarowanej współpracy naukowej, kulturalnej, samorządowej itd. Nawiasem mówiąc, takiego programu dotąd nie ma, ani po stronie polskiej ani litewskiej. Powołana w roku 1996 równocześnie przez prezydentów Polski i Litwy Fundacja im. Adama Mickiewicza, która wedle założenia, miała stanowić zaplecze materialne dla realizacji takiego programu, jak dotąd nie odgrywa większej roli.

12. Deklaracja z natury rzeczy nie jest umową międzynarodową. Nie zawiera ona obowiązujących norm prawnych, a jedynie zapewnienia o pewnych obustronnych dążeniach i intencjach. Pilnowanie przestrzegania Deklaracji nie mogło więc polegać na wskazywaniu, ani tym bardziej protestowaniu, że ta, czy inna norma została naruszona, bowiem jak wspomniano, Deklaracja norm nie zawiera, a jedynie postulaty. Trzeba więc było cierpliwie przekonywać, że to czy owo działanie władz lub urzędów jest niezgodne z „duchem Deklaracji” i wyrażonej w niej woli postępowania, niezgodne z deklarowanym dążeniem.

W oparciu o Deklarację interweniowaliśmy w wielu sprawach. Skuteczna interwencja uchylająca zakaz posługiwania się w polskojęzycznych mediach polskimi nazwami geograficznymi i innymi nazwami własnymi (np. zamiast „Wilno” kazano w polskojęzycznych gazetach pisać „Vilnius”, zamiast „Kowno” – „Kaunas” itp.) jest powszechnie znana. Inną skuteczną interwencją dokonaną w oparciu o Deklarację było doprowadzenie do zarejestrowania nowego statutu Związku Polaków na Litwie (mimo niedopełnienia przez władze Związku pewnych formalności), co było warunkiem koniecznym dla zgłoszenia kandydatów w wyborach do Sejmu w 1992.

Interweniowano wielokrotnie na różnych szczeblach władzy i administracji także w wielu innych sprawach (m.in. pisowni polskich nazwisk, w sprawach polskiego szkolnictwa, uznawania polskich dokumentów międzywojennych jako dowodów przy zwrocie ziemi). Nasze interwencje wywoływały nieraz protesty litewskich środowisk nacjonalistycznych, które, jak np. stowarzyszenie „Vilnija” uznawały to za

mieszanie się w wewnętrzne sprawy Litwy i domagały się uznania mnie za *persona non grata*. W tym samym czasie, radykalni działacze polscy nieraz w brutalnej formie zarzucali nam bezczynność i zbyt nikłe, ich zdaniem, wspieranie ich żądań i działań.

13. Sprawa rozpisania wyborów do rozwiązanych rad samorządowych była przedmiotem rozmów na wszystkich możliwych szczeblach. Była też przedmiotem wymiany korespondencji między głowami państw. Dano stronie litewskiej do zrozumienia, że do czasu wyznaczenia terminu wyborów, Prezydent RP nie spotka się z Przewodniczącym Rady Najwyższej, mimo iż ten ostatni kilkakrotnie udając się na Zachód tranzytem przez Polskę, zatrzymywał się na lotnisku w Warszawie i w różnych formach zabiegał o takie spotkanie.

Inna sprawa, że gdy wreszcie rozpisano te rzekomo tak bardzo oczekiwane przez mniejszość polską wybory (na dzień 22 listopada 1992), frekwencja była tak niska, że nie wybrano wymaganej liczby deputowanych i wybory trzeba było powtórzyć.

14. Dla mniejszości polskiej na Litwie Państwo Polskie domagało się praw wynikających ze standardów europejskich. Było to przedmiotem zarówno rozmów prowadzonych na różnych szczeblach, jak i przedmiotem zdecydowanych interwencji i protestów, gdy standard ten był naruszany bądź tylko zagrożony. Ale przede wszystkim znalazło to wyraz w negocjacjach Traktatu, w którym zawarto liczne postanowienia i gwarancje dla mniejszości, niekiedy standard ten rozszerzające (o czym niżej).

Szczególnie zabiegaliśmy o prawo do zrzeszania się dla naszych weteranów, w tym weteranów AK. Równocześnie deklarowano, że żądania naszej mniejszości, wykraczające poza ten standard (jak np. żądanie politycznej autonomii czy praktyczne jej budowanie) nie spotkają się z naszym poparciem ani życzliwością. Ta ostatnia deklaracja i jej praktyczna realizacja spowodowała oskarżenie wykonawców polskiej polityki zagranicznej przez część środowisk kresowych w Polsce i liderów społeczności polskiej na Litwie o zbyt

uległość wobec Litwy, a nawet absurdalnie, o zdradę interesów narodowych czy wręcz o spisek z nacjonalistami litewskimi, mający na celu tępienie polskości!

Nawiasem mówiąc, deklaracja ta realizowana była od początku bardzo niekonsekwentnie. Sformułowana w MSZ, wspierana przez rząd i prezydenta a realizowana konsekwentnie przez ambasadę, była cały czas ignorowana przez dysponującą środkami budżetowymi wielokrotnie przekraczającymi środki jakimi dysponował MSZ, „Wspólnotę Polską”, komisje senackie, poszczególne ugrupowania polityczne, indywidualnych polityków, posłów czy senatorów. Manifestowało się wspieraniem politycznym a zwykle także materialnym tych polityków polskich na Litwie i tych ich inicjatyw, które poza ten standard drastycznie wykraczały, a nieraz nawet były jawnie antylitewskie i antypaństwowe;

15. Strona litewska domagała się potępienia w Traktacie „agresji Żeligowskiego”. Brak tego potępienia w Deklaracji był, jak wspomniano, przyczyną ataków na ministra spraw zagranicznych A. Saudargasa. Gdy bawiący w Polsce jesienią 1992 roku litewski premier Abišala, w czasie konferencji prasowej dał do zrozumienia, że strona litewska być może nie będzie się upierać, aby w Traktacie oceniać „agresję Żeligowskiego”, na Litwie został zaatakowany publicznie przez przewodniczącego sejmowego komitetu spraw zagranicznych V. Povilionisa i przez większość prasy. Zarzucano mu wprost zdradę interesów Litwy.

Zmiana władzy dokonana na Litwie w wyniku wyborów do Sejmu jesienią 1992 problemu tego nie rozwiązała. Wprawdzie działacze zwycięskiej Litewskiej Demokratycznej Partii Pracy w rozmowach w cztery oczy przyznawali, że sprawa „agresji Żeligowskiego” nie jest dla aktualnych stosunków z Polską istotna, i ich zdaniem, można z tego w trakcie zrezygnować, ale jednocześnie zaznaczali, że muszą się w tym względzie liczyć z własną opinią publiczną, a ta w swej większości uznawała pominięcie tej sprawy w Traktacie, jako co najmniej niezrozumiałą, a wcale poważną część tej opinii uznawały to wręcz za zdradę.

W efekcie, w pierwszym projekcie Traktatu jaki otrzymaliśmy od strony litewskiej, „agresja Żeligowskiego” w

preambule była potępiona. Równocześnie, w poczytnej prasie w Polsce, niektórzy poważni autorzy zaczęli rozważać, czy dla dobra stosunków polsko-litewskich nie należałoby Litwinom ustąpić, w końcu w sprawie, która jest bez praktycznego znaczenia.

Dlaczego jednak nie mogliśmy się zgodzić na to, by ocenę „agresji Żeligowskiego” wpisywać do Traktatu? Nie chodziło już o to, że do sprawy przynależności państwowej Wilna i Wileńszczyzny w okresie międzywojennym nasza historiografia, a w ślad za nią opinia publiczna ma stosunek inny niż historiografia i opinia publiczna na Litwie. Była to więc w pewnym sensie sprawa prestiżowa. Ale był tu jeszcze wzgląd ważniejszy. Przyznanie – wbrew naszej historiografii, wbrew naszemu stanowisku wyrażanemu oficjalnie przez władze Rzeczypospolitej w okresie międzywojennym i na Uchodźstwie a akceptowanemu przez społeczność międzynarodową – że Polska w latach 1920-1939 okupowała część Litwy, musiałoby rodzić doniosłe konsekwencje polityczne i prawne.

Polskie dokumenty urzędowe, wyroki sądowe itp. wydane przez sądy i urzędy polskie w d. województwie wileńskim i części województwa nowogródzkiego, uznane by zostały za nieważne, bo wydane przez władze okupacyjne. Mogło to mieć istotne znaczenie w procesie reparytacji ziemi, istotnie dyskryminując społeczność polską. Służba w Wojsku Polskim stawałaby się służbą w wojsku okupacyjnym, zarzut nielegalności działań AK na Wileńszczyźnie uzyskałby potwierdzenie ze strony polskiej itd. To z kolei utrudniłoby proces rejestracji polskich organizacji kombatanckich na Litwie, o co z dużym trudem zabiegaliśmy.

Aby umożliwić rozpoczęcie negocjacji Traktatu, zaproponowaliśmy aby kwestie sporne, dotyczące historii stosunków polsko-litewskich umieścić w odrębnej deklaracji. Nie precyzowano przy tym, czy będzie to „deklaracja” podpisana przy okazji podpisywania Traktatu, czy może ogłoszona kiedyś później wspólna „deklaracja” dwóch parlamentów albo dwóch prezydentów. Pod koniec negocjacji, gdy wynegocjowano już większość postanowień Traktatu, strony zgodnie uznały, że odrębna deklaracja nie będzie potrzebna, a kwestie, które miały ewentualnie stanowić jej

treść, należy umieścić w preambule. W tej fazie było jasne, że Polska, na żadne oceny akcji Żeligowskiego nie wyrazi zgody, a strona litewska proponowała kolejne, łagodzone wersje zapisu, sprowadzające się do uznania przez Polskę, że „Wilno zawsze było stolicą Litwy”, co nawiasem mówiąc dla Polski także było nie do przyjęcia. Byłoby to bowiem pośrednim uznaniem, że w okresie międzywojennym Polska okupowała Wilno i Wileńszczyznę. Po różnych dramatycznych nieraz negocjacjach, okresach impasu, o których dziś za wcześniej jeszcze pisać bardziej szczegółowo, po wizycie w Wilnie osobistego wysłannika prezydenta Lecha Wałęsy w osobie Andrzeja Zakrzewskiego – sekretarza stanu w Kancelarii Prezydenta, po odbytej przez nas bezpośredniej rozmowie z prezydentem Brazauskasem, ustalono ostateczną treść spornych zapisów i ustalono datę parafowania Traktatu, które dokonać się miało w Warszawie. Ustalono też, że Traktat podpiszą osobiście prezydenci, w czasie kwietniowej wizyty prezydenta Wałęsy w Wilnie. Parafowanie Traktatu, które odbyło się w Warszawie 18 marca 1994 roku (parafowali ministrowie spraw zagranicznych Povilas Gylys i Andrzej Olechowski) w Wilnie wywołało manifestację przeciwników Traktatu, którzy w liczbie ok. 1000 osób zgromadzili się przed gmachem Parlamentu. Treść transparentów niesionych przez manifestantów wymierzona była w Traktat, który rzekomo był polskim dyktatem i personalnie we mnie, urzędującego w Wilnie polskiego ambasadora.

Również w Polsce, zainspirowani przez działaczy organizacji kresowych i działaczy Związku Polaków na Litwie, posłowie w liczbie 82, w dodatku głównie z SLD i PSL, na krótko przed parafowaniem Traktatu, w adresowanym do prezydenta, premiera i ministra spraw zagranicznych, a także do Marszałków obu Izb memoriale, zakwestionowali dotychczasowy dorobek negocjacji, skrytykowali jego treść (*nota bene* większości sygnatariuszy memoriału nieznana) i praktycznie zażądali jego renegocjacji. Domagali się wpisania do Traktatu postanowień absurdalnych, absolutnie nie do przyjęcia dla strony litewskiej (m.in. autonomii dla ludności polskiej, uznania za szkołę akademicką tzw. Uniwersytetu Polskiego, który nie spełniał i spełniać nie mógł najbardziej elementarnych wymogów stawianych uniwersytetem).

Po ostrej reakcji polskiego MSZ i min. Olechowskiego osobiście, a także dzięki zdecydowanej postawie A. Kwaśniewskiego, ówczesnego przewodniczącego klubu poselskiego SLD (którego posłowie stanowili większość sygnatariuszy tego nieszczęsnego memoriału), znaczna część posłów wycofała swe podpisy, a sprawa uległa na szczęście wyciszeniu.

Podpisanie Traktatu nastąpiło w dniu 26 kwietnia 1994 roku w Wilnie, w czasie wizyty oficjalnej Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Lecha Wałęsy.

Okres przygotowań do Traktatu poświęcono na intensyfikację spotkań na różnych szczeblach, na nawiązywanie i rozwijanie współpracy między różnymi resortami (szczególnie znaczenie propagandowe, ale także i moralne, miała dobrze rozwijająca się współpraca wojskowa), a także na wspieranie kontaktów instytucji pozarządowych. Próbowano także budować propolskie lobby w litewskim społeczeństwie.

16. Jak wiadomo, na Litwie znajduje się wiele polskich pamiątek narodowych, z których znaczenie największe i najbardziej symboliczne ma Mauzoleum Matki i Serca Syna (grób matki Józefa Piłsudskiego, w którym złożona została też urna z sercem Marszałka) na cmentarzu Rossa w Wilnie. Miejsce to jest przedmiotem szczególnego kultu Polaków, tak miejscowych, jak i w większym jeszcze stopniu przyjeżdżających z Polski. Pamięć Józefa Piłsudskiego i jego żołnierzy poległych w walkach o Wilno w 1919 roku, ze zrozumiałych względów zupełnie inaczej odczytywana jest przez Litwinów. To, że żołnierze polscy zginęli wyzwalać Wilno z rąk sowieckich, odbierane jest przez Litwinów tak, jak my w Polsce odbieramy żołnierzy sowieckich, którzy polegli u nas wyzwalać nasze ziemie spod niemieckiej okupacji.

Stosunek społeczeństwa litewskiego do AK można porównać natomiast z naszym stosunkiem do UPA. Nieważne w tym momencie, czy jest to postawa słuszna czy nie. Ona po prostu jest taka i trzeba się z tym liczyć, co nie przeszkadza w podejmowaniu prób zmiany tego stanowiska. Mimo to, jeszcze w 1992 roku udało się nam uzyskać zgodę władz litewskich (w sprawę zaangażowaliśmy najwyższe władze litewskie), na uporządkowanie części wojskowej cmentarza na Rossie i uzupełnienie rzędów grobów żołnierzy

poległych w 1919, grobami żołnierzy AK poległych w 1944 w ramach realizacji operacji „Ostra Brama”, którzy dotąd pochowani byli w sposób chaotyczny w różnych miejscach cmentarza. Co prawda fakt przebudowy i uporządkowania cmentarza na Rossie wywołał falę oburzenia wśród niektórych środowisk politycznych na Litwie i wielką awanturę w prasie, ale odbyło się to już po fakcie, po zakończeniu prac i po uroczystym poświęceniu odnowionego cmentarza, na które władze litewskie, choć same uroczystość zbojkotowały i mimo zaproszenia nie przybyły, ale wyraziły zgodę na jej odbycie. We wspomnianej uroczystości wzięli udział m.in. przedstawiciel prezydenta RP min. A. Zakrzewski, przedstawiciele rządu RP i WP, a Mszę Świętą celebrował biskup połowy WP Leszek Sławoj Głódź. Uczestniczyły w niej także liczne przybyłe delegacje kombatanów z Polski. Nowe urządzenie cmentarza wojskowego na Rossie, jego przebudowa, wreszcie uroczystość otwarcia stały się pewnym istotnym precedensem. Wytworzył się tolerowany przez władze litewskie, zwyczaj składania przez ambasadora RP wieńców przy Mauzoleum, przy okazji polskich świąt państwowych i rocznic. Składanie wieńców w tym miejscu, a także kwiatów na polskim cmentarzu wojskowym na Antokolu stało się elementem protokołu wszystkich wizyt polskich wysokich i najwyższych dostojników państwowych składających wizyty w Wilnie.

W kwietniu 1994 po podpisaniu Traktatu, wieniec na Rossie składał prezydent Lech Wałęsa w obecności prezydenta Litwy, Algirdasa Brazauskasa. W marcu 1996, wieniec na Rossie składał prezydent Aleksander Kwaśniewski. Stało się też zwyczajem, że po złożeniu wieńca przy Mauzoleum Serca Marszałka, delegacja polska składała wiązkę kwiatów także na grobie Jonasa Basanavičiusa, zasłużonego dla odrodzenia narodowego Litwy, sygnatariusza Aktu Niepodległości Republiki z 1918 roku.

Przy okazji należy wspomnieć, że na cmentarzu wojskowym na Rossie wcale często zdarzają się zgromadzenia przybyłych do Wilna obywateli polskich, połączone z wygłaszaniem przemówień, recytowaniem wierszy, śpiewaniem polskich pieśni patriotycznych w otoczeniu polskich flag narodowych itp. Zgromadzenia te nie są uzgadniane z litewskimi władzami i ewidentnie naruszają litewski porządek

prawny, z czego organizatorzy tych imprez ani uczestnicy najczęściej nie zdają sobie nawet sprawy. Jednak takie imprezy nigdy nie wywołały żadnych reakcji ze strony litewskich władz, które je ignorowały ale przecież tolerowały zarazem. Nie ulega natomiast wątpliwości, że imprezy takie, ze zrozumiałych względów drażnią litewską opinię publiczną i do budowania klimatu wzajemnego zaufania się nie przyczyniają.

W pewnym sensie konsekwencją precedensu, jakim była przebudowa wojskowej Rossy była duża, finansowana przez państwo polskie operacja restauracji polskich pomników, cmentarzy, kwater i pojedynczych grobów wojskowych rozpoczęta wiosną 1996 roku. Objęła ona m.in. cmentarz na Rossie (wojskowy i kwaterę wojskową na Nowej Rossie), kwaterę wojskową na cmentarzu antokolskim, kwatery wojskowe i pomniki m.in. w Mejszagole, Święcianach, Hoduciszkach.

Wcześniej zabiegom pielęgnacyjnym poddano „dąb Marszałka” sadzony w latach 30-tych przez prezydenta Mościckiego w Żuławie, w miejscu, w którym kiedyś znajdowała się sypialnia dworu, w której w 1867 roku przyszedł na świat Józef Piłsudski. Dąb po konserwacji został ogrodzony metalowym płotem. Poddano też renowacji chrzcielnicę kościoła w Powiewiórcie, w której wedle tradycji był chrzczony przysły Pierwszy Marszałek Polski. Chrzcielnicę umieszczono w specjalnej ozdobnej gablocie, w nawie głównej kościoła i w ten sposób udostępniono turystom. Również na nasz wniosek, Wojsko Polskie ufundowało do tego kościoła ołtarz soborowy, którego dotąd tu nie było. Również staraniem ambasady, jeszcze jesienią 1992 roku, specjalną marmurową tablicą upamiętniono fakt uwięzienia Mickiewicza w bazylikańskim klasztorze, przypominając, iż jest to zarazem miejsce akcji III Części „Dziadów”. Doprowadzono też do wznowienia w Celi Konrada „śród literackich”, czyniąc z nich spotkania literackie polsko-litewskie, a także polsko-litewsko-białorusko-ukraińskie.

Poważnym problemem, bardzo trudnym do rozwiązania, była sprawa oceny działalności AK na Wileńszczyźnie. Chodziło tu nie tylko o sprawy natury prestiżowej, ale o konsekwencje praktyczne, takie jak możliwość legalnego

zorganizowania się środowiska weteranów AK na Litwie i możliwość legalnego upamiętniania miejsc walk i pochówków żołnierzy tej formacji. Gdyby ograniczyć się przy załatwianiu tego problemu tylko do interwencji u władz, sprawa nie byłaby załatwiona nigdy. Tu konieczne było działanie nastawione na zmianę atmosfery społecznej, zmianę funkcjonujących powszechnie w społeczeństwie ocen, z którymi każda władza musiała się liczyć. Aby tego dokonać, sprowadziliśmy na Litwę i rozprowadziliśmy po wszystkich bibliotekach naukowych kilkaset zestawów monografii naukowych na temat AK. Inspirowaliśmy też i wsparli wydanie po litewsku książki popularnonaukowej, stanowiącej swoiste wypisy z polskiej literatury naukowej na temat AK. Jako ambasador nie uchylałem się od udziału w publicznych dyskusjach, toczonych na łamach prasy i spotkaniach naukowych na temat AK i jej działalności. Do tego tematu wracałem wielokrotnie w różnych wypowiedziach prasowych, telewizyjnych, w dyskusjach z historykami lub dziennikarzami. Był to też stały temat rozmów z litewskimi przedstawicielami władz.

Litewska opinia publiczna była dobrze poinformowana o zbrodni dokonanej na cywilnej ludności litewskiej w czerwcu 1944 roku w Dubinkach przez oddział AK pod dowództwem mjr. Łupaszki. Natomiast na ogół nieznany był fakt, że ta ewidentna zbrodnia żołnierzy AK była odwetem za zbrodnię litewskiej policji pozostającej na usługach niemieckich, na polskiej ludności folwarku Glinciszki. Dla właściwego naświetlenia całego dramatu Glinciszki-Dubinki, i dla stworzenia moralnego klimatu dla rozliczenia się z tymi zbrodniami przez Polaków i przez Litwinów, zainicjowaliśmy już w 1992 roku wyjazd w dniu 1 listopada, czyli w dzień Wszystkich Świętych na cmentarze ofiar obydwu tych zbrodni. W wyjazdach tych, z naszej inicjatywy i na naszą prośbę towarzyszyli mi zawsze przedstawiciele władz litewskich a także ubiegający się o rejestrację swego stowarzyszenia weterani AK. Ostatecznym zamknięciem tego rozdziału, miało być równoczesne postawienie przez Polaków w Dubinkach, a przez Litwinów w Glinciszkach, pomników – krzyży ekspiacyjnych z jednobrzmiącymi napisami: „Bracia Polacy – wybaczenie” w Glinciszkach i „Bracia Litwini –

wybaczyć” w Dubinkach. Ta nader szlachetna idea, w którą zaangażowało się Towarzystwo Litwa-Polska (i osobiście jego prezes Pranas Morkus) okazała się niestety przedwczesna. Zarówno literackie władze lokalne, jak i mniejszość polska na Litwie, okazały się do takiego gestu jeszcze niedojrzałe, zaś najwyższe władze tak polskie jak i litewskie, wykazały również jeśli nie brak zrozumienia dla tej idei (którą formalnie poparły), to w każdym razie brak determinacji w jej realizacji.

Stowarzyszenie weteranów AK zostało na Litwie zarejestrowane (po interwencji prezydenta A. Brazauskasa) wiosną 1995 roku. Wkrótce potem, zarejestrowano jeszcze dwa następne polskie stowarzyszenia kombatanckie (grupujące weteranów wojen 1920, 1939, oraz weteranów LWP), tak, że dziś środowisko to jest najlepiej zapewne zorganizowanym polskim środowiskiem kombatanckim za wschodnią granicą.

17. Na początku lat 90-tych nie było praktycznie żadnych możliwości normalnej współpracy gospodarczej między Litwą a Polską. Współpraca ta napotykała bowiem na niezwykle poważne bariery. Pierwszą z nich była praktycznie nieprzejezdna granica. Na ponad 100 km odcinku wspólnej granicy, nie było żadnego przejścia granicznego o charakterze międzynarodowym. Do takich potrzeb prowizorycznie zaadaptowano lokalne przejście w Ogródnikach (po stronie litewskiej: Lazdijaj). Mała przepustowość tego przejścia, będącego dla Litwy w dodatku jedynym w kierunku na Zachód, powodowała konieczność kilkudniowego oczekiwania na odprawę celną i paszportową, przy braku niezbędnej infrastruktury (gastronomia, sanitariaty itp.) Dlatego jeszcze jesienią 1992 roku uruchomiono przejście graniczne kolejowe w Trakiszkach i przystąpiono do budowy nowoczesnego dużego przejścia drogowego w Budzisku (po stronie litewskiej Kalwarija). Równocześnie modernizowano i powiększano przejście w Ogródnikach. Kolejną barierą, był brak wolnej waluty litewskiej (na Litwie w obiegu były sowieckie ruble i niewymienialne na żadną walutę tzw. talony) i związany z tym całkowity brak porozumień między bankami polskimi i litewskimi. Powodowało to, że wszystkie transakcje dokonywano bądź w barterze, bądź też płacono gotówką (w dolarach lub w markach), gotówkę wożono ze sobą. Sytuacja zaczęła

się szybko zmieniać, zwłaszcza po wprowadzeniu zimą 1992 roku litewskiej waluty narodowej – lita. Od tej pory coraz więcej banków polskich i litewskich podpisywało umowy, pozwalające na „korespondencję” między nimi i przelewanie pieniędzy za granicę. Kolejną barierą utrudniającą współpracę gospodarczą było podwójne opodatkowanie. Podpisana w 1993 roku umowa o unikaniu podwójnego opodatkowania usunęła i tę przeszkodę.

18. Podpisanie Traktatu (26 IV 1994) i jego ratyfikacja (13 X 1994) zamknęły cały rozdział w stosunkach polsko-litewskich. Rozdział stopniowego poprawiania stosunków, których stan na przełomie 1991 i 1992 był zdecydowanie zły. Idea poprawy tych stosunków zarysowana była wprawdzie już w podpisanej przez ministrów Skubiszewskiego i Saudargasa Deklaracji z 13 stycznia 1992, ale której praktyczna możliwość realizacji, wcale niełatwa, zarysowała się dopiero przy końcu 1992 roku, po jesiennych wyborach do sejmiku litewskiego (25 X i 12 XI), kiedy litewska prawica poniosła druzgocącą klęskę, a do władzy doszła niezależna od nacjonalistycznego elektoratu, pragmatyczna, także w zakresie polityki zagranicznej, Litewska Demokratyczna Partia Pracy Algirdasa Brazauskasa.

Negocjacje Traktatu, a później przygotowania do ratyfikacji towarzyszyła na Litwie ogólnonarodowa dyskusja na temat stosunków polsko-litewskich, ich uwarunkowań historycznych, perspektyw. Dyskusja ta toczyła się w środowiskach politycznych, w mediach, w różnych kręgach społecznych. W miarę możliwości staraliśmy się na tę dyskusję wpływać, tak poprzez czynny osobisty w niej udział, jak też przez celowe dobieranie imprez naukowych czy kulturalnych, rozprowadzanie literatury, zapraszanie prelegentów z Polski. Towarzyszyły temu spotkania i rozmowy z politykami, historykami czy publicystami litewskimi. Naszą tezą podstawową, do której przekonywaliśmy, była teza, że ocenę historii należy zostawić historykom, a politycy winni się zająć teraźniejszością i przyszłością. Inną tezą było, że dobre stosunki są potrzebne obu stronom i są warunkiem koniecznym ich integracji z Europą Zachodnią.

Okres między podpisaniem Traktatu a jego ratyfikacją,

był okresem naszych wzmożonych działań dyplomatycznych i politycznych. Te ostatnie realizowane były głównie poprzez intensyfikację wizyt i spotkań na wysokim szczeblu (tak np. na zaproszenie strony polskiej Warszawę odwiedzili w tym czasie minister d/s reform administracji i samorządu, późniejszy premier M. Stankevičius, wiceprzewodniczący sejm, J. Bernatonis). Ratyfikacja Traktatu, która w Warszawie przeszła gładko i jednogłośnie, w Wilnie miała przebieg dramatyczny. Część posłów radykalnej prawicy próbowała bądź nie dopuścić do ratyfikacji, bądź ratyfikację swoiście „zneutralizować”, uchwalając jednostronny, swoisty aneks do Traktatu, oceniający stosunki polsko-litewskie w latach 1920-45, wspominający „agresję Żeligowskiego”, „okupację Wileńszczyzny”, potępiający AK.

Ostatecznie, po burzliwej debacie, sejm litewski ratyfikował Traktat bez żadnych aneksów, stosunkiem głosów 91 – „za”, 19 – „przeciw”, przy 8 wstrzymujących.

Traktat miał ogromne znaczenie nie tylko polityczne, ale w przypadku Litwy także moralne i psychologiczne. Odprężenie po jego podpisaniu dało się odczuć nie tylko w sferze polityki, ale w tonie publicystyki, relacjach wielu środowisk, zwłaszcza intelektualnych czy inteligenckich. Nastąpiło ogromne otwarcie na kontakty z Polską, ustąpiła też tak odczuwalna wcześniej nieufność i lęk przed Polską.

Traktat uregulował też i zabezpieczył prawa mniejszości polskiej na Litwie. Jednak kierownictwo ZPL przyjęło go obojętnie, a nawet wrogo. W jednej ze swych wypowiedzi publicznych jeden z liderów ZPL, R. Maciejkianiec porównał nawet Traktat do „nowego paktu Ribbentrop-Mołotow”, a wkrótce po ratyfikacji, działacze ZPL, przebywając w Polsce przypuścili bezprecedensowy atak na polskiego ambasadora, zarzucając mu działanie na szkodę ludności polskiej.

Stało się wkrótce smutną regułą, że na każde zbliżenie polsko-litewskie, przy każdej wizycie na wysokim szczeblu, na każdy fakt świadczący o poprawie stosunków między Litwą a Polską, radykalni działacze polscy reagowali nagłaśnianymi protestami, w których eksponowali rzekome krzywdy społeczności polskiej doznawane od Litwinów, i obojętność na te krzywdy ze strony władz polskich. Pikanterii dodaje to, że główną trybuną do prezentacji tych rzekomych krzywd i

rzekomej obojętności władz polskich na te krzywdy, była (jest?) finansowana z budżetu państwa polskiego *Nasza Gazeta*, organ Związku Polaków na Litwie. Finansowanie tej zdecydowanie antylitewskiej gazety, nie służącej dobrem stosunkom polsko-litewskim było przedmiotem zarówno noty litewskiego MSZ jak i przedmiotem zainteresowania mediów litewskich.

Postawa części liderów społeczności polskiej na Litwie i ich działania, które uzyskiwały często rezonans w Polsce, niewątpliwie psuły atmosferę wzajemnych stosunków między państwowymi. Niektórzy politycy litewscy, a w ślad za nimi litewskie media, działania tych liderów oceniali jako „podejmowane w interesie państw trzecich”, co z uwagi zarówno na aktualną sytuację geopolityczną jak i przeszłość konkretnych liderów, nie pozostawiało wątpliwości, o jakie „państwo trzecie” może tu chodzić. Nie wykluczając i takiej ewentualności, powiedzieć trzeba, że chodziło tu jednak raczej o rezultat nieumiejętności liderów znalezienia dla siebie roli w nowym klimacie stosunków polsko-litewskich. Poprawa tych stosunków, w aspekcie politycznym marginalizowała automatycznie tych działaczy, których rola „bezkompromisowych obrońców polskości i społeczności polskiej na Litwie” stawała się zbędna, a jedyna dotąd stosowana przez nich taktyka, taktyka walki a nie współpracy, stawała się bezużyteczna. A do takiej roli i takiej taktyki przywykli ci działacze. Co więcej, takiej roli i takiej postawy oczekiwali od nich wspierające je z Polski środowiska.

Nie ulega też wątpliwości, że ogłaszanie protestów, podpisywanie apeli i zwoływanie pikiet jest zajęciem mniej żmudnym i czasochłonnym niż systematyczna praca nad rozwojem samorządności lokalnej, podnoszeniem poziomu cywilizacyjnego Wileńszczyzny, rozwoju oświaty, rozwiązywania realnych (a nie wydumanych) problemów socjalnych czy ekonomicznych społeczności polskiej. Jest zajęciem bardziej efektywnym i nie wymagającym specjalnych, innych niż nabyte w sowieckim aparacie partyjnym umiejętności.

Mimo nieprzejednanej postawy części polskich działaczy i ich politycznych partnerów w Polsce, którzy nie potrafili, czy też nie chcieli zrozumieć, że od stanu stosunków polsko-litewskich zależeć będzie w dużej mierze los społeczności

polskiej na Litwie, stosunki te, po podpisaniu i ratyfikowaniu Traktatu weszły w zdecydowanie nową fazę. Stały się one przyjazne, a nawet „najlepsze w ciągu całej naszej historii”, jak zgodnie, kilkakrotnie zapewniali przedstawiciele najwyższych władz obu państw.

W czasie wizyty w Warszawie (luty 1995), przemawiając w polskim sejmie, prezydent A. Brazauskas proponował m.in. utworzenie wspólnego batalionu wojska, przeznaczanego dla misji pokojowych ONZ, a także stworzenie wspólnej kontroli przestrzeni powietrznej. Niestety, inicjatywa stworzenia wspólnego batalionu, tak istotna z politycznego, ale przede wszystkim moralnego i psychologicznego punktu widzenia, o wymiarze niemal symbolicznym, wprawdzie została przez stronę polską zaakceptowana, ale jej realizacja w sposób niezrozumiały opóźnia się.

Dobra współpraca na szczeblu państwowym, której wyrazem są liczne wizyty i spotkania na wysokim i najwyższym szczeblu, kontynuowana była także w 1996 roku. W styczniu tego roku gościł w Wilnie marszałek sejmu J. Zych. W dniach 5-6 marca, oficjalną wizytę złożył prezydent A. Kwaśniewski, w kwietniu w Augustowie spotkali się na roboczym spotkaniu premierzy Cimoszewicz i Stankevicius, a ten ostatni, w czerwcu przybył do Polski z oficjalną wizytą. We wrześniu, prezydenci obu państw spotkali się na pokładzie ORP „Warszawa” zacumowanego na redzie portu w Gdyni, gdzie podpisali wspólną deklarację, potwierdzającą bardzo dobry stan stosunków między obu państwami. W tydzień później, w Warszawie gościł marszałek litewskiego sejmu, C. Juršenas. W tymże 1996 roku ministrowie spraw zagranicznych P. Gylys i D. Rosati podpisali protokół o współpracy ich ministerstw, a ministrowie obrony, S. Dobrzański i D. Linkevicius, podpisali porozumienie o przekazaniu Litwie 10 stacji radiolokacyjnych. Już wcześniej, Litwa dostała od Polski, w kilku ratach sprzęt wojskowy (m.in. śmigłowce, kutry patrolowe, transportery opancerzone, granatniki, samochody, broń strzelecką).

Ożywiona wymiana wizyt na wysokim i najwyższym szczeblu była kontynuowana także w 1997 roku (wizyty w Polsce przewodniczącego Sejmu RL V. Landsbergisa, oficjalna wizyta prezydenta A. Brazauskasa oraz jego udział

w spotkaniu prezydentów z Ojcem Świętym w Gnieźnie).

Dobra współpraca na wysokim szczeblu państwowym owocuje znaczną liczbą inicjatyw i deklaracji, których realizacja napotyka jednak często na szereg trudności natury biurokratycznej, bądź rozbija się o brak środków finansowych. Temu ostatniemu zaradzić miało powołanie przez prezydentów obu państw w 1996 roku Fundacji im. Adama Mickiewicza. Jednak dotychczasowa działalność Fundacji daleka jest od oczekiwań, a jej wpływ na proces pojednania polsko-litewskiego jest niezauważalny.

Mimo dobrego klimatu i wzajemnych zapewnień o „najlepszych stosunkach na przestrzeni dziejów”, w pewnym impasie, kontrastującym z ogólnym obrazem stosunków znalazły się negocjacje zapowiedzianej przez Traktat umowy o pisowni nazwisk przedstawicieli mniejszości. Dotąd nie podpisano – także zapowiedzianej przez Traktat – umowy o współpracy w ochronie dziedzictwa kulturowego, ani porozumienia o współpracy pełnomocników obu rządów d/s tego dziedzictwa. Brak nadal, zapowiedzianej już wiosną 1996 roku umowy o readmisji.

Należałoby także oczekiwać, że tak dobra współpraca państwowa, znajdzie swoje odzwierciedlenie również w kontaktach bezpośrednich między społeczeństwami Polski i Litwy, a znajdzie to wyraz m.in. we współpracy organizacji i instytucji pozarządowych.

Istotne dla zbliżenia narodów są także kontakty kulturalne i naukowe. Wymagają one jednak nie tylko promocji ze strony instytucji państwowych, ale przede wszystkim wsparcia materialnego. Wszystko to wymaga jednak jakiegoś wieloletniego programu działań, którego niestety dotąd brak. Pełne pojednanie polsko-litewskie nastąpi wówczas, gdy nie będzie ono uzależnione jedynie od aktualnej koniunktury politycznej i od polityki aktualnie rządzących partii. O pełnym pojednaniu mówić będzie można dopiero wtedy, gdy będzie ono wyrazem trwałych stosunków nie tylko między rządami, ale także między narodami. Osiągnięcie tego stanu, wymaga jednak długiego i celowego działania, polegającego na realizacji długofalowego programu, przy jednolitej polityce rządu, parlamentu i głównych sił politycznych. Tego działania niestety brak.

19. Tak więc oficjalnie w stosunkach polsko-litewskich wszystko jest w najlepszym porządku. Liczba wizyt na wysokim i najwyższym szczeblu jest – jak wspomniano – zawrotna, niestety proporcjonalna do tej liczby jest też liczba pustych deklaracji i niezrealizowanych pomysłów. Jak wspomniano, nie powstał dotąd zaproponowany na początku 1995 wspólny batalion wojska, wspólne ciało parlamentarne wprawdzie powstało i nawet spotkało się, ale poza wymianę frazesów dokonanych przez dość zdaje się przypadkowo dobranych posłów obu parlamentów nie wyszło. Spotkanie było bowiem zupełnie nie przygotowane i „ciało” nie bardzo wiedziało o czym ma rozmawiać. Mimo to powstały dwa kolejne „wspólne ciała”, mianowicie rządowe i prezydenckie.

Mimo częstych odwiedzin przywódców, mimo mnożenia „ciał”, deklaracji i postulatów, kultura litewska pozostaje nadal w Polsce nieznana, a współczesna kultura polska, jeśli pominąć wąskie grono litewskich elit, w szerszych kręgach społeczeństwa litewskiego jest również nieznana, mimo wyraźnego, nieraz zgłaszanego zapotrzebowania ze strony środowisk litewskich. Nie ma wciąż pieniędzy na sensowną, objętą jakimś szerszym planem wymianę kulturalną na poważniejszą skalę. Wymiana młodzieży, po wszystkich niepoważnych tarapatach z podpisaniem stosownej umowy, praktycznie nie istnieje, prace komisji podręcznikowej (ograniczone zresztą do podręczników historii) straciły cały impet, a opinia publiczna w ogóle nie jest informowana o ich przebiegu (o ile w ogóle prace te jeszcze się toczą).

Zaniechano też wspierania działań instytucji pozarządowych (takich jak choćby szlachetne Towarzystwo Litwa-Polska) zmierzających do pojednania narodów także w płaszczyźnie moralnej.

W Polsce ciągle brak koncepcji sensownej pomocy dla Polaków na Litwie, a pomysł wysłania do Wilna w charakterze konsula generalnego emerytowanego pułkownika SB, który natychmiast wsparł tam polskich radykałów ze Związku Patriotów, tych którzy za cnotę uważają walkę z władzami litewskimi i litewskim społeczeństwem, świadczy wręcz o jakiejś politycznej schizofrenii. Ostatnia konferencja prezydentów w Wilnie (4 IX 1997) potwierdziła dobre oficjalne stosunki polsko-litewskie (zapraszali i współgospo-

darzami byli prezydenci Brazauskas i Kwaśniewski, którzy *nota bene* znają się osobiście jeszcze z działalności partyjnej z czasów, gdy nie byli prezydentami).

Żałować należy, że konferencja ta nie wywołała większego rezonansu społecznego, nie stała się – a mogła – pretekstem do głębszej społecznej refleksji nad istotą europejskiego pojednania, tak istotnego zwłaszcza w tej części Europy.

Szkoda więc, że nie zadbano o większą liczbę imprez towarzyszących konferencji, które mogły być przeglądem dorobku pojednania i programu przyszłych działań służących takiemu pojednaniu. Mimo więc kolejnej porcji uścisków i wzajemnych komplementów, nadal nie rozwiązana jest kwestia pisowni nazwisk Polaków na Litwie, w Sejnach ciągle jeszcze nie stanął pomnik biskupa Baranauskasa, a Polacy i Litwini w Glinciszkach i Dubinkach nie wypowiedzieli do siebie wzajemnie krótkiego „wybaczenie bracia”.

Póki co, najgłupsze nawet żądanie czy protest liderów polskich znad Wilii wywołuje nad Wisłą pomruk solidarności plemiennej, znacznie głośniejszy niż oddźwięk na szlachetne pojawiające się tu i ówdzie inicjatywy służące pojednaniu narodów polskiego i litewskiego.

Jan WIDACKI

POLNISCHE BUCHHANDLUNG

KSIĘGARNIA POLSKA

Burggasse 22, A-1070 Wien, Austria

Dojazd: 13A, 48A, 49, metro U2 i U3 stacja Volkstheater

Tel. i fax: (1) 52 63 114

Konta pocztowe

Frankfurt/M. 300340 605, Wien 7227.556

Książki w języku polskim, polonica w językach obcych.

Bezpłatne katalogi na żądanie.

Kraj

Post scriptum

Ktoś mógłby pomyśleć, że dwa lata temu wybraliśmy przyszłość, ale dwa tygodnie temu okazało się, że nie wiadomo jaką. Czyżby? O ile nie sposób obecnie nakreślić w miarę dokładnych scenariuszy ewolucji ogólnej sytuacji w następnych latach, to jednak wydaje się ona przewidywalna, zwłaszcza w odniesieniu do sfery gospodarczej. Co do polityki zaś, to zamieszanie będzie nieustanne. Gwarantuje to tak wyłoniony w wyniku wyborów układ parlamentarny, jak i media, które będą tym żyły. Po prostu – gwarantuje to polityka. W tej sferze wiele dobrego oczekiwać nie należy, a wręcz odwrotnie. Nie musi to jednak narobić szkód w gospodarce, która swoim własnym impetem szybko idzie do przodu. To gospodarka będzie stabilizować cały układ państwowy i zadecyduje o miejscu Polski w świecie.

Polityka natomiast jest pełna paradoksów i przebijania się tego, co wcześniej wydawało się mało prawdopodobne. Korzystając z dobrodziejstw demokracji ludzie głosują tak, jak im na to przedwyborcza oferta pozwala, o potem znajdują się w dziwnej sytuacji, za którą bynajmniej nie optowali. Głosuje się nie na koalicję partii i ugrupowań, ale na nie same. Przed wyborami opinia publiczna preferowała rządy koalicji SLD-UW-UP, choć spodziewała się kontynuacji związku SLD-PSL, a tu wyszło coś jeszcze innego; powstaje rząd AWS-UW. Pomimo zgłaszanych obaw można żywić optymizm co do losów naszej gospodarki i pod rządami tej koalicji. Z pewnością będzie ona trudniejsza niż poprzednia. Już to jest wystarczającym powodem, aby starać się jej – dla dobra gospodarki, a więc w interesie nas wszystkich – pomagać.

Powody do optymizmu

Mój optymizm bierze się nie tylko z dobrej kondycji gospodarki, utrwalonych tendencji rozwojowych i zaawansowania rynkowej transformacji. Nie płynie też wyłącznie z przekonania, że niełatwo to popsuć, nawet gdyby ktoś chciał, a przecież nikt nie chce. Gospodarką rządzą coraz bardziej prawa, a coraz mniej ludzie. Przed niebezpieczeństwem zaś błędów chroni obudowa instytucji rynkowych, silny sektor prywatny, unowocześniane prawo gospodarcze, krytyczna obserwacja mediów, niezależność banku centralnego i Trybunału Konstytucyjnego, nacisk zagranicy, coraz szersze włączenie do gospodarki globalnej. I prezydent. Paradoksalnie przed ewentualną nierozważną polityką rządu i parlamentu chronić może także biurokracja, działa ona bowiem na dwie strony. Tak jak czasami nie pozwala sprawie przeprowadzać pożądanym ukierunkowania. Gdy gospodarka jest dobrze ustawiona, to wytrzymać może nie tylko dotkliwą powódź.

Mój optymizm bynajmniej nie bierze się też z uznania dla programów gospodarczych zwycięskich ugrupowań. Pomińmy już to, że programy te są tylko załączkowe, niekompletne i ogólnikowe. To naturalne, w tej fazie cyklu politycznego, choć trochę dziwi, bo intelektualny stan gotowości i zdolności do przejścia władzy powinien być większy, skoro ma się tyle doświadczeń z jej sprawowania w przeszłości. Ale i tak program gospodarczy AWS, jak i UW nie będzie realizowany. To dobrze, bo są to złe programy.

Ten pierwszy jest wyraźnie populistyczny, akcentuje głównie podział dochodu, lekceważąc konieczność trudnych często działań maksymalizujących go na długą metę. Jest to program o dużej dawce konserwatyzmu ekonomicznego i ksenofobizmu, co w obliczu konieczności głębokiego włączania się w gospodarkę światową grozi zahamowaniem integracji i tempa wzrostu gospodarczego. Ten drugi jest konserwatywny społecznie, nadmiernie liberalny i jego realizacja także spowodowałaby spadek tempa rozwoju, a zarazem rosnące napięcia polityczne, wskutek nie akceptowanego zróżnicowania społecznych kosztów reform i nadmiernych dysproporcji dochodów.

W jednym i drugim przypadku piętrzyłyby się dodatkowe

trudności na drodze i tak już dostatecznie skomplikowanych reform strukturalnych i instytucjonalnych. Realizacja deklaracji AWS prowadziła do wychylenia się w stronę jak najszybszego osiągania celów społecznych przy zaniedbywaniu środków do ich wypracowywania w dalszej perspektywie; następowałoby przejadanie przyszłości. Próba urzeczywistniania planów UW byłaby – znanym już z początków transformacji – wychyleniem się w drugą stronę. Ponownie nastąpiłoby mylenie środków z celami i mielibyśmy wiele reform dla reform, bez dostatecznie szybkiego przełożenia na poprawę warunków życia ludności i konkurencyjności gospodarki; następowałoby niedożywianie teraźniejszości. Dobrze zatem, że żadna z tych skrajności – ani nadmierny populizm, ani przesadny liberalizm – nie będzie realizowana, gdyż żaden z koalicjantów nie będzie w stanie zmajoryzować partnera i narzucić mu swojej linii polityki gospodarczej. Jak to wyjaśnić swojemu elektoratowi, to już zupełnie inna sprawa.

Powtórka ze Strategii dla Polski

Dla nas wszystkich jednakże powstający układ stwarza szansę. Skoro w tej fazie zarysy programów obu partnerów są zupełnie niekompatybilne – jeśli nie wręcz antagonistyczne – ta szansa polega na znalezieniu pragmatycznego kompromisu. Kompromis negatywny polegający na tym, że wszyscy układający się go zaakceptują, gdyż będą w tym samym stopniu niezadowoleni, zdetonuje rodzącą się koalicję w niegorszy fajerwerk, a to już mogłoby gospodarce poważnie zaszkodzić. Trzeba sprzyjać tworzeniu kompromisu pozytywnego, a to może być tylko pragmatyczny program społeczno-gospodarczy. Ironia tkwi w tym, że programem tym jest ... Strategia dla Polski. AWS i UW – jak bardzo by tego nie chciały – będą musiały spotkać się na tym właśnie sprawdzonym już gruncie, choć z pewnością nie będą musiały się do tego przyznawać. Takie prawo zwycięzców, a nazwać wszystko – także cudze wynalazki – po nowemu i po swojemu jest łatwo.

Czego zatem można się spodziewać? Otóż w sferze słów – wszystkiego, a co do czynów, to należy oczekiwać kontynuacji dotychczasowej linii polityki finansowej, ekonomicznej i społecznej. Nadal prowadzone będą stopniowe reformy strukturalne i zmiany instytucjonalne z niezbędnym uwra-

liwieniem na implikacje społeczne. Dbać będzie się tak o poprawę konkurencyjności i rozkwit przedsiębiorczości, jak i o osłonę socjalną i ograniczanie bezrobocia. Dopływać będzie konkurencyjny kapitał zagraniczny, ale równocześnie wspomagana będzie ze środków publicznych restrukturyzacja rodzimych przemysłów oczekujących na swoją kolejkę w procesie prywatyzacji, który bez żadnego hamowania trwać będzie jeszcze wiele lat. Nie będzie gwałtownego zamykania nierentownych kopalń, za czym opowiadałaby się UW, ale też nie będzie ich stałego miękkiego dotowania, co odpowiadałoby AWS. Nie dokona się szybkiej wyprzedaży polskich banków, ani też nie uda się zablokować dopływu obcego kapitału do tego sektora.

Kontynuowana będzie realizacja wszystkich czternastu programów węzłowych Strategii dla Polski, co zresztą hasła przedwyborcze zapowiadały, choć określenia były inne. Tak więc dbać będziemy o rozwój regionalny i wielofunkcyjny rozwój wsi, rosnać będą nakłady na ochronę środowiska i reformowana będzie służba zdrowia, coraz bardziej angażowane będą środki pozabudżetowe na inwestycje w kapitał ludzki i budownictwo mieszkaniowe. Trwać będą zmagania wokół zaawansowanej już reformy systemu ubezpieczeń społecznych i reformy samorządowej. Konfrontacja skrajnych niekiedy prób podchodzenia do problemów gospodarczych – tak od strony ich wymiaru społecznego, jak i finansowego – powinna sprowadzać politykę na grunt koordynacji zmian systemowych z rozwojem, stabilizacji ze wzrostem, regulacji rynkowej z zaangażowaniem rządu, spontanicznych zmian strukturalnych z polityką przemysłową, prywatyzacji majątku państwowego z poprawą zarządzania sektorem publicznym, otwierania się na światową konkurencję ze wspieraniem rodzimej produkcji. Teraz nie trzeba już eksperymentować, skoro wiemy, jak to robić.

Nie ma także ucieczki – jeśli koalicja AWS-UW ma zaistnieć i funkcjonować – od realizacji Pakietu 2000 i Euro-2006. Już za trzy miesiące (jeszcze decyzjami odchodzącej koalicji) ponownie obniżone zostaną podatki tak dla ludności – do 19, 30 i 40 procent, jak i dla firm do 36 procent. Spadek podatków dla przedsiębiorstw w roku 2000 do 32 procent jest ustawowo przesądzony, a próba podważenia tego przez nową koalicję byłaby z jej strony samobójstwem. W oparciu o wypracowane już dokumenty i osiągnięte porozumienia negocjować będziemy nasze przyszłe członkostwo w Unii Euro-

pejskiej, a dojść tam można tylko w warunkach szybkiego tempa wzrostu i pokoju społecznego. Nowy rząd nie powinien też odcinać się od nakreślonej w Euro 2006 wizji ewentualnego przystąpienia Polski do unii walutowej.

Wyciąć i zachować

Ludzie jednak nie słowami będą żyć, choć bardzo lubią igrzyska. Liczyć się będą fakty, aczkolwiek lekcja z ostatnich wyborów (podobnie jak na wiosnę z wyborów brytyjskich, o czym pisałem w *Polityce* z 3-go maja br. pod znamienitym tytułem „Przegrać wybory”) jest i taka, że sam sukces gospodarczy nie wystarcza do wygranej. Dla jej osiągnięcia jest on wszakże konieczny i podobnie będzie przy następnych wyborach, oby dopiero za cztery lata. W teorii ewolucji występuje tzw. efekt Czerwonej Królowej. Tłumaczyła ona Alicji w krainie czarów, że trzeba nieustannie biec, aby się nie cofać. Podobnie jest tym razem w krainie naszej rzeczywistości, gdzie tempo biegu na przyszłość wyznacza dynamika przemian ostatnich lat. Czym zatem powinniśmy mierzyć sukces polityki gospodarczej rządu rodzącego się z małżeństwa z rozsądku AWS i UW? Otóż jest to łatwe, bo wyznacza go linia kontynuacji; wystarczy tylko przyłożyć odpowiednią miarkę. A ta już narzuca wysoki standard i wielu doprawdy trzeba umiejętności i determinacji, aby powtórzyć tylko osiągnięcia gospodarcze minionych czterech lat. By to ułatwić, proponuję wyciąć i zachować tabelę (zamieszczoną pod tekstem – red.), a z końcem kadencji wypełnić ją danymi obrazującymi rzeczywistość.

To skromne wymagania, których co najmniej spełnienia musimy oczekiwać od polityki gospodarczej nowej koalicji. Realizację takich scenariuszy zapewnić powinna sprawna kontynuacja, przy wszystkich uzasadnionych zmianach, dotychczasowej linii programowej polegającej na umiejętnym łączeniu polityki zmian ustrojowych z polityką rozwoju społeczno-gospodarczego. O ile w przeszłości mylono środki z celami, to nie ma powodów, aby usprawiedliwiać to w przyszłości. Oczywiście, rozwój nie jest liniowy i takiego też charakteru nie mogą mieć wszystkie procesy kryjące się za przedstawionymi wskaźnikami. Stąd też w odniesieniu do skali redukcji długu publicznego planować można zdecydowanie, powiedzmy relatywnie dwukrotnie mniej w latach 1998-2001 niż w okresie 1994-97,

wtedy to bowiem skorzystaliśmy z redukcji części zadłużenia wobec Klubu Londyńskiego. Co zaś do pozostałych wskaźników – łącznie z inflacją i bezrobociem – to należy oczekiwać co najmniej postępu na skalę podobną do uzyskanej w latach 1994-97. To, że część ówczesnej opozycji uważała cztery lata temu za niemożliwe równoczesne znaczące obniżenie stopy inflacji i bezrobocia, nie oznacza, że teraz – korzystając ze zdobytych doświadczeń – sama nie potrafi udowodnić, jak bardzo się onegdaż myliła.

Sprawna prywatyzacja i rozwój rynku kapitałowego może ponownie zwielokrotnić kapitalizację giełdy, a w sferze inwestycji zagranicznych też można zakładać wysoką dynamikę, choć i tu przyjmuję już tylko dwukrotnie niższą od osiągniętej w minionych czterech latach; po wzroście o ponad 400 procent, teraz wzrost o 200 procent. Dla zmniejszenia na porównywalną skalę fiskalizmu wystarczy nie przeszkadzać we wdrażaniu już przesądzonych rozwiązań Pakietu 2000, a nawet oczekiwać można by więcej. Ja nie oczekuję. Standard niezbędny dla utrzymania tego, co nam już udało się zrealizować, wyznaczają wskaźniki w kolumnie 2001(a). Porównania dokonamy po wypełnieniu w swoim czasie kolumny 2001(b). Oby wypadło ono jak najkorzystniej.

Jak zgubić trzy lata?

O Polsce u progu XXI wieku decyduje jednak nasza zdolność do wzrostu gospodarczego. W rezultacie polityki ostatnich lat jest on już bardzo szybki, ale oba ugrupowania aspirujące do przejścia władzy zapowiadały jeszcze większe jego przyspieszenie. Przy okazji od razu się jednak asekurowały, wiedząc, że mogą temu wyzwaniu nie sprostać, a to dlatego, iż ich programy są w wielu punktach wewnętrznie sprzeczne. UW w swoim Drugim planie zapowiedziała podwojenie dochodu narodowego podczas 10 lat, co wymaga średniego rocznego tempa wzrostu w wysokości 7,2 %, a więc w zasadzie tyle, co obecne tempo, które w latach 1995-97 sięga aż 6,6%. Czy jest to możliwe? Tak, kontynuacja dotychczasowego modelu polityki rozwoju i rynkowej transformacji dawałaby takie szanse. Czy tak będzie zaś, to już zupełnie inne zagadnienie.

Na tym tle ciekawe jest, że niedawny raport zbliżonego do Unii Wolności Centrum Analiz Społeczno-Gospodarczych w

najbardziej optymistycznym ze swoich scenariuszy zakłada na lata 1996-2000 tempo wzrostu tylko 5,9% rocznie, co oznacza – zważywszy na już osiągnięte w roku 1996 6,1% i w 1997 6,6% – średni wzrost w latach 1998-2000 już zaledwie 5,6%. Później miałyby przyspieszyć, ale tylko do 6%. Takie przyhamowanie dotychczasowych, bardzo korzystnych tendencji oznaczałoby, że podwojenie PKB (Produkt Krajowy Brutto) zajęłoby nie 10, ale prawie 13 lat. Ale po co gubić trzy lata, skoro można iść do przodu równie szybko, a nawet jeszcze szybciej niż dotychczas?

Warto przeto czynić razem – najlepiej jak tylko potrafimy – wszystko co jeszcze poprawi sytuację gospodarczą, zbliżając nas do UE tak, jak doszliśmy już do OECD. Najbliższa przyszłość pójdzie na konto koalicji AWS-UW, jeśli uda się jej zawiązać i znaleźć twórczy kompromis programowy. A program? Program jest i trzeba go tylko umiejętnie realizować. Okazuje się, że można wpływać na bieg procesów gospodarczych nawet nie mając władzy. Wystarczy mieć rację.

Grzegorz W. KOŁODKO

	średnie roczne tempo wzrostu 1993-97	skala 1993-97	wzrostu 1998-2001	stopień wykonania 1997-2001 1994-1997
PKB (ceny stałe)	6,3	27,4	?	
płace realne	3,8	15,9	?	
eksport (ceny stałe)	13,6	66,8	?	
	1993	stan w końcu roku 1997	2001(a)	stopień wykonania 2001(b) 2001(a)
stopa inflacji	37,7	13,0	4,5	?
stopa bezrobocia	16,4	10,9	7,2	?
dług publiczny (% PKB)	86,0	48,0	37,4	?
kapitalizacja giełdy (\$ mld)	3,1	14,0	38,5	?
inwestycje zagraniczne (\$ mld)	3,0	17,0	48,5	?
	w skali roku			
fiskalizm (dochody budżetu państwa w % PKB)	29,5	26,9	24,5	?

Sprawy i troski

Prof. Leszek Balcerowicz o Związku Ludności Narodowości Śląskiej

– Jak Pan, poseł do sejmu z Katowic ocenia powstanie Związku Ludności Narodowości Śląskiej?

Pojawienie się tej inicjatywy jest wyrazem wykorzystywania pewnego zapotrzebowania społecznego, będącego efektem wielu niedociągnięć systemowych i ustrojowych. Tak, jak istnieją na Śląsku opóźnienia w zakresie spraw gospodarczych, tak pojawia się chęć nowego samookreślenia, obywatelskiej autoidentyfikacji po latach przymusowego milczenia, zwłaszcza, że sprzyja temu czas wolności słów i przekonań.

Śląsk, mający przecież tradycje samorządności, ujawnia obecnie tę dążność ze zdwojoną siłą. Pamięć i potrzeba tych przemian jest tu większa niż w innych częściach Polski. Jest to w gruncie rzeczy dążenie do samodzielnego rozwiązywania własnych problemów, ale i reakcja na powolność przemian strukturalnych. W tym sensie inicjatywa ta jest pożyteczna i potrzebna.

Regionów o podobnych, różnorodnych kodach kulturowych jest w Europie więcej. Trzeba to uznać za wartość, a nie rzecz niebezpieczną. Powstanie Związku Ludności Narodowości Śląskiej uważam również za formę odreagowania na to wszystko, co działo się tutaj przez lata komunizmu. Ślązacy nigdy nie rządili się sami, bez względu na to, w jakich granicach państwowych pozostawali. Ten ich oczywisty kompleks ujawnił się z całą mocą po 1989 roku. Owa przemiana społeczna nie zakończyła się jeszcze, można się więc spodziewać następnych kroków w tym kierunku.

Autentyczne poparcie Ślązaków dla tej konkretnej inicjatywy jest jednak problematyczne. Związek odwołuje się do sporej grupy ludności, która pozostawała do tej pory w cieniu, była świadomie i celowo bierna. Więc chociaż jest to pewne zaplecze społeczne, należy wątpić, czy faktycznie będzie się w stanie uaktywniać. Bo przecież inicjatywa powstania Związku nie zrodziła się z potrzeby tegoż zaplecza, do którego się odwołuje, ale w głowie kilku ludzi. Co nie zmienia faktu, że ogólnie było na to zapotrzebowanie.

Przy okazji tej sprawy istnieje niebezpieczeństwo nasilenia się nastrojów antyśląskich. Byłaby to jednak oznaka niezrozumienia specyfiki regionu, zachodzących tu zmian i potrzeb.

Związek oczywiście ma szansę zaistnienia na scenie politycznej. Ale jego wpływ na faktyczne decyzje, czy to w parlamencie, czy na innych planach będzie marginalny.

– Dziękuję za wypowiedź.

Katowice, 25.08.1997

Mariusz KUBIK

WAWEL

PIERWSZA POLSKA KSIĘGARNIA W NIEMCZECH ZACHODNICH

Wszystko na temat Europy Wschodniej:

- Literatura piękna i fachowa,
- Albumy, plakaty, pamiątki,
- Książki antykwaryczne.

Wydawnictwa antykwaryczne krajowe i emigracyjne
oraz książki w językach obcych.

Stephanstrasse 11, 5000 Köln, 1.

Tel.: 0221/24-61-60.

Również sprzedaż wysyłkowa.

Godziny otwarcia od 10.00 do 18.30

Wywiady „Kultury”

O sytuacji nauki na Białorusi

WYWIAD Z AKADEMIKIEM
ROSTISLAVEM G. ZHBANKOVEM

Henryk RATAJCZAK: – *Jaka jest kondycja nauki na Białorusi w okresie uzyskania niepodległości i transformacji ustrojowej państwa?*

Rostislav G. ZHBANKOV: – Po rozpadzie Związku Radzieckiego w niepodległej Białorusi nastąpił ostry kryzys gospodarczy przejawiający się gwałtownym obniżeniem produkcji, spadkiem dochodu narodowego etc. Złożyło się, na to wiele przyczyn. Jedną z nich było zerwanie więzów produkcyjnych i gospodarczych z byłymi republikami ZSSR, a zwłaszcza z Rosją. Jak to zwykle bywa w kryzysie, najbardziej ucierpiała sfera budżetowa, w tym nauka, oświata i kultura. Dla przykładu podam, że w 1995 roku przeznaczono na naukę 0,77% dochodu narodowego brutto, tj. 3,4 razy mniej niż w 1990 roku. Na skutki takiej polityki nie trzeba było długo czekać. Szybko zmalały realne płace. Nastąpiła ucieczka pracowników nauki do innych działów gospodarki. W okresie pierwszych 5-ciu lat niepodległego państwa w sferze nauki spadło zatrudnienie o 55%. Najczęściej odchodzili ludzie młodzi, lub względnie młodzi, dobrze wykształceni, z inicjatywą twórczą. Być może jest to zjawisko korzystne dla gospodarki, ale na pewno nie dla nauki. Narasta bowiem w sferze nauki „luka pokoleniowa”, niezwykle groźna dla przyszłości kraju. O ile wiem, zjawisko

to występuje również w Polsce i w innych krajach postkomunistycznych. Ponadto kiedy Białoruś należała do Związku Sowieckiego ponad 40% potencjału naukowo-technicznego naszego kraju pracowało na potrzeby kompleksu wojskowo-zbrojeniowego ZSSR. Po uzyskaniu niepodległości powstał problem jak ten olbrzymi potencjał wykorzystać w możliwie najkrótszym czasie na potrzeby kraju. Nie było to zadanie łatwe.

H.R.: – Kto w Białorusi jest odpowiedzialny za politykę naukową państwa i w jaki sposób jest ona realizowana?

R.G.Z.: – Obecnie kształtowaniem ogólnej polityki naukowo-technicznej państwa zajmuje się Międzyresortowa Komisja Postępu Naukowo-Technicznego Rady Ministrów. Komisja ta przygotowuje również projekty aktów prawnych dotyczących sfery nauki i edukacji. Natomiast organizację, koordynację i prowadzenie badań podstawowych powierzono Narodowej Akademii Nauk Białorusi. Obecnie na podstawie rozporządzenia Prezydenta Republiki Białorusi z dnia 15 maja br., jest ona najwyższym organem naukowym państwa. Prezydent Akademii otrzymał uprawnienia ministra i wchodzi w skład Rady Ministrów. Na początku tego roku powołany został Komitet Nauki i Technologii, który zajmuje się głównie koordynacją badań stosowanych. Przewodniczący Komitetu ma również uprawnienia ministra i jest członkiem rządu. Główny problem jaki stoi teraz przed nami to w jaki sposób wykorzystać ten uszczuplony potencjał naukowy i intelektualny dla rozwoju naszego kraju. Jakże mechanizmy należy wprowadzić ażeby zwiększyć efektywność prowadzonych badań i podporządkować je wyjściu kraju z głębokiego kryzysu. Jest to zadanie niezmiernie trudne ale konieczne dla utrzymania niezależności państwa.

H.R.: – Jakże są mechanizmy finansowania badań? Czy wprowadzone zostały elementy konkurencyjności w nauce, np. poprzez system grantów?

R.G.Z.: – Badania naukowe są finansowane praktycznie tylko z budżetu państwa. Środki finansowe przekazywane są

jednostkom naukowo-badawczym głównie na zabezpieczenie ich podstawowych potrzeb. Niewiele środków finansowych pozostaje na granty. Niektóre ministerstwa resortowe ogłaszają konkursy na wykonanie pewnych prac na ich potrzeby. Być może ta forma finansowania badań rozwinie się w przyszłości. Jest ona elementem podporządkowania nauki potrzebom kraju. Brakuje jednak pieniędzy na zakup aparatury, ogólnie biorąc na rozwój infrastruktury naukowo-technicznej, niezbędnej dla prowadzenia nowoczesnych badań naukowych na odpowiednim poziomie.

H.R.: – Jakże kierunki badań uznane zostały za priorytetowe?

R.G.Z.: – Już w roku 1995 uznano za ważne prowadzenie badań w zakresie niżej wymienionych dziedzin: rozwój gospodarczy kraju, ochrona zdrowia, zabezpieczenie skutków katastrofy czernobylskiej, ochrona środowiska, lepsze wykorzystanie naturalnych źródeł surowców, produkcja przetwarzanie i ochrona wytwórczości drobnogospodarczej, energetyka i transport, informacja i łączność telekomunikacyjna, nowe materiały i technologie, podwyższenie konkurencyjności produkcji, budowy maszyn i radioelektronika. Te kierunki będą rozwijane jeszcze przez najbliższych kilka lub kilkanaście lat. Opracowano 48 ważniejszych problemów zgrupowanych w 6 blokach tematycznych, które obejmują humanistykę, nauki biologiczne, medyczne, chemiczne, geologiczne, nauki matematyczno-fizyczne i informatykę, fizyko-techniczne problemy budowy maszyn i energetykę.

H.R.: – Jaka jest rola nauk humanistycznych w kształtowaniu świadomości narodowej Białorusi?

R.G.Z.: – Mamy pełną świadomość co do roli nauk humanistycznych i społecznych w rozwoju intelektualnym i duchowym naszego społeczeństwa. Powstał państwowy program badań podstawowych w zakresie nauk humanistycznych. Oto niektóre zawarte w nim problemy: narodowa historia Białorusi, rozwój kultury białoruskiej, drogi rozwoju tradycji i sztuki narodowej. Badania te finansowane

są w systemie grantów. Na zlecenie państwa grupa uczonych opracowała 6-tomowe dzieło „Historia sztuki Białorusi”.

H.R.: – *Czy Białoruś zainteresowana jest w prowadzeniu współpracy naukowej z innymi krajami, w tym również z Polską?*

R.G.Z. – Przywiązujemy dużą wagę do podejmowania wspólnych badań naukowych z partnerami zagranicznymi. Współpraca ta świetnie się rozwija z Rosją i Ukrainą. Myślę że lepiej niż dotychczas winniśmy współpracować z uczonymi polskimi. W pewnych dziedzinach np. ekonomii, chemii, fizyce, matematyce, farmakologii i wielu innych, badania naukowe w Polsce prowadzone są na poziomie światowym. Macie świetnie wyposażone laboratoria w nowoczesną aparaturę, biblioteki, centra komputerowe. Poza tym jesteśmy sobie bliscy, łączy nas wspólna historia. Nie znam Białorusina, który nie miałby przodka polskiego pochodzenia. Ja na przykład mam przodków polskich z linii mojej matki i żony.

H.R.: – *Bardzo Panu dziękuję za interesującą rozmowę.*

Rozmowę przeprowadził prof. Henryk Ratajczak

Prof. Rostislav G. Zhbakov jest kierownikiem Laboratorium w Instytucie Fizyki Narodowej Akademii Nauk Białorusi, pełni funkcję Wiceprezesa i Sekretarza Generalnego Inżynierskiej Akademii Białorusi.

Henryk Ratajczak jest profesorem na Uniwersytecie Wrocławskim, członkiem rzeczywistym PAN, obecnie pełni funkcję dyrektora Stacji Naukowej PAN w Paryżu.

Sąsiedzi

Ukraina na rozdrożu

Polityka jako towar zakazany

Czym jest polityka we współczesnej Ukrainie? Pojęciem traktatu społecznego dla zorganizowanej działalności państwa z obywatelami? Umową publiczną pomiędzy klasycznymi instytucjami w demokratycznym i praworządnym państwie, regulowaną przepisami konstytucji i kontrolowaną przez niezawisłe sądownictwo i opiekę publiczną? Ani jedno ani drugie. Polityka na Ukrainie jest nadal towarem zakazanym i jako taka nie podlega normalnym mechanizmom gry pomiędzy władzą i opozycją. Przyczyn tej anomalii jest bez liku. Spróbujmy je sobie uświadomić. Na pierwszym miejscu znajduje się niewątpliwie zniszczenie przez totalitaryzm bolszewicki ukraińskich tradycji republikańsko-wolnościowych poczynając od czasów republiki kozackiej, samorządu pod egidą starszyny kozackiej, aż do zakazów carycy Katarzyny i krótkotrwałej demokracji po upadku carizmu. Wytepienie tych tradycji jest tak zdumiewające, że zniknęły nawet zdobycze demokratyczne w regionach, które przebywały stosunkowo krótko pod batem bolszewizmu, jak na przykład w Galicji i na Bukowinie. Trzeba dodać, że do dzieła tej destrukcji przyczyniła się również działalność prawicowego totalitaryzmu Ukraińskiej Organizacji Nacjonalistów zwalczającego w brutalny sposób bardziej demokratów niż nie istniejących tam komunistów. W warunkach bezpieczeństwa akcje tego rodzaju zakonspirowanych organizacji terrorystycznych, co można częściowo stwierdzić na przykładzie Bośni, Chorwacji a częściowo nawet Słowacji, ale nie w

Polsce gdzie podobne organizacje o profaszystowskiej orientacji jak UNR, w Rumunii „Żelazna Gwardia” czy na Węgrzech Ruch Strzelistych Krzyży podlegały w dużym stopniu kontroli własnego sądownictwa i policji. Dlatego się w tych państwach, w odróżnieniu do Ukrainy, nie odrodziły.

Na szczęście dla demokratów ruch nacjonalistyczny jest podzielony na kilka odłamów, które przenieśli swe emigracyjne waśnie do macierzystego kraju. Przefarbowana na demokrację postkomunistyczna nomenklatura, która dawniej obrzucała błotem „burżuazyjnych nacjonalistów, przybyszów spod znaku OUN, przyjęła co prawda nie z otwartymi ramionami, ale też bez oporu. Częściowo była to rzekoma tolerancja, częściowo skutek własnej propagandy o „wpływach” nacjonalistów na polityków państw zachodnich, co zupełnie nie odpowiadało rzeczywistości. Antynacjonalistyczne pozycje zajęli ortodoksyjni komuniści i niektóre kręgi liberalne i socjaldemokratyczne, oczywiście z zupełnie przeciwnych pobudek.

Faktycznie obraz działalności i programów ideologii OUN jest po dziś dzień zamazany i w pełni znany tylko nielicznym jednostkom. Nie ma po dziś dzień obiektywnej historii tego ruchu. Nie było rzeczywistej publicznej debaty nad tym swoistym ukraińskim elementem niedawnych dziejów i współczesności. Dopiero teraz kilku luminarzom jak liderowi Ruchu Czornowołowi i przewodniczącemu Towarzystwa Związków z Ukraińcami poza granicami kraju, pisarzowi Iwanowi Draczowi przyszło do głowy, że nacjonalisci oprócz dzisiaj nieprzydatnych doktryn przynieśli do ojczyzny nikomu niepotrzebne emigracyjne awantury.

Z drugiej strony postkomunistyczne reżimy zachowują się wobec nacjonalistów niekonsekwentnie. Tolerując ich polityczną działalność reżimy te nie zrehabilitowały działalności Ukraińskiej Powstańczej Armii UPA i nie zrównały żyjących jeszcze jej członków z weteranami z Armii Czerwonej i komunistycznego ruchu partyzantów. Jest to tym bardziej niezrozumiałe, iż w odróżnieniu od politycznych przywódców, większość ruchu oporu kierowała się pobudkami patriotycznymi a nie ideologicznymi.

Upiory zapoznanej przeszłości

Lecz w istocie zmurszałego już ukraińskiego integralnego nacjonalizmu – nie cienie – blokują rozwój demokracji. Czyż to przede wszystkim ucieczka od odpowiedzialności za zbrodnie przeszłości, świadoma amnezja pamięci historycznej, tendencja do usypiania upiórów krwawej epoki stalinizmu. Jest to najbardziej tragiczny rozdział w krótkiej historii niepodległości Ukrainy. Wiadomo, że mimo dorabianej obecnie sztucznie heroizacji okresu tworzenia państwa, niepodległość przyszła dla wszystkich warstw ludności niespodziewanie. Upadek imperium był co prawda już namacalnym procesem, ale ani elity ani społeczeństwo Ukrainy nie były wystarczająco przygotowane na budowanie samoistnego państwa. Zresztą tak samo jak cały świat zachodni.

Akcji państwowotwórczej podjęły się dwa środowiska: najinteligentniejsza część komunistycznej nomenklatury partyjnej i państwowej i... antykomunistyczni dysydenci. Walkę o niepodległość rozpoczął „Ruch” – w pewnym sensie podobny w charakterze do polskiej „Solidarności” ale oczywiście nie w tym masowym zakresie. Zresztą przykład niepokornej sąsiedniej Polski odegrał wówczas ogromną rolę. Nieprzypadkowo walka o niepodległość zaczęła się w pobliskim Lwowie. Wtedy jeszcze wybitni komuniści – jak drugi sekretarz partii i późniejszy prezydent niepodległej Ukrainy Krawczuk – zwalczali niepodległościowy program patriotów z „Ruchu”. Potem nastąpił niepisany „ukraiński kompromis historyczny”, coś w rodzaju wymagowanej imitacji warszawskiego „Okrągłego Stołu”. Ale w ukraińskim wariacie stosunek sił pomiędzy komunistami i antykomunistami był odwrotny w porównaniu z Polską. Odwrotne też były, i są do dziś, następstwa nad Wisłą i Dnieprem.

I chociaż zbrodnie komunizmu na Ukrainie były chyba najpotworniejszymi ze wszystkich krajów dotkniętych tą plagą, w kraju tym nie było ani jednego procesu politycznego nad tym systemem ani w sensie dosłownym ani w symbolicznym. Owszem ukazało się wiele książek upamiętniających tragedię, odbyto masę konferencji naukowych,

opublikowano tysiące artykułów. Ale nie uchwalono żadnej ustawy o odpowiedzialności karnej winnych katowania i prześladowania chłopów i inteligentów ukraińskich. O jakiejś ustawie lustracyjnej nie było i nie ma mowy. Eks-komuniści ukraińscy świadomie nie dopuścili do dekomunizacji. Po pierwsze ze strachu przed karną i moralną odpowiedzialnością, po drugie z rozeznania o swojej sile i o słabości przeciwników.

Ta sytuacja zadecydowała o upadku polityki w normalnym znaczeniu tego słowa. Nie udała się próba takich ludzi jak filozofa i działacza politycznego – Myrośława Popowycza – przekształcenia struktur postkomunistycznych we współczesną partię socjaldemokratyczną. Utworzona na bazie opozycji komunistycznej Partia Demokratycznego Odrodzenia Ukrainy miała wstąpić na drogę transformacji systemu jak w Polsce czy na Węgrzech. Jednak przeфарbowana na „państwowców” postkomunistyczna elita najpierw rozwiązała starą partię a sama pozostała bezpartyjną. Miało to fatalne skutki. Demokracja ukraińska mimo wszelkich formalnych właściwości ustroju parlamentarnego stała się faktycznie bezkształtną masą, formacją bez określonych struktur, chorą na nowotwory politycznej, ekonomicznej a zwłaszcza moralnej korupcji. Metastazy tych nowotworów przeżarły administrację, rząd, parlament. Sprzyjały temu specyficzne okoliczności, które uniemożliwiły modernizację systemu, a stały się jednocześnie pożywką dla rozwoju nieoficjalnych klonów, koterii i regionalnych grup interesów. Główną przeszkodą na drodze do demokratyzacji była anachroniczna ordynacja wyborcza, która konserwowała ową miazgę bez konturów, znamion rzeczywistego rozkładu sił i stopnia odpowiedzialności polityków za ich czyny. Dotychczas nie wiadomo jakie polityczne tendencje wyraża prezydent państwa, kogo reprezentuje premier, na kim się opiera gabinet ministrów i gdzie są partie władzy, a gdzie opozycja. System ten bardziej przypomina stosunki panujące w Azji Środkowej i na Kaukazie, niż w Europie Środkowo-Wschodniej. Nawet Rosja ze swym specyficznym ustrojem konstytucji autorytatywnej pod względem państwowotwórczym wyprzedziła Ukrainę.

Obraz kontrastów

Ukraina zdobyła sobie na świecie – i słusznie – respekt dzięki umiarkowanej i solidnej polityce zagranicznej, która pozwoliła zlikwidować dawne konflikty z sąsiadami. Uzyskała też powszechne uznanie liberalna polityka w stosunku do wszystkich mniejszości narodowych. Kolejne rządy w Kijowie usiłowały tym podwójnym sukcesem zatrzeć ślady niedorozwoju demokracji wewnętrznej. Ale siła prymatu polityki zagranicznej już się wyczerpała. Coraz częściej podnoszą się głosy protestu przeciwko tego rodzaju strategii reżymu prezydenta Kuczmy. Brak istotnych reform politycznych i ekonomicznych, a na skutek tego postępująca pauperyzacja społeczeństwa i nikim i niczym niekontrolowane machinacje w dziedzinie eksportu i importu, doprowadziły do kumulacji niezadowolenia.

Istniejący system zatartych granic kompetencji i odpowiedzialności sprzyjał nie tylko korupcji. Spowodował również rozkład w szeregach administracji, która przemieniła się w armię bezsilnych i w większości pasywnych biurokratów. Następstwem tego stał się ogólny nieład a przede wszystkim zupełna niesprawność w egzekucji podatków. Z jednej strony gospodarka ugina się pod ciężarem groteskowych wymiarów opodatkowania zysków z produkcji, powodujących klaps większości przedsiębiorstw, a z drugiej strony kasy państwowe świecą pustkami. Władza prezydencka, wyposażona w nadzwyczajne upoważnienia, ale pozbawiona istotnych środków kontroli demokratycznej, nie była w stanie opanować chaosu i demoralizacji. Uciekała się do spychania odpowiedzialności na kolejnych premierów, nie posiadających ani aparatu wykonawczego ani własnego zaplecza politycznego w postaci większości czy koalicji rządowej. System często nieuzasadnionego dymisjonowania kierowników rządów, powodował u ofiar tego rodzaju polityki zrozumiałą żądzę zemsty, kumulował podskórne prądy opozycyjne.

W międzyczasie rosło nie tylko niezadowolenie społeczeństwa ale też rozgoryczenie wśród przywódców istniejących partii politycznych zagrożonych powszechnym

wstrętem wobec beczynnych stronnictw. Prezydent Kuczma znalazł się w niełatwej sytuacji. Jego przepowiednie o bliskich owocach reform zawiodły. Oczekiwane zachodnie inwestycje nie nadeszły. Światowy Fundusz Walutowy a wraz z nim i Bank Światowy zażądały radykalnego ukrócenia korupcji i defraudacji. Kuczma złożył przyrzeczenie w Waszyngtonie, że niebawem nastąpi radykalna rozprawa. Okazało się jednak, że w istniejącym ładzie a raczej nieładzie tego rodzaju operacja nie ma najmniejszych widoków na powodzenie.

Kuczma zrozumiał chyba słabość swoich rządów ale nie wie, jak wyjść z ambarasu. Sprzyjanie nowo powstałej Ludowej Partii Demokratycznej pod kierownictwem szefa prezydenckiej kancelarii Kuszniejowa, mimo dużego napływu sfer urzędniczych, nie jest żadnym wyjściem z kryzysu. Na Kuczmie mści się też nieopaczna zapowiedź, że się będzie ubiegał o ponowną kandydaturę na urząd prezydenta w 1999 roku. Zmobilizowało to przedwcześnie jego głównych konkurentów: przewodniczącego parlamentu Moroza, i obydwu po kolei obalonych premierów Marczuka i Łazarenkę. W międzyczasie dołączył do nich czwarty pretendent, usunięty z gabinetu, najbardziej kompetentny i poważany na Zachodzie, minister sprawiedliwości Hołowatyj.

Zmiana czy marazm?

Za sprawą przyszłych konkurentów w walce o prezydenturę ale i pod wpływem rosnącej krytyki społecznej w parlamencie doszło wreszcie do decyzji o uchwaleniu nowej ordynacji wyborczej na obowiązujące w marcu 1998 głosowanie do Werchownej Rady. Nowa ordynacja wyborcza jest kompromisem pomiędzy systemem większościowym i zasadą proporcjonalności. Z ogólnej liczby 450 posłów, połowa ma być obrana w jednomandatowych okręgach, a druga połowa według list wyborczych partii i bloków politycznych. Zniknąć ma obowiązek udziału co najmniej 50 procent uprawnionych do głosowania, co w poprzednich wyborach było bowiem powodem licznych dodatkowych głosowań bez pozytywnego zakończenia. Parlament nie osiągnął przepisowej liczby posłów dochodząc po wielu

próbach uzupełnień do 413 deputowanych. Warunkiem dopuszczenia do wyborów jest przedstawienie przez partię lub blok koalicyjny co najmniej 200.000 podpisów rozdzielonych po co najmniej 10 000 na terytorium minimalnie połowy województw. Ordynacja dopuszcza też indywidualne kandydatury. W tym wypadku osoba ubiegająca się o mandat poselski, winna zebrać co najmniej 1500 podpisów. Dla uniknięcia rozdrobnienia partij w parlamencie ustanowiono czteroprocentową barierę.

Pod koniec września wydawało się, że sprawa przyszłych wyborów jest jasna i partie zaczęły się gorączkowo przygotowywać do startu w kampanii, która zgodnie z przepisami powinna była ruszyć 9 października. Stało się jednak inaczej, bo Kuczmie nagle zmieniło się poprzednie pozytywne zdanie. Nagle stwierdził, że ordynacja jest niezgodna z konstytucją. Nie zgłosił jednak veta, tylko sformułował szereg poprawek. Większość z nich miała drugorzędne znaczenie i parlament je natychmiast zatwierdził, by nie tracić czasu. Odrzucił jednak próbę prezydenta przywrócenia absurdu minimum 50-procentowego udziału w wyborach. Jednocześnie 87-miu posłów zgłosiło też protest powołując się na rzekome pogwałcenie konstytucji. W ten sposób przeciwnicy politycznej modernizacji państwa usiłują powstrzymać bieg historii. Nagła zmiana w postawie prezydenta Kuczmy wskazuje na to, że uległ on podszeptom jednej z klik zauszników. Niektórzy wskazują na osobę Dmytra Tabacznyka, który po dymisji przy końcu ubiegłego roku niespodzianie na początku października powrócił pod skrzydła prezydenta.

Nie wiadomo czego sobie obiecują intryganci w otoczeniu Kuczmy, którzy go namówili do odwrótu. Jeżeli prezydent Ukrainy będzie kontynuował politykę wojny z parlamentem i większością partii, to i z tego może wyniknąć pogłębienie marazmu politycznego i dalsza utrata autorytetu i popularności prezydenta. Niezatwierdzenie nowej ordynacji wyborczej oznaczałoby, że wybory marcowe odbyłyby się według starych prawideł gry, ale wówczas frekwencja byłaby na pewno tak niska, że nigdy by nie osiągnięto wymarzonych pięćdziesięciu procentów. Ukraina stałaby przez cztery lata nierządem. Październik jak orzekł ktoś z historyków ukraińskich był zawsze fatalnym miesiącem. Czyżby się to

miało powtórzyć? Miejmy nadzieję, że nie. Ale w każdym razie po niespodziewanym przebiegu nadziei, że na wiosnę 1998 roku powstanie Druga i lepsza Republika, nagle przysłyły przedwczesne przymrozki i Ukraina znowu jak już często bywało w historii, znalazła się na rozdrożu.

19 października 1997

Bohdan OSADCZUK

KULTURA

PRENUMERATA NA ROK 1998:

Cena prenumeraty (numery 1–12) wynosi **80 zł**.

Cena prenumeraty na I półrocze (numery 1–6) wynosi **45 zł**.

ZESZYTY HISTORYCZNE

PRENUMERATA NA ROK 1998:

Cena prenumeraty za cztery numery (123, 124, 125, 126) wynosi **60 zł** (wraz z przesyłką).

Wpłaty należy przekazywać na konto:
Towarzystwo Opieki nad Archiwum Instytutu Literackiego w Paryżu
Bank Zachodni SA II O/Warszawa, Nr 11201027-7520-132-3000
z zaznaczeniem: *prenumerata KULTURY lub ZESZYTÓW HISTORYCZNYCH*

Od numeru 6/97 *Kultura* jest do nabycia
we wszystkich salonach EMPIK na terenie całego kraju.

Archiwalne numery *Kultury* i *Zeszytów Historycznych*
dostępne są w siedzibie Towarzystwa.



Towarzystwo Opieki nad Archiwum
Instytutu Literackiego w Paryżu
02-103 Warszawa, ul. Hankiewicza 1, p. 0103
tel./fax 824 35 88, tel. 824 38 00

Kronika kulturalna

Z nordyckiej perspektywy

LITERACKI NOBEL 1997 – UWAGI CZYTELNIKA

Na wstępie konstatacja z gatunku prawd oczywistych: współczesne badania w dziedzinie fizyki, chemii czy biologii molekularnej wymagają znacznych, coraz większych, nakładów finansowych, a do tworzenia literatury pięknej ciągle jeszcze wystarczy głowa, papier i ołówek. Powyższy truizm jest odpowiedzią na stawiane często – także przez prasę – pytanie, dlaczego nagrodę Nobla w dziedzinie nauk przyrodniczych ciągle otrzymują przedstawiciele kilku najbogatszych państw świata (głównie USA), gdy natomiast nagrody literackie mogą bardziej sprawiedliwie być przyznawane reprezentantom różnych nacji i kontynentów. Po prostu wybitnego pisarza znaleźć dziś można nawet w Meksyku, Kolumbii, Polsce czy Nigerii, wybitnego fizyka czy fizjologa – już raczej nie.

Z oczywistych względów każdoroczna nagroda literacka Nobla determinuje w pewien sposób – na zasadzie wykluczenia! – nagrodę w roku przyszłym. Tak więc w roku bieżącym można było przewidzieć, iż nagrody literackiej raczej nie otrzyma:

- poeta (bo Szymborska i Heaney);
- kobieta (bo znowu Szymborska, a także Morrison i Gordimer);
- pisarz angielskojęzyczny (bo Heaney, Morrison, Walcott, Gordimer);
- reprezentant Europy Wschodniej czy Azji (bo Szymborska i Kenzaburo Oe).

Wiele wskazywało, iż nagrodę tegoroczną otrzyma mąż-

czyzna, prozaik lub dramaturg i przedstawiciel kontynentalnej Europy Zachodniej lub Ameryki Łacińskiej. Piszący te słowa, gorący wielbiciel twórczości autora „La guerra del fin del mundo”, miał nadzieję, iż nagrodę otrzyma właśnie Mario Vargas Llosa, wieloletni „mocny” kandydat do tego najwyższego wyróżnienia literackiego. Prasa szwedzka typowała też kilku innych pisarzy; z dużą częstotliwością wymieniani byli José Saramago, Hugo Claus, Cees Nooteboom i Jaan Kross, przy czym szanse tego ostatniego wzmocnione są przez szczególne więzy łączące Szwecję z Balticum w ogóle, a z Estonią w szczególności.

Nadmieńmy w tym miejscu, iż dla Szwedów nagroda Nobla, niejako ich „nagroda domowa”, mniejsze ma znaczenie niż dla innych narodów. Sam fakt ustanowienia nagrody był początkowo bardzo kontrowersyjny (do jej nacjonalistycznych przeciwników należał m.in. król Oscar II), a czytelnicy szwedzcy nauczyli się szybko, iż nie każdy laureat nagrody literackiej „nadaje się do czytania”. Niewiele też mówią same liczby sprzedaży, gdyż oprócz licznych bibliotek, nabywających laureatów z urzędu, istnieje też spora grupa Szwedów kupujących książki każdego noblisty („bo to mieć należy”), z czego oczywiście nie wynika, iż książki te są czytane. W czytelnicznym odbiorze laureat laureatowi nie jest równy i przepaść oddziela tu I.B. Singera, pisarza szalenie popularnego, który w Szwecji rzeczywiście trafił pod strzechy od C. Simona, którego – poza romanistami – nie czytał prawie nikt.

Marcel Reich-Ranicki jest wybitnym, choć często kontrowersyjnym krytykiem literackim w Niemczech. W rozmowie z przedstawicielem *Kultury* (nr 5/97) wypowiedział on kilka interesujących twierdzeń, z których jedno – w zasadzie też należące do prawd oczywistych – jest nader ważne dla Polaków: w wolnym kraju nie można ludzi zmusić do czytania tego, czego nie chcą! Bez względu na reklamę wydawców i opinie krytyków, Szwedzi – by pozostać przy laureatach nagrody Nobla – zawsze będą przedkładać książki Bellowa, Singera czy Marqueza nad Montalego, Seiferta czy Celi. Zawsze też fakt poczytności danego pisarza w USA będzie miał dla szwedzkich preferencji czytelnicznych znaczenie przynajmniej równe werdyktowi ich własnej Akademii. Większość Szwedów bez trudu i dla przyjemności czyta po angielsku: przeciętny kon-

sument – jakiegoś tam Grishama czy inne „dreszczowce”, inteligent – Mailera, Updike’a czy Philipa Rotha (ostatnia powieść Rotha, „American Pastoral” została wręcz zalana morzem pochwał krytyki, niewątpliwie zwiększając szanse otrzymania przez Rotha nagrody Nobla). Amerykanizacja kultury jest już faktem i właśnie z powodu tej amerykańskiej dominacji jest Richard Rorty filozofem, którego prace są czytane w kręgach inteligencji szwedzkiej, gdy Jacques Derrida jest tylko znanym nazwiskiem. Z tego samego też względu Toni Morrison – niezależnie od „wzmocnienia”, jakie daje jej płęć w kraju wpływowych feministek – może liczyć na większą liczbę czytelników niż N. Mahfouz.

W pierwszych kilkunastu latach istnienia literackiej nagrody Nobla Akademii Szwedzkiej zdarzały się spore pomyłki. Za szczególnie drastyczną uznaje się przyznanie nagrody Sienkiewiczowi w chwili, gdy jeszcze żył Lew Tołstoj. Niektórzy twierdzą zresztą, iż Carl David af Wirsén właśnie dlatego przeforsował Sienkiewicza, by Tołstoj nagrody Nobla nie dostał. Na łamach *Finanstidningen* przypomniano niedawno sylwetki kilku całkowicie zapomnianych laureatów literackiej nagrody Nobla. Pisząc o Sienkiewiczu, ten poważny dziennik podkreślił kontrast – wiele mówiący dzisiejszej psychologii – między uderzającymi, nawet w tamtych czasach swoją pruderią opisami scen miłosnych, przypominających „plansze szkółki niedzielnej” a istną orgią krwawych opisów tortur, bitew i straceń. C.D. af Wirsén przeforsował nagrodę dla Sienkiewicza na podstawie „Quo vadis” i „Krzyżaków”. Gunder Andersson stawia jednak w *Finanstidningen* tezę, iż af Wirsén „Krzyżaków” nie czytał – gdyby czytał to występująca w tej powieści dawka sadyzmu kazałaby mu poszukać innego kandydata wśród autorów powieści historycznych.

Nagrody Nobla przyznawane są od roku 1901 i dziś za niewątpliwego skandalu uznaje się, iż nie dostali ich Ibsen czy Strindberg; Joyce’a podobno nikt nie zgłosił, a wtedy jeszcze członkowie Akademii nie wysuwali własnych kandydatur. Jednak w latach późniejszych, zwłaszcza powojennych, Svenska Akademien rażących błędów nie popełniała. Zauważmy, iż nieuniknione spory dotyczyły głównie tego, kto nagrody nie dostał, ale raczej nie podważano pozycji laureatów. Akademii zdarzały się decyzje dyskusyjne (Churchill, Sartre),

decyzje wywołujące wściekłość potężnego sąsiada (Pasternak, Sołżenicyn), a więc także dygot łydek wielu Szwedów, ale nie zdarzały się wyraźne pomyłki.

Czy Dario Fo, laureat tegoroczny, to decyzja, która wzbudzać będzie wielkie kontrowersje?

Szwedzki tłumacz Fo, a także jego przyjaciel i literacki agent, Carlo Barsotti daje na powyższe pytanie odpowiedź twierdzącą, mówiąc dziennikarce *Svenska Dagbladet*: „Różni pseudointelektualiści nie będą zachwyceni, Dario był i jest niewygodny dla wielu grup” (*SvD* 10 X 1997). Jednak wbrew opinii tego osiedlonego w Szwecji Włocha (Barsottiemu pomaga oczywiście w tłumaczeniach na szwedzki jego żona Anna) większość pierwszych głosów skrupulatnie zebranych przez szwedzkie dzienniki była pozytywna, często wręcz entuzjastyczna. Tegorocznym wyborem Akademii Szwedzkiej szczególnie zachwyceni byli profesor Jerzy Pomianowski, Ariel Dorfman (ten żyjący w USA uchodźca z Chile i wybitny dramaturg sam mógł spodziewać się nagrody Nobla), amerykański teatrolog, profesor Fredric Jameson czy krytyk teatralny *Le Monde*'u, Olivier Schmitt. Głosy negatywne, surowo potępiające werdykt Akademii, dobiegły głównie ze strony skrajnej prawicy. Neofaszysta Gianfranco Fini uznał tegoroczny wybór Akademii za hańbę (*DN* 10 X 1997), a Lucio Colletti z *Forza Italia* – za dowód skuteczności 35-letniego prania szwedzkich mózgów przez socjaldemokratyczne rządy (*DN* 11 X 1997). *L'Osservatore Romano* przypominało poprzednich włoskich laureatów literackiej nagrody Nobla i wyraziło bardzo katolickie zatroskanie, iż „po tak wielkiej mądrości przyszedł błazen” (cyt. wg. *DN*). Polskiego czytelnika najbardziej chyba interesują głosy Polaków. *Dagens Nyheter* zebrały na gorąco kilka takich wypowiedzi, przy czym wybór osób nie był naturalnie przypadkowy: Miłosz – noblista, Mrożek – potencjalny noblista i Polak znający język i literaturę Włoch (Pomianowski).

Czesław Miłosz, noblista w Szwecji lubiany i dość znany (choć niestety nie jako poeta, ale bardziej autor „Rodzinnej Europy” i esejów, czytanych głównie po angielsku) oświadczył, że nie może się wypowiedzieć, gdyż twórczość Fo nie jest mu niestety znana.

Sławomir Mrożek skonstatował krótko, że o tej nagrodzie

nic nie powie i odłożył słuchawkę. Sławomir Mrożek to wielkie nazwisko i gdy zaczęły rozchodzić się pogłoski, iż nagrodę Nobla może otrzymać dramaturg, dziennikarze szwedzcy wymieniali tylko dwa nazwiska: Pinter i Mrożek (oczywiście ubiegłoroczna nagroda dla Wisławy Szymborskiej wyeliminowała na jakiś czas kandydaturę Mrożka). Gdy więc sąd o nagrodzie dla Dario Fo formułuje Sławomir Mrożek jest to – *nolens volens* – opinia konkurenta.

Swojego entuzjazmu dla decyzji Akademii nie ukrywał natomiast profesor Jerzy Pomianowski. Uważa on, iż Dario Fo jest jednym z najbardziej paradoksalnych, a jednocześnie najlepiej ugruntowanych wyborów w całej historii nagrody Nobla. Po raz pierwszy nagrodzono literaturę w większym stopniu mówioną niż pisaną, a więc poniekąd literaturę przyszłości, przekazywaną przez sieci mediów audiowizualnych. Dario Fo nawiązuje do tradycji ludowych błaznów, którzy stworzyli teatr włoskiego Renesansu, ukazując jednocześnie dalszy los samej literatury (...) Największa zasługa Fo polega na tym, iż pozbawiony możliwości występowania w państwowej telewizji i kontrolowanych przez komunistów teatrach ludowych, potrafił jednak przyciągnąć publiczność, która normalnie nie ma żadnych związków z teatrem (*DN* 10 X 1997).

Na zakończenie kilka własnych wyjaśnień. Aczkolwiek we Włoszech anarchizujący Fo, nieustannie atakujący Watykan i polityczny establishment, nie jest przez władze rozpieszczany, nie należy sobie wyobrażać, iż jest „twórcą wyklętym”. Przeciwnie – Fo jest jednym z najczęściej grywanych autorów na świecie: dotychczas ponad 3.500 inscenizacji w blisko 60 krajach. „La copia aperta” wystawiana była w Niemczech przez 35 zespołów równocześnie. Tylko w maleńkiej Szwecji trzy główne sztuki Fo obejrzało ponad 100 tysięcy widzów, a „Morte accidentale di un anarchio” także była wystawiana równocześnie przez sześć teatrów szwedzkich. W chwili przyznania Fo nagrody Nobla jego sztuki grane były w 400 teatrach na świecie; w Szwecji, w Sztokholmie grano jego „Mistero Buffo” z 1969 roku, inny szwedzki zespół właśnie kończył próby sztuki Fo z roku 1974 (premiera odbyła się w Karlskroga 11 października 1997), a jeszcze inny właśnie podjął decyzję wstawienia do repertuaru sztuki ostatniej: „Il diavolo con le zinne”.

Chociaż Dario Fo nie znosi „teatru padliny” (Il teatro cadavere), którym to mianem określa zwłaszcza teatry Broadway’u i West End’u, grywany on był na bardzo szacownych scenach, zresztą także West End’u, („The Pope and the Witch”). Dario Fo lubi podkreślać, że nie ma żadnego specjalistycznego wykształcenia, ale Lars Löfgren, były szef narodowej sceny szwedzkiej Dramaten – który sam wystawiał farsy Fo – twierdzi, iż tegoroczny laureat literackiej nagrody Nobla dysponuje ogromną wiedzą teatrologiczną, a to, czego nie wie o *comedia dell’arte*, tego wiedzieć nie warto. Można więc odnieść wrażenie, iż Dario Fo – szczerzy zresztą anarchista – trochę się stylizuje na prostego człowieka z Porto Valtravaglia, który nie ma żadnych związków z „mieszczańską gangreną”. W konkurencji o nagrodę Nobla nie był Fo całkowitym outsiderem. Całkowici outsiderzy nie dostają nagrody Nobla. Wbrew głosom niektórych słabo zorientowanych gazet zachodnich Wisława Szymborska też nie była nie znaną nikomu poetką. Przeciwnie – Szymborska była od lat bardzo mocną kandydatką i wielu szwedzkich obserwatorów (z piszącym te słowa włącznie) było przekonanych, iż zostanie nagrodę Nobla już w roku 1995.

Z wyjątkiem członków Akademii nikt nie wie na pewno, co decydowało o wyborze Fo: pewne fakty ujawnia się, zresztą skąpo, w wiele lat później. Spekulacje są jednak nieuniknione. Mówi się, iż tegoroczny werdykt Akademii był bardzo odważny, a instytucję tę oskarża się nader często właśnie o brak odwagi (choćby w sprawie Rushdiego). Sądzę jednak, że ważniejszy od pokazania odwagi był inny faktor, na który – zresztą mimochodem – zwrócił uwagę Bo Löfvendahl ze *Svenska Dagbladet*. Tzw. pokolenie 68, które w wielu krajach, także w Szwecji sprawuje dziś władzę w polityce, biznesie, a zwłaszcza w mass-mediach, chciało mieć wreszcie swojego laureata nagrody Nobla. Oczywiście głównie jako terapeutyczne alibi, gdyż z ideałów kontestacji roku 1968 zostało bardzo niewiele. Ci, którzy w sztokholmskich kinach rzucali kiedyś gazowe petardy w czasie projekcji filmów amerykańskich czy zbierali pieniądze na FNL, są dziś szefami telewizyjnych kanałów, głównymi ekonomistami wielkich banków, dyrektorami finansowymi wielkich koncernów. Szaloną młodość wspominają jednak z sentymentem, gdyż przecież każdy lubi własną

młodość. Dlatego chyba nieprzypadkowo krążyły nawet wieści tak „tatarskie” iż nagrodę mógłby w ostateczności dostać Bob Dylan za poetyckie teksty swoich piosenek.

Ponadto na decyzję Akademii mogło też mieć wpływ bardzo groźne zjawisko narastającej na całym Zachodzie pogardy dla polityków. Ma ona naturalnie związek z wywodzącym się z neoliberalizmu przekonaniem, iż „*management* wszystko załatwi”, że państwem można rządzić tak samo jak wielką korporacją. Niestety obywatel-wyborca – którego dziś coraz częściej nazywa się klientem-podatnikiem (jakiemu państwo sprzedaje pewne usługi) – wymaga od polityków czegoś więcej niż od szefów koncernów i korporacji. Obywatel nie utożsamia się z deficytem budżetowym, nie będzie walczyć o *jobless growth* i potrzebuje innej wizji niż ta, którą prezentują mu neoliberalni *jobkillers*. Także w Szwecji, gdzie szacunek dla zwierzchności był szczególnie mocno ugruntowany, słowo „polityk” coraz częściej zaczyna być synonimem oszusta i złodzieja. *Zeitgeist* ma wpływ nawet na członków Akademii, którzy przecież nie żyją w społecznej próżni. Może więc w formie przestrogi nagrodzili autora, który nieustannie chłostanie władzy uczynił swoim głównym przesłaniem literackim.

Stefan ABNER

LISTA CZŁONKÓW WSPIERAJĄCYCH TOWARZYSTWO OPIEKI NAD ARCHIWUM INSTYTUTU LITERACKIEGO W PARYŻU

INSTYTUCJE

„Sezam” S.c, Kraków	1.000 ZŁ
FUNDACJA ZESZYTÓW LITERACKICH, Warszawa	300 ZŁ
PPH „WKRA” Sp. z o.o., Pomiechówek	2.100 ZŁ
PH-U „WSIP-SERVICE”, Wrocław	1.500 ZŁ
SEDEŃKONCEPT, Płock	100 ZŁ

OSOBY PRYWATNE

Zygmunt Augustowski, Warszawa	12 ZŁ
Bogumiła Berdychowska, Warszawa	100 ZŁ
Maciej Bernhardt, Warszawa	250 ZŁ
Dobromiła Chęciówna, Kraków	20 ZŁ
Krystyna Ciekot, Wrocław	20 ZŁ
Karol Cieślak, Zamość	90 ZŁ
Krystyn Waclaw i Maria Czerniejewscy, Oświęcim	160 ZŁ
Władysław Dadak, Kraków	100 ZŁ
Marian Daniuk, Rybnik	30 ZŁ
Anna Dobroń, Warszawa	50 ZŁ
Halina Dörfler, Szczecin	30 ZŁ
Daniela Filipińska, Szczecin	400 ZŁ
Zygmunt Gemel, Przygłów	20 ZŁ
Grzegorz Górecki, Ostrzeszów	30 ZŁ
Zbigniew R. i Anna Grabowscy, Warszawa	350 ZŁ
Zdzisław Grabowski, Nowa Sól	100 ZŁ
Barbara Gumowska, Warszawa	30 ZŁ
Mieczysław Jackiewicz, Olsztyn	20 ZŁ
Janina Janczak, Brwinów	10 ZŁ
Janusz Jeljaszewicz, Warszawa	100 ZŁ
Helena Jenner, Bytom	30 ZŁ
Anna Kalman, Warszawa	100 ZŁ
Małgorzata Kłossowska, Warszawa	150 ZŁ
Joanna i Andrzej Kokotowie, Inowrocław	180 ZŁ
Wiesława Justyna Kowalewska, Warszawa	30 ZŁ
Jolanta Lipska, Warszawa	200 ZŁ
Andrzej Łaskiewicz, Bukowina Tatrzańska	60 ZŁ
Jarosław Mantay, Płock	60 ZŁ
Zofia Mecych, Warszawa	50 ZŁ
Agnieszka Mikołajczak, Lidzbark Warm.	10 ZŁ
Dorota Myko, Warszawa	100 ZŁ
Urszula Niesiołowska, Poznań	30 ZŁ
Karol Olejnik, Poznań	50 ZŁ
Kazimierz Orłoś, Warszawa	50 ZŁ
Krystyna Orłowska-Wojczulanis, Lidzbark Warm.	20 ZŁ
Andrzej Paczkowski, Warszawa	50 ZŁ
Bronisław Paczyński, Warszawa	50 ZŁ
Karol Pluskiewicz, Gliwice	100 ZŁ
Krystyna Pochwalska, Warszawa	70 ZŁ
Aldona Podolska, Warszawa	50 ZŁ

Henryk Ratajczak, Wrocław	950 ZŁ
Maria Riesser-Rożek, Braunschweig	180 ZŁ
Władysław Rokiciński, Warszawa	70 ZŁ
Irena Rzeplińska, Warszawa	50 ZŁ
Maria Rzuchowska, Kraków	50 ZŁ
Jan Schaitter, Warszawa	120 ZŁ
Janusz Schminda, Warszawa	400 ZŁ
Agata i Wojciech Sikora, Paryż	100 ZŁ
Andrzej Sołdrowski, Chorzów	10 ZŁ
Anna Staniewska, Warszawa	50 ZŁ
prof. Tomasz Strzembosz, Warszawa	100 ZŁ
Witold Sygocki, Warszawa	15 ZŁ
Urszula i Hubert Sylwestrzakowie, Warszawa	100 ZŁ
Elżbieta Szańkowska, Warszawa	100 ZŁ
Jerzy Szygiel, Warszawa	50 ZŁ
Longin Tomaszewski, Warszawa	25 ZŁ
Bogumiła Trusz-Koch, Warszawa	200 ZŁ
Ryszard Tupin, Warszawa	50 ZŁ
Ryszard Twardosz, Kraków	400 ZŁ
Roman Wapiński, Gdańsk	100 ZŁ
Wanda Wiczorek, Tychy	100 ZŁ
Z.T. Wierzbicki, Warszawa	20 ZŁ
Jerzy Wiszniewski, Warszawa	60 ZŁ
Jan Witkiewicz, Przemyśl	50 ZŁ
Andrzej Witkowski, Warszawa	200 ZŁ
Lucjusz Włodkowski, Łódź	40 ZŁ
Marek Wójcicki, Ostrowiec Świętokrzyski	50 ZŁ
Andrzej Zakrzewski, Warszawa	200 ZŁ
Pola Żydkowicz, Warszawa	100 ZŁ

Wolna trybuna

Jak umierała formacja – rozważania o przegranej

I

Kiedy w 1989 roku został odsunięty od władzy obóz komunistyczny, większości obserwatorów umknął znaczący fakt: za tzw. listą krajową, obejmującą prominentów reżymu, opowiedziało się 7-8 mln ludzi, czyli więcej, niż w I turze wyborów prezydenckich 1990 roku głosowało na Lecha Wałęsę. Więcej, niż kiedykolwiek uzyskały liczone razem, wszystkie tzw. partie postsolidarnościowe. Tymczasem nikt, po zwycięskiej stronie, nie zadał sobie trudu rozszyfrowania tego sygnału, ukazującego, jak znaczna jest potencjalna baza elektoralna *ancien regime*'u, która, w okolicznościach nie sprzyjających nowemu łaadowi, może być szybko zrekonstruowana. Owa baza była miną, którą należało rozbroić, a nie próbować jej wytrzymałości. Zwycięscy rewolucjoniści konsumowali wówczas swój triumf: posyłali przegranych na śmietnik historii, dezawuuując ich postawy i zachowania, dezawuowali – przynajmniej tak oni to odbierali – sens ich życia.

Natomiast przegrani zachowywali się zgodnie z regułami obowiązującymi w naturze w sytuacji zagrożenia. Część usiłowała dołączyć do wygranych pozyskując ich zaufanie neoficką gorliwością w opluwaniu zarówno minionego systemu, jak i dawnych towarzyszy, inni próbowali odnaleźć się w nowych strukturach politycznych, bez tych aktów zaprzęstwa, jeszcze inni zakotwiczyli się w biznesie; większość – wycofała się z życia publicznego, aby przeczekać trudne, z ich punktu widzenia, czasy. Najmniejsza stosunkowo część postanowiła zagrać, pod własnym szyldem, na politycznej scenie – bardziej jako zwiadowcy „bojem rozeznający sytuację”, niż

jako dysponujący przemyślaną koncepcją, samodzielni aktorzy. Wybory prezydenckie 1990 roku potraktowali jako sprawdzian – głosy zebrane przez Włodzimierza Cimoszewicza (blisko 10% głosujących) pochodziły od starego, pezetpeerowskiego elektoratu. Tworzył on, można powiedzieć, twarde jądro zwolenników zawsze gotowych poprzeć kontynuatorów PZPR. Nie było ich tylu, by ich depozytariusze mogli odgrywać znaczącą rolę, lecz wystarczająco, aby zaistnieli na politycznej scenie. Część potencjalnych wyborców SDRP poparła wówczas Tadeusza Mazowieckiego, jako „mniejsze zło”, czyli tego, który, choć demontował stary system, to ludziom zeń się wywodzącym bezpośrednio nie zagrażał.

II

A co działo się wtedy w drużynie zwycięzców? Z grubsza biorąc, podzielili się oni na „konstruktywistów” i „bojowników”. Pierwsi uważali, że wybory '89 oraz ich konsekwencje zamknęły etap walki politycznej. Sądzi, że zamiast tracić czas na rozliczanie beneficjentów starego porządku, należy go demontować i tworzyć zręby nowego ładu. Zajawszy się tym, bez wątpienia najistotniejszym problemem, przeoczyli konieczność poszukiwania społecznego zaplecza dla reform. Sądząc, że „przemówi logika przemian”, zapomnieli widać o tezie Marksa: przemiany świadomości następują znacznie wolniej niż przemiany ekonomiczne. Kult „automatyzmu przemian” legł u źródeł istotnego błędu reformatorów, czyli braku politycznego projektu. Mniemali oni, że wolność słowa, zgromadzeń, organizowania się, jest wartością samą w sobie. Kiedyś, jako aktywni opozycjoniści, dotkliwie odczuwali brak tych swobód. Zapomnieli tylko, że to, co znaczące dla opozycyjnych elit, zdaje się abstrakcyjne społeczeństwu *en masse*, wedle którego swobody służyć mają realizacji określonego projektu politycznego przez partie. Tymczasem, reformatorzy stali się ofiarą sytuacji – ich polityczne temperamenty, typ społecznej wrażliwości i wyznawany system wartości sytuowały ich, przenośnie mówiąc, na lewicy, podczas gdy reformy, które wprowadzali, należały do wokabularza prawicy. Paradoks ten wychwycił Jacek Kuroń, kiedy stwierdził podczas zjazdu założycielskiego ROAD, że chciałby, co prawda, być socjaldemokratą, ale w dojrzałym, ugruntowanym kapitalizmie. W jego rozumowaniu ukryte było wszakże podwójne zmistyfikowanie pojęcia lewicy, wyrastające zarówno z przekonania, że zostało ono, przez real socja-

lizm, tak dalece skompromitowane, iż odwołanie się doń równoznaczne jest z politycznym samounicestwieniem, jak też z anachronicznego jej pojmowania jako „rozdawcy dóbr”.

„Bojownicy” wywodzili się przeważnie z dalszych rzędów dawnej opozycji. Byli to często ludzie, którzy kiedyś zachowywali się mężnie stając naprzeciw tanków i ZOMO. Wszakże obecnie doznawali podwójnego poczucia niespełnienia: ich koledzy weszli do parlamentu, rządu, różnych urzędów i rad, a oni grali, w swoim mniemaniu, rolę drugorzędną; widzieli także szereg posad wciąż okupowanych przez ludzi dawnego porządku. Zarazem będąc „bliżej życia”, czuli i słyszeli narzekania, bezradność i złość ludzi zaskoczonych tempem i rozległością przemian, których charakteru i znaczenia zupełnie nie rozumieli. „Bojownicy”, nie mając programu, mieli jednak pomysł ucieczki do przodu poprzez igrzyska: „polowanie na czerwonego”, zagranie kartą martyrologii, tradycji i religii. Słowem, postulowali „zimną wojnę domową”, która miała podtrzymywać ducha walki. Im dalej od czerwcowych wyborów '89 roku, tym ostrzej stawiali kwestię „kto kogo”. Różnicę pomiędzy obydwoma segmentami formacji „S” można oddać słowami wieszczki. Reformatorów interesowało pytanie „Jaka Polska?”, bojowników zaś – „Czyja?”.

Podobne zjawiska występowały w obrębie węższej rozumianego NSZZ „S”. Ponieważ najaktywniejsi działacze odchodzili do polityki, biznesu i administracji, w związku pozostawali ci, którzy potrafili tylko reprodukcować wzorce zachowań wypracowane przez byłych kolegów a obecnych polityków. Nie mając pomysłów ani kwalifikacji niezbędnych dla stworzenia profesjonalnej organizacji związkowej, powielali język rewindykacji z lat 80-tych. Znamienne: lewackie hasła ubierano w szatę prawicowego frazesu. Groteskowo brzmiały deklaracje, było nie było organizacji związkowej, o ortodoksyjnej prawicowości, której wyznacznikami miały być... obrona własności państwowej, oraz klerykalizm i nacjonalizm. Za materii pomieszanie płacono inkoherencją wywodu: mylono ideologiczny osąd rzeczywistości z jej analizą.

Specyficzna rola Kościoła (ściślej: jego hierarchii) jako uczestnika gry politycznej polegała na tym, że silnie ingerując i surowo oceniając wszystkich jej uczestników, nie godził się być oceniany wedle kryteriów, jakie stosował wobec innych. Odrzucał przeto zasadę stanowiącą, że każdy podmiot życia społecznego musi występować na równych prawach i podlegać identycznej ocenie.

Partie *ancien regime*’u przeszły wówczas cudowną transformację: komuniści stali się esdekami, zaś ich alianci z ZSL-u – dziedzicami Witosy. Ta metamorfoza wynikała z kalkulacji – z możliwości zajęcia terytoriów nie zagospodarowanych przez dawnych opozycjonistów. Obydwie „nowe partie” nie miały żadnego pomysłu „ani na wieś, ani w ogóle na Polskę” – poza obroną statusu ich środowisk. Łączyła je wspólnota interesu i lęk przed rozliczeniami za przeszłość. Uprzednio były to partie władzy, czyli posad, a nie zasad czy wartości. Z czasem wypracują one sytuacyjny *quasi*-program, wyrastający zarówno z negacji nowego porządku, jak też z pomysłów „pożyczonych” od partii zeń wyrosłych. Tę ekwilibrystkę ułatwił im kapitalny błąd reformatorów, tzn. rezygnacja z „bilansu otwarcia”, czyli z inwentaryzacji spadku po PRL. To dlatego do dziś wielu jest pewnych, że PRL oznaczał niebogie, co prawda, niemniej funkcjonujące państwo, które dopiero Balcerowicz i reformatorzy rozłożyli na łopatki. Ludzie ci nie byli i nie są w stanie pojąć, że całkowicie zdestabilizowana „gospodarka” PRL-u zawałiła się, a Balcerowicz nie tyle dekomponował, ile rekonstruował normalność ekonomiczną. Dlatego rezygnacja z próby wyjaśnienia istoty sytuacji oznaczała „odpuszczenie” problemu społecznej legitymacji dla reform, czyli milczącą zgodę na wprowadzenie ich nawet wbrew woli społeczeństwa (wprost mówili o tym ówczesni członkowie Kongresu Liberalno-Demokratycznego). To oznaczało, że w obozie reformatorów górę bierze opcja technokratyczna kosztem demokratycznej. A przecież bankructwa i zamykanie fabryk i PGR-ów, bezrobocie i „wyuczona bezradność” z jednej strony, zaś przebojowość i kreatywność, życie na własny rachunek i odpowiedzialność z drugiej – wymagały objaśnienia.

Ponieważ rynek polityczny nie znosi próżni, dlatego wkrótce pojawili się na nim „adwokaci biednego ludu” – zarówno „z lewa”, jak „z prawa” (cudzołłów sygnalizuje umowność ideologicznych klasyfikacji owych „przyjaciół ludu”). Prawica ogłaszała i ogłasza – „nie tak miało być” – bo przecież miało być dobrze, miło i przyjemnie... Co prawda, recepty, jakie ofiarowała, kiedy ją pytano, jak osiągnąć ów stan szczęśliwości, wzbudzały zażenowanie ekonomistów, ale to nie przeszkadzało jej uparcie powtarzać, że kiedy wreszcie obejmie władzę, to... Lewica, z kolei, odwoływała się do „wspólnoty wydziedziczonych”, zarówno z władzy politycznej, jak z pozycji społecznych i ekonomicznych zajmowanych w minionych czasach. Inaczej mówiąc, sukcesorzy

PRL uwiedli tych, którzy postrzegają swą obecną pozycję jako degradację.

III

Rok 1990 jest kluczowy dla rozwoju Polski pokomunistycznej. Następuje rozłam w drużynie „S” i tworzy się rynek polityczny funkcjonujący, z grubsza biorąc, do dziś. Jego specyfika wynika stąd, że ów rozłam nie dokonał się bynajmniej wzdłuż osi istotnych podziałów społecznych, politycznych czy ekonomicznych, co wytworzyłoby czytelny układ sił, ale wedle zupełnie innych kryteriów. Odświeżono mianowicie podział istniejący w polskim życiu politycznym od czasów Oświecenia, kiedy rzeczywisty konflikt pomiędzy ówczesnymi modernizatorami a zachowawcami, co drudzy zwękslowali na boczny tor, wysuwając na pierwszy plan powierzchowne, w gruncie rzeczy, opozycje „kontusza i fraka”, czyli swojskości i cudzoziemszczyzny. Inaczej mówiąc „zachowawcy” podsunęli kwestie obyczajowe, psychologiczne, kulturowe i religijne, spychając z areny publicznej problem niezbędnych zmian strukturalnych. Powtórzono wówczas slogan *nihil novi*, który wszak, w odmiennej konfiguracji znaczył już coś zupełnie innego niż w początkach XIV w. Oznaczał teraz, u schyłku XVIII w., konserwację systemu wiodącego państwo do zguby, a tych, którzy mienili się największymi patriotami, w kierunku obrony *status quo* przy pomocy obcych bagnetów. Retoryka ówczesnych oponentów zmian do złudzenia przypomina retorykę ich współczesnych spadkobierców. Słowem-kluczem była i jest obcość, hasło wyprzedzały obcym naszym wartości, cnót, dóbr, tradycji i wiary. Tak wówczas, jak obecnie, głosi się, że „reformatorzy” nie mieli i nie mają narodowego ducha, katolickiej *fides*, sarmackiej *pietas*.

Zatem podział na Polskę otwartą, wolną od kompleksów, leków i fobii, śmiało mierzącą się z najlepszymi, oraz Polskę zamkniętą, obawiającą się konfrontacji z innymi, wystraszoną z powodu skrywanego mniemania o swojej „gorszości”, utrzymywał się od Oświecenia do dziś. I „wybuch” w kampanii prezydenckiej ‘90 roku, która nie była normalną debatą polityczną, ale konfliktem „dwóch Polsk”. Nie oznacza to oczywiście, że wokół obydwu solidarnościowych adwersarzy skupiali się wyłącznie zwolennicy jednej opcji; wskazuje tylko, jaki był rdzeń obydwu zarysowujących się politycznych obozów. I wręcz wymusza pytanie: dlaczego, do kogo, kiedy „rozszedł się” ów potencjał?

Różnych odpowiedzi udzielano na pytanie o tych, którzy idolem uczynili Stanisława Tymińskiego. Byli nimi zarówno ci, których Józef Tischner określił mianem *homo sovieticus*, jak też publika seansów z cudotwórcami, prowicjonalna „inteligencja pracująca” z dyplomami studiów (i takąż wiedzą) zaocznych, kierująca się „sufitowymi” wyobrażeniami o jakoby należnej jej gratyfikacji, a także część robotników oraz ci, którzy chcieli, „aby było im dobrze”. Czy była to potencjalna klientela totalizmu, jak wówczas sądzono? Chyba jednak nie. Abstrahując od jakości wodza, ludzi tych nie łączyła żadna wspólna idea, żaden wspólny cel – bez czego nie ma mowy o jakimkolwiek ruchu politycznym. Dlatego nie powiodły się rozmaite próby reaktywowania tego elektoratu.

To, co stało się po wyborach ‘90 roku określiło kształt sceny politycznej aktualny do dziś. W roku 1991 Polska miała szansę stworzyć silny, stabilny, dwubiegunowy system polityczny. Układ taki mógłby powstać poprzez artikulację wartości konserwatywnych i progresywnych, czyli jako centroprawica i centrolewica. Ale w ruchu „S” termin lewica był obciążony ujemną konotacją, przeto unikano takiej identyfikacji. Wałęsa, z kolei, obawiał się wyrazistych opcji politycznych, które, sądził, krępują swobodę ruchów, on zaś pragnął władzy dla siebie i *ad hoc* formowanej „drużyny wodza”. Wreszcie, czytelna identyfikacja musiałaby oznaczać zdefiniowanie klarownego stanowiska wobec miejsca i roli Kościoła w życiu publicznym, czego, z oportunistu, starano się unikać.

Problem wszakże nie sprowadzał się tylko do cech charakteru obydwu potencjalnych liderów. Wynikał stąd, że wyzwania modernizacyjnego nie można zredukować do tradycyjnej opozycji lewica–prawica. Krzysztof Pomian wyznaczając niegdyś standardy „normalnego” systemu politycznego (świeckość, demokracja, rynek, nowoczesna nauka i technika), stwierdził, że opcje lewicowe bądź prawicowe rozważać można sensownie dopiero po spełnieniu tych kryteriów. Dlatego zrozumiałe są obawy i niechęć rzetelnych i odpowiedzialnych polityków wobec jednoznacznych ideowych samookreśleń.

Czy standardy te powstają automatycznie, czy też są wytworem procesu historycznego – gry konfliktu i kooperacji? „Reformatorzy” wybrali wariant automatyzmu. A pozostali? Dla nich te dylematy nie istniały – nie rozumieli ich, nawet jeśli o nich słyszeli. Wczytując się w ich ustrojowe enuncjacje, można dostrzec, że pragnęli państwa opartego na filarach

odmiennych niż „Pomianowe kanony”. Odrzucają zasadę świeckości (tzn. aideologiczności państwa); akceptują wprowadzenie werdyktu kartki wyborczej, pod warunkiem wszakże, że wygrać będą „słuszne”, czyli ich racje; płaszcem regulacji otulając rynek, podważają zasadę wolnej gry sił; naukę i technikę chcą poddać ocenie ideologicznej (nie mogą one, ich zdaniem, być sprzeczne z wartościami chrześcijańskimi). Można powiedzieć, że wizji tej bliżej do wzorca „demokracji kierowanej”, niż do jej współczesnej bezprzymiotnikowej formuły. Ponieważ ich programem była władza, gotowi byli dla niej odwołać się do metod, skądinąd piętnowanych przez nich, komunistów: igrzyska zamiast chleba. Posługiwali się językiem nienawiści: zamiast przeciwnika – wróg, miast rywalizacji – walka, zamiast wygranej – polityczna eliminacja. Apelowali do zbiorowości, a nie do jednostki, bo tłumem łatwiej manipulować, niż pojedynczym człowiekiem, pobudzali emocje przywoływaniem naszych historycznych krzywd – nimi także uzasadniali aspiracje do władzy. Odpowiadali na pytania z przeszłości, ale nie umieli mierzyć się z przyszłością. „Złapali kontakt” z publicznością w latach 1990-1992; zyskując poparcie w akcie ekspiacji za, łagodnie mówiąc, niejasną postawę społeczeństwa w czasach PRL-u, utracili je, gdy nie potrafili wyjść z zaklętego kręgu przeszłości.

Reasumując. „Reformatorzy” i „bojownicy” reprezentowali skrajnie odmienne wzorce uprawiania polityki. Pragmatyczny dyskurs reformatorów, skądinąd charyzmatycznych jako osoby, którzy nie potrafili zaprezentować porywającej wizji zmian, zderzył się z ideologicznym dyskursem, personalnie bezbarwnych, „bojowników”, chcących teatralizacją polityki przesłonić brak konceptu na nowoczesne państwo. Nie można także zapominać, że modernizacja wymusza zasadniczą zmianę wzorca osobowego Polaka. W miejsce cnót rycerskich żąda cnót mieszczańskich tzn. zastąpienia etyki heroicznej – etyką przyzwoitości. Nadeszła pora na gombrowiczowski model „człowieka średnich temperatur”, co umożliwiłoby zakwestionowanie gorzkiej konstatacji Norwida: „Jesteśmy żadnym społeczeństwem, jesteśmy wielkim sztandarem narodowym”. Zatem spór dzielący wówczas te dwa segmenty postsolidarnościowej sceny politycznej miał charakter fundamentalny – wpisywał się w mocno utrwalony w naszej tradycji konflikt racji modernizatorów i zachowawców, powstańców i realistów, romantyków i pozytywistów. Obydwie strony kierowały się, w swoim mniemaniu, głęboką motywacją patriotyczną. Zatem czy ich racje były kontradiktoryjne?

Jeszcze kilka zdań o paraleli 1918–1989. W roku 1918 była nie tylko „radość z odzyskanego śmietnika”, ale także precyzyjne plany odbudowy i unifikacji ziem polskich. Z emigracji powracali uczeni z pomysłami i wiedzą o tym, co należy czynić – ten potencjał został wykorzystany. Nie było podziału na krajowców i emigrantów ani zadufania, po żadnej ze stron, zrodzonego z przeświadczenia, że to „my wiemy lepiej”. Dla jasności: ten wywód nie dotyczy świata polityki i jego potępięcych swarów, ale sfer pozapolitycznej absorpcji emigrantów.

W 1989 roku kraj był również „po wojnie”: ekonomicznie zrujnowany, znudzony intelektualnie, zniaczony moralnie. Epoka Jaruzelskiego to czas jałowego marnotrawienia sił, środków, ludzi oraz idei, a przede wszystkim wygaszania społecznej energii. I to w okresie ich niesłychanej rewolucji informatycznej i technologicznej. W kraju traciliśmy czas i energię na druk i kolportaż bibuły, podchody z esbecją oraz kombinowanie sposobów uzupełnienia przydziałów kartkowych. Choć z zewnątrz mogło to wyglądać efektownie, w wymiarze historycznym oznaczało niesłychaną stratę czasu. Dlatego, po zwycięstwie politycznym, należało zostawić historykom spory o przeszłość, a resztkę energii społecznej skierować na odbudowę i rozbudowę potencjału gospodarczego. Tymczasem rodpętano spór o trumny – bowiem pojawili się mniemani spadkobiercy Piłsudskiego i Dmowskiego, Witosa i Akcji Katolickiej, kruszący kopie o Konstytucję Kwietniową i herb państwa, rozwiązujący zagadki historyczne rozwiązane już przez... historię. Toczyła się w Polsce gra upiorna obrazów i symboli niczym w „Balkonie” Geneta. Ale nie tylko w Polsce. Oto pośród emigracji kontaktowano się, przede wszystkim, z całkowicie wyalienowanymi i bezsilnymi środowiskami politycznymi, zamiast poszukiwać kontaktu i pomocy w tych kręgach polonijnych, które odnalazły swe miejsce w społeczeństwach zachodnich. Poszukując ekspertów gospodarczych, zwracano się do specjalistów obcokrajowców pomijając fachowców polskiego pochodzenia. Nie wykorzystywano ich znajomości świata, mechanizmów gospodarczych i politycznych, a także – ich patriotyzmu. Nie idzie o to, by wybierać pomiędzy np. Jeffreyem Sachsem a prof. Sulimirskim, ale by nie rezygnować pochopnie z żadnego. Tymczasem, Polonus z reguły przegrywał z obcokrajowcem – na tym polegało marnowanie potencjału i emigracji.

IV

W latach 1990-91 ludzie „S” mogli zagospodarować całą scenę polityczną, której naturalnymi protoganistami, w naszych warunkach, powinny być chadecja i socjaldemokracja. Obecnie partie te przypominają raczej wielkie ruchy ludowe niż niegdysiejsze struktury klasowe czy ideologiczne. Z uwagi na odmienne akcenty programowe, „obsługują” one inną klientelę, ale prezentując bogatą ofertę, docierają do szerokiego elektorального spektrum. Są to „partie wyborcze”, a nie „familie ideowe”. Opis ten, za cenę symplifikacji, rysuje procesy charakterystyczne dla wzorca niemieckiego i, poniekąd, włoskiego, najbardziej zbliżonych do polskich warunków. Takie ustrukturuwanie politycznej sceny wydawało się logicznie wieńczyć „od zawsze” występujące w „S” podziały. Zatem dlaczego ten naturalny proces został zwichnięty a życie polityczne budowano według odmiennego klucza?

Aby odpowiedzieć na to pytanie, należy odwołać się nie tylko do ekonomii, socjologii, politologii, ale i do psychologii. Liderami obozu „S” byli wówczas Kuroń, Mazowiecki i Wałęsa. Nie piastując żadnej funkcji państwowej, Lech Wałęsa był najpopularniejszym politykiem w Polsce. Kuroń gromadził wokół siebie ludzi o centrolewicowej orientacji i wydawał się oczywistym jej liderem. Wokół Mazowieckiego skupiali się sympatycy chadecji. Istniały środowiska, byli liderzy, a formacje nie powstały. Dlaczego?

Silna w „S” opcja socjaldemokratyczna mogła ukształtować się w partię, jeśli by jej potencjalni liderzy, a przede wszystkim Jacek Kuroń, umieli jasno wyłożyć swe racje. Tymczasem, poza Ryszardem Bugajem, trudno było usłyszeć wyraźne deklaracje wyznawanych wartości. Wskazywano już na źródła lęku przed lewicowym samookreśleniem. Ale w polityce, oprócz subiektywnych odczuć, musi także obowiązywać zimna kalkulacja. A ta nakazywała podjąć wyzwanie czasu, jakim była odpowiedź na pytanie „kto zagospodaruje lewicowy elektorat?”. Otóż, w przypadku tworzenia formacji esdeckiej przez ludzi „S” następowałaby marginalizacja komunistów – ich formacja rozpadłaby się na twarde głowy, którzy próbowaliby zagrać bolszewickim radykalizmem, oraz na socjaldemokratyzujące skrzydło, dla którego zaszczytem byłaby kooptacja do szeregów organizacji kierowanej przez byłych opozycjonistów. Niechęć do zagrania *va banque* – zmieniła całkowicie sytuację. Widząc, że solidarnościowcy nie

chcą tworzyć nowej partii, postkomuniści (pora wyjaśnić to pojęcie. Trzeba uwierzyć wielu z nich, którzy deklarują, że nie byli nigdy komunistami. Nie dodaję – ideowymi. Ale kompartie dawno utraciły ideowe powaby na rzecz jedynej idei, która je zespałała, czyli idei władzy. W tym np. sensie Aleksander Kwaśniewski jest takim samym postkomunistą, jak Albin Siwak – obydwaj byli członkami „partii władzy”. Zatem poza wspólnotą przynależności nie łączyło ich nic więcej) wyczuli swoją szansę. I – umieli ją wykorzystać. Teraz to oni dyktują warunki gry, dlatego każda próba tworzenia nowej centrolewicy w Polsce będzie musiała odbywać się z ich udziałem. Tak oto „dojutrkowa” polityka mści się na jej wyznawcach. Co więcej, przez to zaniechanie zaprzepaszczone została wielka szansa przeprowadzenia realnej – politycznej, a nie policyjnej dekomunizacji.

W przypadku chadecji kluczowym zagadnieniem była jej ewentualna akceptacja bądź dezakceptacja ze strony episkopatu. Powstanie partii oznaczało bowiem narodziny drugiego ośrodka decyzyjnego w obrębie polskiego katolicyzmu, co zapowiadało zmierzch, charakterystycznej dla niego, dominacji duchowieństwa nad świeckimi. To oczywiście nie przysparza aprobaty episkopatu dla wariantu chadeckiego: integracji rozproszonych grup i stronnictw katolickich w zuniifikowaną partię. Oprócz, rzecz można, wewnętrznego problemu środowisk katolickich, jakim jest ustalenie hegemonia, tzn. określenie, czy środowiska te będą się gromadzić wokół opcji endeckiej czy chadeckiej, pojawia się inny problem. Jest nim „kwestia chłopska”. Chadecja mianowicie wchłaniania ruchy chłopskie, co w polskich warunkach miałoby ogromne znaczenie albowiem uwalniałoby wieś od postawy klientelizmu wobec postkomunistycznej nomenklatury ZSL-u, od swoistego skansenu czy rezerwatu, jakim, dla swojej wygody, czynią ją zeteselowscy „dobrodzieje”. Dzięki chadecji mogłoby nastąpić, być może, ponowne włączenie chłopca w krwioobieg życia publicznego. Mazowiecki, podobnie jak Kuroń, nie odważył się jednak podporządkować racji taktycznych i sentymentalnych interesom publicznym i do tworzenia partii chadeckiej nie przystąpił.

Wałęsa, z kolei, nie chciał powstania dużych ugrupowań partyjnych, gdyż, jak sądził, osłabiłyby one jego pozycję. Dlatego starał się utrudniać proces wyłaniania silnych struktur partyjnych z ruchu „S”. Z tego powodu wywołał „wojnę na górze”, która kierowała społeczną energię w pustkę. Ile dłań znaczyły kwestie programowe, jego wielbicieli zrozumie-

li wkrótce po wyborach prezydenckich, gdy zaproponował pokonanemu rywalowi, by kontynuował owocną działalność. Równie atakowany Balcerowicz, na którym podczas wieców Wałęsa i jego komilitoni nie pozostawiali suchej nitki, poproszony został o pozostanie na stanowisku i kierowanie nadal procesem transformacji. Chadeka Mazowieckiego zastąpił w końcu...liberał Jan Krzysztof Bielecki. Były to posunięcia korzystne dla Polski, ale katastrofalne dla *image'u* nowego prezydenta. O ile poprawiło to samopoczucie zwolenników Mazowieckiego, o tyle popsuło krew zwolennikom „przyspieszenia”. Wałęsa uwalniał się od nich, sygnalizował, że nie chce być ani dłużnikiem, ani zakładnikiem żadnej grupy. Chciał być – spodobała się mu ta formuła – „prezydentem wszystkich Polaków”. Ale należy pamiętać, że jest to formuła obosieczna. Z racji pełnionego urzędu prezydent jest reprezentantem państwa, ale w sprawach wewnętrznych powinien wyrażać racje tych, którym zawdzięcza swój wybór. Wznosząc się ponad wszystkich, Wałęsa utracił polityczny grunt pod nogami – zawisł w próżni społecznej. Wyzbywając się ludzi gotowych, niezależnie od oceny wartości tego programu, realizować jakąś linię programową, skazał się na współpracę z tymi, którzy związani z nimi byli nie tyle więzią ideową, ile wedle reguł charakterystycznych dla „drużyny wodza”. Zaiste, jak na niegdysiejszego wodza rewolucji i potencjalnego lidera formacji politycznej, koniec to smutny i zawstydzający. Co więcej, Wałęsa jako prezydent dowartościowywał, swoim zachowaniem, poprzednika na urządzie – generała Jaruzelskiego. Ale to już wiąże się z inną kwestią, czyli z wielką grą, jaką prowadzili wówczas postkomuniści.

Nowa struktura, którą wówczas utworzyli i nazwali tak, że jej skrót kojarzył się z SDKP, grała na trzech fortepianach. Pierwszym był pomysł stworzenia *quasi*-koalicji wyborczej – dlatego *quasi*, że naprawdę były to przeciwie segmenty jednego ruchu – nazwanej sprytnie Sojuszem Lewicy Demokratycznej. Drugim atutem okazał się, nieoczekiwanie, Wojciech Jaruzelski, który godnie grał rolę prezydenta – dyskretnie wspomagając „swoich”, okazywał zarazem wstrzeżliwie poparcie dla nowej ekipy rządzącej. Otóż, na tle Wałęsy generał jawił się wielu jako mąż stanu, aczkolwiek jego aktywność sprowadzała się przeciwie głównie do... zaniechania działalności. Ponieważ w Polsce nie lubi się zachowań, które nadmiernie odstają od wyobrażonej normy, przez kontrast zyskują ci, którzy mieszczą się w tych wyobrażeniach. Szacunek, jakim darzyła Jaruzelskiego niemała część społe-

czeństwa, wiązał się także z ambiwalentnym stosunkiem społeczeństwa do stanu wojennego. To tylko opozycjoniści wyobrażali sobie, że *gros* narodu potępia stan wojenny. W rzeczywistości aprobata i negacja dla owego przedsięwzięcia rozkładały się, mniej więcej, po równo. Tymczasem, zwycięzcy zachowywali się tak, jakby mieli po swej stronie całe społeczeństwo i sądzili, że mają społeczne przyzwolenie na rządzenie zgodne z ich wizją świata i oceną rzeczywistości. Milczenie Jaruzelskiego, obok „gry kartą sowieckiego zagrożenia” nadawało mu w oczach tych, którzy chcieli w to wierzyć, aureolę patrioty, który zrobił to, co zrobił *pro publico bono*. Dlatego nękanie go procesami sądowymi za rzeczywiste przeciwie czynki, było odbierane nie jako próba osądzenia jego postępów, ale jako zemsta zwycięzców. Skądinąd nadzwyczaj labilne zdrowie generała uniemożliwiał mu branie udziału w postępowaniach sądowych, ale nie utrudniało bynajmniej prowadzenie nadzwyczaj aktywnej turystyki politycznej. Wreszcie trzeci atut postkomunistów – Jerzy Urban i jego tygodnik. *Nie* to fenomen polskiego rynku prasowego: zewsząd atakowany, redagowany przez ekipę propagandystów stanu wojennego, jest prawdziwą lokomotywą wyborczą SLD. Na czym polegał pomysł Urbana? Mówiąc skrótowo: na połączeniu dwóch na pozór sprzecznych jakości, czyli uprawiania poważnej publicystyki językiem, który wprowadzie może razić ucho zacnego obywatela, ale którym posługuje się znaczny odłam populacji. Kabaretowe doświadczenia Urbana pozwalały mu dostrzec, że ludzie uwielbiają rechotać z wulgarnych dowcipów, dosadnego erotyzmu, swoistego jarmarcznego cynizmu. Wiedział, że jednym z kluczowych chwytów komicznych jest deminutyzacja, czyli zabieg pomniejszania zjawisk i ludzi, dlatego zastosował ten chwyt w odniesieniu do dwóch najpotężniejszych przeciwników, czyli do Kościoła i jego ludzi oraz do Lecha Wałęsy i, jak w *Nie* stale pisano, solidaruchów lub (w odniesieniu do Unii Demokratycznej) – etosiarzy. Siłą Urbana było głośne wyrażanie tego, o czym po cichu „mówiła Polska” oraz opieranie się z reguły na faktach prawdziwych, choć stosownie rekompensowanych w celu stworzenia apokaliptycznego obrazu rządów „czarnych”, aferzystów i niekompetentnych, za to aroganckich, solidaruchów. Ci, którzy atakowali Urbana, nie potrafili odpowiedzieć, skąd brała się pocztytność *Nie*. Z reguły odwoływali się do zjawisk epifenomenalnych bądź absurdalnych (sugerowali, że masowe czytelnictwo tygodnika wynika ze swoistego spisku – choć nie umieli określić, czyjego

i jakiego), pomijali to, że *Nie* daje karykaturalne, co prawda, niemniej bliskie rzeczywistości świadectwo o Polsce pokomunistycznej. Konkludując: triumf SLD w 1993 roku – 4 lata po niesławnym upadku komunizmu – byłby niemożliwy bez obalenia trzech mitów polskich – Wałęsy, Kościoła i „Solidarności”. Rolę *Nie* w tej operacji trudno przecenić.

Ale siłą sprawczą owego „cudu mniemanego” byli przede wszystkim ludzie dawnej „S”. Bez ich „pasji samozniszczenia” wysiłki zarówno Urbana, jak wszystkich innych pomniejszych ideologów starego *establishment*’u nie zdałyby się na nic. „Wojna na górze” nie tylko postawiła naprzeciw siebie dawnych przyjaciół, kiedyś liderów opozycji w walce przeciwko komunizmowi, ale ostrością i jakością ujawnionych animozji zaskoczyła nieprzygotowane na ów konflikt społeczeństwo. Ponieważ adwersarze w zasadzie przekreślali własne biografie polityczne, przeto jakby zakwestionowali swe uprawnienia do przewodzenia społeczeństwu. Ich aspiracje przywódcze były bowiem legitymowane także czystością moralną. Tymczasem zdumione społeczeństwo dowiadywało się, że opozycyjne elity obrzucają się oskarżeniami w niczym nie ustępującymi pomówieniom kierowanym niegdyś przeciw nim przez propagandystów stanu wojennego. Ergo, uprawomocniło to w pewnym sensie tę propagandę. Ciągami dalszym „wojny na górze” była „afery teczkowa” rządu Olszewskiego. Sposób realizacji zagadnienia lustracyjnego dowodził, że celu bynajmniej na stanowiło dochodzenie prawdy lub demaskacja mechanizmów totalitarnego rządzenia przez wszechwładzę policji politycznej. Naprawdę chodziło o posłużenie się wątpliwej jakości dokumentacją esbecką przeciw dawnym kolegom, by, poprzez ich dyskredytację, zapewnić sobie monopol rządzenia. W tych grach – najpierw Wałęsy, później Olszewskiego – zapoznawano kluczowy fakt: dezawuacja własnego środowiska sprowadzała je do poziomu postkomunistów, czyniła równie godnym (lub niegodnym) aspiracji do władzy.

Innym samobójczym pomysłem była walka przeciw reformom Balcerowicza. Nie dostrzegając, że sankcjonowały one odejście od PRL-u i zmianę systemu ekonomicznego, społecznego i politycznego, przypuszczono na nie szturm. Frazeologia, której „flagowymi” określeniami były: grabież społecznego mienia, bogacenie się kosztem społeczeństwa wybranych grup władzy, aferalność – przypominała język propagandy bolszewickiej sprzed 1917 roku. I stawiała pod znakiem zapytania sens odrzucenia minionego systemu.

Nasilająca się ingerencja kleru we wszystkie sfery życia

publicznego, natrętne propagowanie tzw. wartości chrześcijańskich i prawa naturalnego, które miały określać zarówno charakter instytucji, jak i porządku prawnego, zaniepokoiły tych, którzy nie chcieli, aby zastępowano jedne „słuszne idee” – innymi. Zajadła kampania antyaborcyjna, w której używano wszelkich możliwych argumentów – od ważnych po groteskowe – zakwestionowanie prawa społeczeństwa do wyrażenia swojej opinii w tej sprawie poprzez referendum (nie przyjęto do wiadomości, że tę formę weryfikacji zastosowano nawet we Włoszech, i to z wykluczeniem osób nie zainteresowanych problemem, np. zakonnic) zatrwożyło wszystkich, którzy nie chcieli, by kwestie sumienia regulowało za nich państwo. Podobnie rzecz się miała z zawartym, przy naruszeniu elementarnych reguł przyzwoitości politycznej, konkordatem. W obydwu przypadkach do obrońców standardów państwa liberalnego należał SLD.

Na tym tle negatywnie odbijała postawa UD (później przykształconej w UW). Partia, której przywódzczy trzon stanowiła elita dawnej opozycji, była wręcz predestynowana do przewodzenia zmianom systemowym. Wszakże nie wystarczało do tego deklamowanie frazesów o wyższości porządku liberalnego nad innymi. Należało dawać temu czynnie świadectwo. Tymczasem UD stawiała się coraz mniej identyfikowalna. Postępował proces jej werbalnego przesuwania się na prawo, w stronę chadeckości, miast utrzymywania pozycji liberalnej – jedynej, która uzasadniała rację jej bytu. Na prawicy było dość partii i organizacji, które obsługiwały potrzeby części społeczeństwa identyfikującej się z tą stroną politycznego spektrum. Dla UD brakowało tam miejsca. Tymczasem, nawet za cenę utraty honoru, partia ta usiłowała „kupić” zaufanie i poparcie środowisk prawicowych, które nie były, nie są i nigdy nie będą zwolennikami takiego modelu państwa i społeczeństwa, za jakim optowała UD. Właśnie – potencjalni zwolennicy coraz częściej pytali, za czym właściwie opowiada się UD. Przyjęła ona bowiem za podstawę swego działania maksymę Wałęsy: „jestem za, a nawet przeciw”. We wszystkich kwestiach ważnych dla wyznawców idei liberalnych – UW opowiadała się niezgodnie z własnym, propagandowym wizerunkiem obrońcy praw obywatelskich. W efekcie ciągłego „przesuwania się na prawo”, skąd odpychali ją ci, którzy wcześniej zdążyli objawić się jako prawica, UD nie tyle płynęła naprzód, ile osiadała na miejscu. Przez nikogo nie akceptowana, nie odpowiadająca swojemu wizerunkowi, odpychana przez tych, których kokietowała, a odpy-

chająca tych, których mogła reprezentować, UD przypominała dryfujący statek rozbitków. Na opuszczone przez nią miejsce centrowego promotora zmian wchodzić zaczyna SLD, który zręczną socjotechniką przekonuje część elektoratu centrum, że to on właśnie jest gwarantem tego, czego pierwotnie oczekiwano od UD.

Tak oto zamknęło się koło. Konsekwencją był wynik wrześniowych wyborów do sejmu w 1993 roku. Oznaczał on, że „S” i jej ludzie utracili moralne i polityczne prawo do przewodzenia społeczeństwu. „Motorniczym” w procesie przejścia od socjalizmu do kapitalizmu – stał się SLD. Oto ironia historii albo wyraz jej przewrotnej dialektyki.

Janusz Julian PLUTA

P.S.

Tekst napisany został przed 14.09.1997. Wynik wyborów nie zmienia opinii autora. Ich zwycięzca, poza szyldem, ma niewiele wspólnego z dawną „S”. Koalicja AWS–UW będzie dla Polski o tyle korzystna, o ile będzie pragmatyczna i zwrócona ku przyszłości, a nie przeszłym sentymentom.

Tekst ma charakter historyczny. Analizuje schyłkowy okres restytuowanej „S” – lata 89-93. Obalenie rządu Suchockiej oznacza symboliczne zamknięcie (którego wyrazem było opuszczenie związku przez ostatnich historycznych liderów – Borusewicza i Rulewskiego) heroicznej epoki 1980-1993. Od tej pory każdy podmiot polityczny wywodzący się z „S” reprezentuje wyłącznie siebie. Organizacja zwąca się NSZZ „S” nosi tę nazwę wyłącznie prawem inercji, będąc w rzeczywistości strukturą polityczną, której horyzont programowy wyznaczają antykomunistyczne resentymenty i Radio „Maryja”.

Być może sprawowanie władzy skłoni część przywództwa „S” do oględności i swego rodzaju pragmatyzmu – co daj Boże! Dopiero wówczas zaistnieje szansa wyłonienia prawicy budującej swój wizerunek nie tylko na bigoterii, ale na odmiennej od lewicowej wizji państwa.

Janusz Julian Pluta, ur. 1948 r. w Krakowie. Adiunkt w Instytucie Filologii Polskiej WSP. Specjalność: historia literatury oraz historia idei XX wieku. Członek-założyciel ROAD oraz, w latach 1991-1992, Unii Demokratycznej. Od 1992 r. bezpartyjny.

Książki

Wizje czasu i historii

Książka, o której chcę tutaj mówić jest książką bardzo ważną. Dotyczy sprawy, która odegrała w ostatnich trzystu latach historii rolę ważką, lecz złowróżbną. Chodzi o stosunki polsko-rosyjskie i o zagadnienie polskiej polityki zagranicznej wobec naszych wschodnich sąsiadów. To zaś znaczy dziś nie tylko – jak było w ostatnich stuleciach – politykę wobec Rosji, ale też i Ukrainy, Litwy, krajów bałtyckich, Białorusi. Cała zresztą historia Polski (z krótkimi epizodami czesko-węgiersko-turecko-szwedzkimi) rozgrywała się wokół sprawy naszych stosunków z Niemcami oraz z Rosją.

Taka jest właściwość miejsca, w którym przyszło nam żyć.

Książka ukazała się przed kilku miesiącami w Polsce, choć powstała w ścisłym związku z Paryżem i Italią. Ale tak układały się losy jej autora: świetnego pisarza, publicysty, dramaturga, krytyka, tłumacza, profesora, znakomitego znawcy literatury rosyjskiej, człowieka, który przyswoił kulturze polskiej dzieła Babla i Sołżenicyna, a także Achmatowej, Mandelsztama, Borysa Słuckiego i wielu innych wielkich pisarzy i poetów rosyjskich. Ponadto: lekarza, myśliciela, znawcy różnych gałęzi sztuki...

Innymi słowy prawdziwego człowieka Renesansu, co tłumaczy jego swobodę poruszania się pomiędzy Warszawą a uniwersytetami włoskimi, między kulturą i historią Rosji a Krakowem i Paryżem, między redakcją *Świata* (gdzie miałem okazję i przyjemność Go poznać) a Rzymem i paryską *Kulturą*.

Krótko mówiąc: Jerzego Pomianowskiego.

Ukazanie się jego książki pt.: „Ruski miesiąc z hakiem”^{*} jest wydarzeniem kulturalnym, ale ponadto – i chyba przede wszystkim – politycznym. A ponieważ rzecz dotyczy kluczowego problemu polskiej polityki zagranicznej, przeto czuję się w jakimś stopniu uprawniony do zabrania głosu na ten temat, choć moja znajomość Rosji nie umywa się do wiedzy, jaką dysponuje w tej materii Pomianowski.

Ale zanim przejdę do omówienia książki chciałbym przywołać fragment eseju, jaki na temat stosunków polsko-rosyjskich, dążeń Rosji i dzisiejszej pozycji Polski napisał inny świetny znawca sprawy, wybitny historyk ukraiński, dyrektor harwardzkiego Ukraińskiego Instytutu Naukowego i wykładowca Harvardu, profesor Roman Szporluk. Jest on wybitnym znawcą historii tego regionu. Jego esej pod tytułem „Klucze do Wschodu” ukazał się w tygodniowym dodatku „Plus Minus” dziennika *Rzeczpospolita* w numerze z 4-5 X 1997. Oto ów fragment:

„Nie wiem, czy w Polsce zwrócono uwagę na publikację w rosyjskim piśmie amerykańskim, organie Instytutu USA i Kanady Rosyjskiej Akademii Nauk („S.Sz.A. Ekonomia, politika, ideologia”, marzec-kwiecień 1997) artykułu pod tytułem: ‘O pewnych amerykańskich stereotypach na temat Ukrainy’. Autor, Siergiej Michajłowicz Samujłow, ‘zawiedujuszczym odłębny od Rosjan naród ukraiński, wymyślili w wieku XIX ‘polscy szowiniści’ i ‘podrzucili’ ją ukraińskim nacjonalistom w celu rozbicia jedności Rosji. Historyk Mychajło Hruszewski, działając jako ideolog, a nie uczony, nadal już tylko tym polskim koncepcjom naukową formę.

Nie ma znaczenia, czy p. Samujłow wie, że prace lwowskiego profesora Hruszewskiego publikowała przed rokiem 1914 Cesarska Akademia Nauk w Petersburgu. Ale o czymś bardziej poważnym chyba świadczy to, że czołowe, reprezentacyjne pismo akademickie może publikować takie niesamowite rzeczy w roku 1997. Tego rodzaju głosy pobudzają do zastanowienia, czy Rosja i Polska różnią się tylko swoim wymiarem, czy także mają bardzo odmienne wizje czasu i historii wzajemnych stosunków”.

Od siebie dodam, że wywód p. Samujłowa jest pobawiony logiki. No, bo jeśli polscy szowiniści mogli podrzucić jakąś ideę ukraińskim nacjonalistom, to znaczy, że istnieli już wtedy ukraińscy nacjonaści. A jeśli tak, to musieli oni – jak to nacjonaści – wierzyć w swą odrębność naro-

^{*} Jerzy Pomianowski: „Ruski miesiąc z hakiem”, Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 1997.

dową. Ergo, polscy szowiniści nie musieli wymyślać idei, że istnieje odrębny naród ukraiński. Ta idea wymyśliła się sama, bo naród ukraiński nie tylko istniał, ale i miał już swoich nacjonalistów. Krótko mówiąc: wywód p. Samujłowa jest bez sensu. Żaden cudzoziemiec nie jest w stanie wymyślić jakiemuś narodowi jego istnienia.

Wróćmy jednak do eseju profesora Szporluka. Pisze on dalej:

„Mamy więc zupełnie odmienne rosyjskie i polskie ‘mapy’ regionu Bałtyk-Morze Czarne. Nie ma pewności czy Rosja pogodziła się z niepodległością byłych republik radzieckich. Polska współczesna znalazła swoje miejsce, swój kształt, swoją misję w regionie i Europie. Polska nostalgia kresowa – kresy to polski odpowiednik rosyjskiego ‘bliżniego zarubieża’ – są tematem literacko-sentymalnym. Za tym nie stoi MSZ, względnie Ministerstwo Obrony Narodowej i poważni politycy nie występują z programem „kresowym”. W Rosji jest inaczej – Rosja dalej szuka swojej tożsamości i nie jest pewna, czy ma przyjąć do wiadomości niepodległe istnienie swoich nowych sąsiadów”.

Myślę, że profesor Szporluk, znakomity znawca historii naszej części świata, Ukrainiec, a zarazem gorący przyjaciel Polski, przedstawił w tym krótkim fragmencie trafny obraz dzisiejszego stanu stosunków polsko-rosyjskich, ich wielkiego skomplikowania wynikającego z nierówności poziomu demokracji (i gospodarki) w obu krajach. Zarazem też wskazał podstawową różnicę w ich położeniu politycznym. I na tym właśnie tle chciałbym przeprowadzić analizę książki Jerzego Pomianowskiego, jego poglądów na polską politykę zagraniczną, jej osiągnięcia i zaniedbania, braki i przeoczenia, szanse i porażki.

Powtarzam: książka Pomianowskiego jest książką znakomitą i potrzebną. Nie będę jednak ukrywał, że różnię się od jej autora w ocenie pewnych rzeczy, które zostały zrobione w latach 1989-97, a także głównych zadań i celów naszej polityki zagranicznej. Pragnę wyrazić podziw dla ostrości widzenia autora i dla ostrości jego pióra. Uważam jednak, że gdy mowa o tak ważnym dla Polski i Polaków temacie, zwłaszcza w rozstrzygającej chwili jaką obecnie przeżywamy, ograniczenie się do najbardziej nawet zasłużonych pochwał, a skrywanie wątpliwości – jeśli takie się pojawiają – nie byłoby w porządku.

Książka Jerzego Pomianowskiego jest dziełem niezwykle pożytecznym i potrzebnym. Dziś w Polsce mało kto zadaje sobie trud wyłożenia czytelnikom w jasny sposób jakie są jego poglądy na sytuację międzynarodową Polski. Tak w każdym razie jest, gdy chodzi o autorów, którzy znają się na rzeczy, są kompetentni i mają coś istotnego do powiedzenia; o ludzi, którzy pragną podjąć rzeczową i opartą na znajomości rzeczy rozmowę, a nie ograniczają się do popisów demagogicznych, lub dają upust swym fobiom, strachom i nienawiściom. Mam więc na myśli dzieła poważne, a nie manifesty wzywające do zamknięcia kraju, ogrodzenia go murem, zakazów sprzedaży ziemi czy wpuszczania kapitału zagranicznego, albo korzystania z obcych doświadczeń.

Owszem, ukazują się nieraz bardzo wartościowe opracowania dotyczące poszczególnych fragmentów spraw międzynarodowych. Jest ich nawet coraz więcej. Brakuje natomiast rzeczy przedstawiających przekonującą wizję świata, który nadchodzi, naszych szans, zadań i celów. Brak dzieł, które mogą zainteresować czytelników nie będących specjalistami, ale którzy w kraju demokratycznym mają wpływ na rządy i politykę. Krótko mówiąc, brakuje publicystyki międzynarodowej wysokiego lotu, brak artykułów i książek Juliusza Mieroszewskiego. Nieraz nachodzi mnie taka myśl: co napisałby on dziś? Nic więc dziwnego, że Jerzy Pomianowski często powołuje się na tego autora. Jest tak po części dlatego, że Pomianowski jest – jak był Mieroszewski – związany z kręgiem *Kultury*. Ale może bardziej jeszcze dlatego, że uważa się za kontynuatora głównej myśli politycznej Mieroszewskiego, co wielokrotnie podkreśla.

Ma do tego pełne prawo.

Wciągająca, świetnie pisana publicystyka Pomianowskiego dotyczy sprawy o szczególnej wadze: stosunków polsko-rosyjskich, a także całości zagadnień polskiej polityki wschodniej: stosunków z Ukrainą, Litwą, innymi krajami bałtyckimi, Białorusią. Tego, co Mieroszewski nazywał stosunkiem Polski do ULB.

Po drugie: „Ruski miesiąc z hakiem” jest potrzebny dlatego, że wokół polskiej polityki wschodniej po roku 1989 nagromadziło się wiele nieporozumień i jeszcze więcej demagogicznych zarzutów. W zarzutach tych specjalizowały się róż-

ne ośrodki, szczególnie zaś postkomunistyczna (i PSL-owska) opozycja parlamentarna, do której – z diametralnie odmiennych pozycji – dołączała też skrajna prawica. Politykę wschodnią atakowano na odlew nie siląc się jednak na przedstawienie rzeczowych argumentów, nie wspominając już o przemysłowych propozycjach zmiany. Pustka tej argumentacji ujawniła się w całej pełni, gdy postkomunistyczna opozycja doszła do władzy w roku 1993. Przez następne cztery lata nie przedstawiła ona w tej materii żadnej alternatywy i żadnych naprawę nowych pomysłów, jeśli nie liczyć PSL-owskich propozycji finansowania przez budżet państwa strat ponoszonych w handlu ze Wschodem przez zależne od PSL przedsiębiorstwa i banki.

Okazało się, że głośna krytyka polityki wschodniej III Rzeczypospolitej była tylko demagogią. Kryła się za nią pustka.

Nie znaczy to wszelako, że owa polityka wschodnia była nie podlegającym krytyce arcydziełem. Jestem daleki od takiego twierdzenia i dlatego uważam, że ukazanie się książki Jerzego Pomianowskiego jest ważnym wydarzeniem, a to dlatego, że jej intencją i głównym motorem jest dobro kraju. Po drugie dlatego, że jest ona oparta nie na wyborczych kalkulacjach, lecz na ogromnej wiedzy o przedmiocie, na uznaniu, a nawet miłości do wielkiej kultury rosyjskiej. Po trzecie: ponieważ stanowi ona bardzo interesującą próbę kontynuacji dzieła wybitnego myśliciela i publicysty politycznego, jakim był Juliusz Mieroszewski. Z tych wszystkich przyczyn – i z wielu jeszcze innych – „Ruski miesiąc z hakiem” zasługuje na staranną uwagę.

Ale przejdźmy do meritum sprawy. Trzy główne teksty, które otwierają książkę, to następujące eseje: „Ruski miesiąc” opublikowany w *Kulturze* w roku 1994 i przedrukowany w piśmie *Drużba Narodów* wychodzącym w Moskwie; „Ruski miesiąc w Warszawie” opublikowany w *Kulturze* w roku 1995 i „Ruski miesiąc z hakiem” zamieszczony w warszawskiej *Polityce* w roku 1996.

Pierwszy jest interesującym opisem pierwszej po latach wizyty w Moskwie – już w nowej erze, po upadku ZSSR. Tekst jest przepojony niepokojem. Rosja jest wprawdzie już inna, ale zarazem jest wciąż taka sama. Nie wyrzekła się swej historii, ani z nią nie rozliczyła, nie wyrzekła imperium, nie

dorobiła nowej tożsamości. Nie było na to dość czasu. Co gorsze, Rosja nie rozumie świata, w którym się znalazła, ani jego wyzwań. Ukształtowany w ZSSR człowiek sowiecki, „Sowok”, wciąż nadaje ton. Tylko 5% respondentów pewnej ankiety – pisze Pomianowski – chciałoby w swojej działalności gospodarczej być niezależnymi od państwa.

Pomianowski pisze: „Rosja jest ostatnim krajem, w którym schroniła się i przetrwała idea *Lebensraumu*”.

Drugi tekst dotyczy już innej sprawy. Pretekstem jest słynny incydent na Dworcu Wschodnim, kiedy to rosyjscy bandyci obrabowali rosyjskich podróżnych na polskim dworcu, a potem polska policja pobiła obrabowanych. Incydent był paskudny, policja zachowała się haniebnie. Fatalnie zachował się też rosyjski konsulat, a na koniec rosyjski premier odwołał wizytę w Warszawie. Natomiast polskie władze, robiąc dobrą minę do złej gry, usilnie starały się zatuszować incydent i wykazały przy tym wiele niezręczności – zarówno w sensie dyplomatycznym, jak i urzędniczo-administracyjnym. Nie ulega wątpliwości, że postępowanie władz w Warszawie nie mogło w nikim wzbudzić szacunku, ani uznania. Szacunku nie zyskały jednak również władze rosyjskie, które przybrały pozę i język możnowładcy krzyczącego na poddanych. Stąd zrodziły się podejrzenia, że incydent był zaplanowany. Ale tego rodzaju tony i gesty w stosunkach z Polakami rzadko przynosiły Rosji pożytek.

Trzymajmy się jednak książki Pomianowskiego. Otóż główna myśl zawarta w tym esaju nie jest dla mnie całkiem jasna. Powiem więcej: budzi obawę, że nasze myśli biegną po odmiennych torach. Albo raczej, że myślimy na innych płaszczyznach.

Pomianowski prowadzi swój wywód najpierw tak, jakby uważał, że strona polska powinna zareagować ostrzej. Streściwszy niezdarne – co prawda to prawda – poczynania polskich władz, napisał: „Decyzja, by nie wtrącać się do porachunków Rosjan z Rosjanami – to decyzja polityczna... Podjęta była zapewne rutynowo, ale w zgodzie z doktryną, która od chwili przełomu, od 89 roku jest podstawą polskiej polityki wobec Najbliższego Wschodu. Doktrynę tę sformułował minister Skubiszewski jeszcze 17 marca 1991 roku w artykule „Nowe sojusze” napisanym dla *Tygodnika Powszechnego*.

Pozwolę sobie zwrócić uwagę na tę datę. Tego samego dnia, 17 marca 1991, przeprowadzono w ZSSR (który wtedy, a jakże, jeszcze w pełni istniał) referendum. 77 procent jego uczestników wypowiedziało się za utrzymaniem ZSSR jako „federacji równych i suwerennych republik”. Było to sformułowanie, które nie odbiegało od sformułowań wciąż jeszcze obowiązującej konstytucji stalinowskiej. Trzeba jednak zaznaczyć, że referendum zbojkotowały Armenia, Estonia, Gruzja, Litwa, Łotwa i Mołdawia.

Ostatniego dnia tegoż miesiąca (31 III 91), w Moskwie rozwiązano wojskowe struktury Układu Warszawskiego. Należy jednak pamiętać, że tylko cztery tygodnie wcześniej ZSSR podpisał, jako ostatni, układ „2+4” regulujący kwestię zjednoczenia Niemiec. W Niemczech nadal znajdowały się jeszcze wojska sowieckie, ale było wiadomo, że mają się stamtąd wycofać. Stacjonowały one wszelako w najlepsze na terytorium Polski, a zamiary ZSSR w tej sprawie były nieznane. Żadne porozumienie z Polską nie zostało jeszcze podpisane, a wystąpienia sowieckich generałów były agresywne i nieprzyjazne. Pomianowski wspomina zresztą o tym.

Stąd zapewne wziął się ostrożny i w rzeczywistości niejednoznaczny artykuł ministra Skubiszewskiego w *Tygodniku*. Nadal uważam, że wystąpienie w innym tonie byłoby w istniejącej wtedy sytuacji, ze strony polskiego ministra spraw zagranicznych lekkomyślnością graniczącą z brakiem poczucia odpowiedzialności. Minister Skubiszewski miał może inne wady, ale akurat tych dwóch w żaden sposób nie można mu było zarzucić. Na szczęście.

Pisanie, że właśnie wtedy sformułowana została doktryna polskiej polityki wschodniej, której III RP trzyma się do dziś – wydaje mi się więc mało uzasadnione i nieudowodnione. Artykuł w *Tygodniku* był natomiast uzasadnionym środkiem ostrożności, z którego nie wolno dziś czynić zarzutu, byłoby to bowiem postępowanie ahistoryczne. Pomianowski nie stawia zresztą takiej tezy *expressis verbis*. Stawia ją pośrednio. Tu muszę się posłużyć dłuższym cytatem z książki:

„Praktyka i wypadki następnych lat mogły tu wnieść korekty. Jednak 13 marca 1994 r. czcigodny profesor Stanisław Stomma tenże pogląd ujął (w tym samym piśmie) w następujących słowach: ‘W te sprawy Polska absolutnie nie powinna się mieszać. We wszystkich spornych sprawach Europy Wschodniej powinniśmy być naprawdę neutralni.

Nie można dopuścić, aby uprawdopodobnione zostały głoszone w Rosji zarzuty, że Polska podsyci wszelkie antyrosyjskie, separatystyczne tendencje, jakie się w Europie Wschodniej pojawiają. Budziłoby to w Rosji wrogość do Polski, pomimo, że nie mamy żadnych interesów sprzecznych”.

Jerzy Pomianowski opatruje to następującym komentarzem:

„Są to słowa podyktowane przez najlepsze intencje, wszelako opierają się jawnie na głębokim przekonaniu, że za polską granicą wschodnią i dalej istnieje ZSSR i że wszystko co tam się dzieje, jest jego wewnętrzną sprawą”.

Zgadzam się, że mówienie iż między Polską a Rosją nie ma żadnych sprzecznych interesów było przesadą, bo nadal nie wiemy dokładnie co Rosja uważa za swój interes. Ale dalej już zgody nie ma. Obawiam się natomiast, że istnieje w tym wszystkim poważne nieporozumienie. Nieco dalej, w tym samym tekście, Pomianowski napisał: „Polska nie wykorzystwała pierwszej i jedynej od stuleci szansy, aby zmienić swoją sytuację orzecha między dwoma kamieniami”.

Otóż w tym właśnie rzecz, iż wszystko wskazuje, że Polska wykorzystała tę szansę. Rzecz nie jest jeszcze ostatecznie rozstrzygnięta, ale Polska została zaproszona do NATO i najprawdopodobniej za półtora roku zostanie przyjęta do Sojuszu. Z przyjęciem naszego kraju do NATO wiąże się nie tylko los Polski, ale i los prezydentury Billa Clintona, kanclerza RFN Kohla i dalsze istnienie Sojuszu Atlantyckiego, który z pewnością nie zdołałby przeżyć fiaska tej inicjatywy. Wielkie pytanie czy przeżyłaby to Unia Europejska. Tak więc ze sprawą poszerzenia NATO wiąże się dziś o wiele więcej i o wiele szerszych spraw, niż tylko zagadnienie takiej, czy innej polityki polskiej. Jest to sprawa przyszłego układu sił i krajobrazu politycznego w pierwszej części XXI wieku.

Piszę o tym ponieważ Jerzy Pomianowski, gdy publikował swoje teksty, najwyraźniej lekcewał tę sprawę, a może w ogóle jej nie doceniał. Na stronie 122, słusznie polemizując z Micewskim i niemądrymi koncepcjami wepchnięcia się na trzeciego pomiędzy Niemcy a Rosję, co trafnie nazywa „pogrzebem samoobsługowym”, Pomianowski wskazuje na potrzebę zbliżenia do Litwinów i komentuje to tak: „Zawsze to lepsze od czekania na zmiłowanie NATO”.

I to właśnie najwymowniej ujawnia owe nieporozumienie, o którym wspomniałem, a nawet... pewien brak realizmu. Bo choć ze wszechmiar należy popierać poprawę stosunków z Litwinami, to jednak nie zastąpi to zbliżenia do NATO.

Istota sprawy polega na tym, że Pomianowski, chcąc dochować wierności dawnej koncepcji stworzonej przez *Kulturę* i Juliusza Mieroszewskiego (która była niegdyś koncepcją niesłyszanie twórczą, odkrywczą i odważną – o czym będzie mowa dalej) postępuje obecnie w myśl cytowanego zresztą przez siebie powiedzenia Kryłowa: „A słonia nie zauważył”. Tymczasem słon historii rozdeptał Związek Sowiecki i całkowicie zmienił układ sił na świecie. Stworzył Polsce zupełnie nowe szanse.

Mówiąc najkrócej: sprawa przyszłego bezpieczeństwa Polski w wieku XXI nie leży w rękach nikogo na Wschodzie. Nawet nie rosyjskich demokratów, ani przyjaznych Polsce Litwinów, czy Ukraińców (choć powinniśmy współpracować z nimi tak ściśle, jak to tylko jest możliwe). Nie może ono zostać zapewnione ani przez Borysa Jelcyna, ani przez generała Lebedzia, ani przez nikogo, kto może się tam pojawić w przyszłości. Bezpieczeństwo Polski zależy od integracji z Zachodem.

Na szczęście wszystko obecnie wskazuje, że to jest osiągalne.

Ale tu właśnie pojawia się płaszczyzna sporu. Jerzy Pomianowski pisze w eseju „Jak pomóc Rosji”:

„Władysław Bartoszewski oświadczył niedawno, że nie należy u nas prawić oddzielnie o polityce wschodniej i polityce zachodniej, bo Polska ma tylko jedną politykę zagraniczną. Pierwszy to raz trudno mi jest zgodzić się ze słowami znakomitego publicysty i dyplomaty”.

Wydaje mi się, że zwykła logika nakazuje, by polityka stanowiła całość. Nie może ona być prowadzona na różnych polach osobno, a tym bardziej nie może być rozbieżna. Takie zresztą postulaty stawiały swego czasu – gdy były w opozycji – SLD i PSL, ale gdy doszły do władzy musiały prędko z tego zrezygnować. Teraz taka teza pojawiła się w książce Pomianowskiego, choć jest on zbyt wytrawnym publicystą, aby nie opatrzyć jej licznymi zastrzeżeniami. Wszelako dochodzi ona w książce do głosu niejeden raz. Jest tak na przykład w

kilkakrotnych krytycznych uwagach pod adresem profesora Stommy (jedną zacytowałem).

Otóż Stanisław Stomma charakteryzuje się w swej całej działalności i publicystyce tym, że traktuje polską politykę zagraniczną jako całość. Pamięta o Wschodzie i Zachodzie, o Rosji i o Niemczech. Dokonuje też trafnego, moim skromnym zdaniem, wyboru. Będąc zwolennikiem dobrych stosunków z Rosją i unikając niepotrzebnego rozbudzania jej rozmaitych drażliwości, wiele lat swego życia i pracy poświęcił wielkiemu i niezbędnemu dla Polski dziełu pojednania z Niemcami, zasypania istniejącej w tej dziedzinie przepaści. Stomma osiągnął w tej materii bardzo wiele, stał się wręcz symbolem pojednania. Nad pojednaniem pracowali polscy biskupi pisząc swój słynny list, pracował Władysław Bartoszewski, to samo robił Tadeusz Mazowiecki i tysiące innych ludzi w Polsce. Spotkało się to z mądrym, dalekowzrocznym stanowiskiem i działaniem tysięcy Niemców, wśród których czołową rolę odegrali kanclerze Brandt i Kohl, tacy politycy jak Genscher i Rühke i wielu, wielu innych. I to właśnie miało decydujące znaczenie dla otwarcia polskiej drogi na Zachód, znaczenie równie wielkie jak dla integracji Europy Zachodniej miało pojednanie francusko-niemieckie. I mieliśmy też szczęście, że zbiegło się to z korzystną dla nas orientacją polityki amerykańskiej.

Celem naczelnym polskiej polityki zagranicznej w okresie po roku 1989 było, jest i zapewne będzie zapewnienie krajowi maksymalnego stopnia bezpieczeństwa. Tego celu nie wolno podporządkować żadnemu innemu. Nie wolno też osłabiać naszych szans na Zachodzie wzniecaniem tam obaw o to, czy nasza polityka jest aby stabilna i czy czasem nie ulega mrzonkom jagiellońsko-romantycznym. Bardzo długo urabiano nam na świecie taką właśnie gębę. Niektórzy Rosjanie wciąż wmawiają światu, że ukrytym marzeniem Polaków jest rozpętanie konfliktów na Wschodzie.

Głównym polskim celem musi być bezpieczeństwo, które możemy osiągnąć tylko poprzez integrację z Zachodem. I temu celowi skutecznie, jak to widać obecnie, służyła polityka Mazowieckiego i Wałęsy, Skubiszewskiego i Bartoszewskiego, działalność Stommy i *Tygodnika*, biskupów, liberałów, a nawet, jak się w końcu okazało, byłych komunistów z Kwaśniewskim na czele.

A co z Rosją? W Rosji Polska nie znalazła dotąd takich partnerów jak w Niemczech i w USA. Rosja – co Pomianowski znakomicie opisuje – dopiero szuka swej tożsamości. Miejmy nadzieję, że zwycięży tam opcja demokratyczna, tendencja naprawy i modernizacji państwa strasznie doświadczonego przez historię – z własnej przecież, a nie cudzej winy. Ale to wszystko jest jeszcze płynne. Nikt nie wie co Rosjanie wybiorą i jaka będzie ich przyszłość. Rosyjska klasa polityczna wciąż jeszcze, zamiast zjednoczyć siły dla zahamowania spadku liczby ludności i skracania się długości życia ludzkiego, dla przebudowy i naprawy gospodarki, dla ratowania zrujnowanego otoczenia naturalnego, podniesienia poziomu życia i zdrowotności – a kryzys w tych dziedzinach osiągnął już wymiary śmiertelnego zagrożenia – próbuje wskrzeszać ideologię imperialną. Ideologię pustego prestiżu, panowania nad innymi narodami, poszerzania terytorium. Jerzy Pomianowski świetnie pisze o samobójczych tendencjach w dziejach państwa rosyjskiego, które zniszczyły carat, a później osiągnęły katastrofalne nasilenie w epoce komunizmu. Pisze o „kraju, gdzie powierzchnia miejsc zesłania była wielokrotnie większa, niż obszar dobrowolnego osiedlania”... I pisze też odkrywczo, lecz złowrogo, że „największe niespodzianki tego stulecia sprawiła światu właśnie Rosja”. Ma więc rację, gdy mówi, że świat i Polska nie rozumieją Rosji. To prawda i to źle. Ale Rosja nie rozumie świata i to jeszcze gorzej: dla wszystkich, ale zwłaszcza dla niej samej.

Celem polskiej polityki zagranicznej musi więc być uniezależnienie Polski od niespodzianek, które Rosja może jeszcze zgotować. Ale to zależy nie tyle od polskiej polityki wschodniej, co od zachodniej. Sens owej polityki zasadza się na przełamaniu trwającego od dwóch wieków podwójnego oskrzydlenia Polski, na likwidacji zagrożenia ze strony zachodniej. Szanse zaś skutecznej polityki zachodniej rosną jeśli potrafimy zachować spokój i stabilność w polityce wschodniej. Rosjanie dobrze to rozumieją i stąd wielokrotne rosyjskie próby podważenia tej stabilności, nadszarpnięcia polskiej równowagi, osłabienia odporności nerwowej. Takie próby mogą się jeszcze powtórzyć.

Trzeba wszelako zauważyć, że sytuacja w Rosji wcale nie zastygła i wciąż się zmienia – i to nader szybko. Widać to

nawet na przykładzie książki Pomianowskiego. Opiera się ona w dużej mierze na przewidywaniu kilku groźnych niebezpieczeństw. Po pierwsze: groźby objęcia władzy przez radykalny, a nawet paranoiczny nacjonalizm uosabiany w minionych latach przez Żyrynowskiego, ale przejmowany także przez wielu innych polityków (oraz pokąsną część generalicji). Po drugie: powrotu nostalgicznych sił komunistycznych prowadzonych przez Ziuganowa – antydemokratycznych, nienawidzących Zachodu i wolnego rynku, również przejmujących hasła imperialne i szowinistyczne. Pisząc w latach 1994-96 Pomianowski – podobnie jak wielu innych publicystów w Polsce i na Zachodzie – znajdował się pod silnym wrażeniem wzrostu w Rosji tendencji najniebezpieczniejszych: skrajnych, ciemnych, totalitarnych. Prawdziwej koalicji czerwono-brunatno-czarnej.

Nagły wzrost tych sił połączony z chorobą Jelcyna, coraz bardziej pogłębiającym się kryzysem gospodarczym, wojną w Czeczenii, odwrotem czy wręcz ucieczką sił demokratycznych – wszystko to robiło na świecie (i w Polsce) wrażenie nawrotu totalitarnej choroby. Świat znów poczuł obawę przed nieobliczalnością Rosji i tym, co Pomianowski nazywa jej skłonnościami samobójczymi. Było to przygnębiające widowisko.

Jednakże od tego czasu nastąpiła pewna zmiana. Nawrót dawnych przypadłości jest wciąż możliwy, ale dziś wydaje się mniej nieuchronny. Żyrynowski i jego partia wyraźnie osłabli (jak napisał *Economist* – wyszła z nich para). Komuniści Ziuganowa ustabilizowali swe wpływy – jak obliczają eksperci – na poziomie 20% elektoratu i wpływy te, jak się wydaje, powoli maleją. W rządzie przewagę uzyskali młodzi reformatorzy. Nawet generał Lebed gdzieś się zapodział. To wszystko jest oczywiście przede wszystkim wynikiem spektakularnej poprawy zdrowia Borysa Jelcyna i wobec tego, naturalną kolejną rzeczą, może się niebawem zmienić. Płynie z tego jednak wniosek, że nawrót ku przeszłości i wzrost zagrożenia ze strony Rosji nie jest nieuchronny a sprawy mogą, mimo wszystko, obrócić się na lepsze.

Główny wniosek jaki trzeba chyba z tego wyciągnąć jest taki, że w Rosji dzieją się rzeczy bardziej skomplikowane – i tajemnicze – niż to się śniło naszym filozofom. Nic nie jest tam ani oczywiste, ani przesądzone. Byłby to zatem wniosek

bardziej optymistyczny, niż przewidywania jakie wysnuwał Pomianowski. Lecz z drugiej strony... polska polityka zagraniczna nie może być oparta na założeniu, że wszystko potoczy się w sposób pomyślny. Polskie doświadczenia historyczne nie pozwalają na taką beztroskę.

Wynika z tego także, że czas publicystyczny biegnie szybciej, niż strategiczny.

Pomianowski często – niejako programowo – nawiązuje do koncepcji *Kultury* Giedroycia i Mieroszewskiego. Było to bez wątpienia wielkie osiągnięcie polskiej myśli politycznej, które zrodziło się w najtrudniejszej sytuacji, kiedy tylko najodważniejsi, najdalej widzący, najostrożniej myślący i najśmielsi mogli stworzyć program dający szanse działania i nie będący kapitulacją. Póki Związek Sowiecki nie tylko istniał, ale wydawał się potęgą mogącą podbić świat; póki obowiązywał układ jałtański; póki duża część elity umysłowej Europy Zachodniej chyliła głowy przed brutalnością, siłą i pogardą dla człowieka, uznając, że to właśnie jest postępem i przyszłością świata – ta koncepcja była dla Polaków rzeczą bezcenną.

Niosła nadzieję i tworzyła sens. Ale nie mogła oczywiście zapewnić Polsce bezpieczeństwa. Była to koncepcja historyczna, filozoficzna, cywilizacyjna. Lecz jej wartość wynikała właśnie z tego, że nadawała się do realizacji w ówczesnej sytuacji: gdy istniał ZSSR i obowiązywała Jałta. Nie była to doktryna strategiczna, którą można by uznać za główną dyrektywę działania w nowej sytuacji: gdy już nie ma ZSSR i systemu jałtańskiego.

Dziś podstawowym celem Polski musi być – ponieważ może być – zmiana systemu sojuszków, wyrwanie się z okrążenia, dołączenie do zachodniego świata rozwiniętego i zyskanie w ten sposób takiego poziomu bezpieczeństwa, o jakim od stuleci nie mogliśmy nawet marzyć.

Pomianowski ma więc całkowitą rację gdy krytykuje Andrzeja Drawicza (z którym już dziś, niestety, polemizować nie można). Drawicz powtarzał bowiem nieustannie: „trzeba zrozumieć Rosję”. Ale zbyt często sprowadzało się to u niego nie tyle do zrozumienia, co do usprawiedliwienia Rosji bez

względu na okoliczności. I tak doprowadziło go to, w szczycie wojny w Czeczenii, do ataków na jednego z najszlachetniejszych Rosjan – Siergieja Kowaliowa.

I ma rację, gdy pisze krytycznie o profesorze Bromke, który – jak to świetnie pamiętam z roku 1968 – przebywając sam w Kanadzie, drukował w ówczesnej prasie w Warszawie pouczenia dla Polaków, że należy, po pierwsze, uznać system jałtański i pogodzić się z tym, że żyjemy w sowieckiej strefie wpływów, po drugie, że należy być posłusznym rezydującej w Warszawie władzy. Na szczęście Polacy nie posłuchali profesora Bromkego.

Nie muszę też chyba tłumaczyć jak bardzo zgadzam się z Pomianowskim gdy nie szczędzi ostrych słów prawdy różnym „ideologom” skrajnej prawicy, często ludziom, którzy przyszli nie wiadomo skąd i służą nie wiadomo komu. Czasem nawet wiadomo komu, ale – choć pozują na „narodowców” – nie jest to polski interes narodowy.

Nie ma natomiast racji, gdy niesprawiedliwie, moim zdaniem, krytykuje Stanisława Stommę, który uczynił tak wiele dla zbliżenia Polski do Zachodu i dla pojednania z Niemcami. Owe pojednanie jest, w moim przekonaniu, bezcennym osiągnięciem polskiej polityki zagranicznej ostatnich lat. I to właśnie, obok przemiany stosunków z USA, najlepiej gwarantuje bezpieczeństwo Polski.

Wielką wartością „Ruskiego miesiąca z hakiem” jest otwarte postawienie sprawy naszych stosunków ze Wschodem. Zwłaszcza, że zostało to zrobione z takim telentem publicystycznym. Choć wdałem się w polemikę z niektórymi fragmentami tej książki, to chciałbym jednak bardzo stanowczo uniknąć wrażenia, że lekceważę problem polityki wschodniej i wagę stosunków z Litwą, krajami bałtyckimi, Białorusią – i Rosją. A przede wszystkim z Ukrainą. Są to wszystko sprawy o wadze ogromnej. Co więcej, w nowym położeniu, w jakim Polska się znajduje znaczenie tych spraw wzrasta. Wzrastają też polskie zadania i możliwości. Dlatego tak dobrze się stało, że ta książka ukazała się właśnie teraz.

Miałem już okazję napisać gdzie indziej (a wydawca

zacytował to na obwołucie), że z niejedną rzeczą, którą Pomianowski tutaj napisał, można się spierać. Ale w tekstach o takiej doniosłości inaczej być nie może. Są one zjawiskiem ożywczym i zmuszającym do myślenia. Większych zadań publicystyce stawiać nie można.

W sprawach o takiej wadze nie wstyd i nie szkoda się spierać.

Kazimierz DZIEWANOWSKI

Szkoda

W ostatnich kilku latach ukazało się kilka wartościowych książek dotyczących naszej emigracji. Fakt ten odnotowuję z satysfakcją. Są między nimi zarówno zbiory dokumentów jak „Protokoły posiedzeń: Rady Ministrów 1939-41”, jak i opracowania, że wspomnę jedynie „Warszawę nad Tamizą” i „Myśl polityczną na wygnaniu” pod redakcją Andrzeja Friszke. Ostatnio miałem okazję przeglądać dwutomową „Literaturę emigracyjną 1939-1989” wydaną w Katowicach. Komitet redakcyjny składa się z Józefa Garlińskiego, Zdzisława Jagodzińskiego, Ireneusza Opackiego, Marka Pytasza i Józefa Oleniczaka (redaktor prowadzący).

Oczywiście zainteresował mnie szczególnie rozdział „Piśmiennictwo historyczne (zarys problematyki)” pióra Anny Szawerny-Dyrzki i część VI „Pomiędzy językami”. Nie wiem kim jest autorka tego rozdziału, ale jeśli studiowała kiedyś historię to jej wstępne uwagi są nieco żenujące. Odkrywając różnice, przy pomocy licznych cytatów z wypowiedzi jednego z redaktorów tomu Józefa Garlińskiego, między historią dawniejszą, a współczesną, zawodowymi historykami i świadkami dziejów, Szawerna-Dyrzka szafuje cudzysłowami: „proza zsyłkowa”, „literackość”, „naukowość”, „literatura autentycz-

mu". Autorka stwierdza, że tym „co łączy te niejednorodne realizacje, jest niezmiennie poszanowanie dla faktu”. Pięknie. Następnie zaznajamia nas z działami dziejopisarstwa emigracyjnego, które dzieli na: 1. relacje uczestników wydarzeń wojennych, 2. dokumentacje historyczne i zapisy dziejów poszczególnych jednostek wojskowych biorących udział w II wojnie, 3. monografie wybitnych polityków i wojskowych, 4. ujęcia problemowe, np. sprawa Katynia, 5. „stricte historyczne, całościowe opracowania dziejów najnowszych”. Nie jest to powszechnie przyjęty podział na źródła, pamiętniki, syntezy, monografie etc. ale ostatecznie można i tak. Określenie „problematyka” jest też użyte w raczej zawężony sposób, co spróbuję wyjaśnić nieco później.

To co autorka nazywa monografiami w dziale 4 – to albo biografie: np. Machalskiego o Kutrzebie, czy gen. Kukieła o Sikorskim, albo dzieła o charakterze dokumentarnym, jak Wacława Jędrzejewicza „Kronika życia Józefa Piłsudskiego”, czy też polityczne eseje-biografie, jak Giertycha „Rola dziejowa Dmowskiego”. *Nota bene* o wiele cenniejszym od tego ostatniego jest „W szkole Dmowskiego” Tadeusza Bieleckiego. Wszystkie tu wymienione książki są pisane przez świadków historii a więc chyba pasują do działu pierwszego, z tym, że nie są konieczne relacjami wydarzeń wojennych. Podział to raczej sztuczny a pochwała czy zachęta do dążenia do obiektywizmu – poprzez przydługi cytat Garlińskiego – jest raczej banalna.

Dział 5 to, mówiąc słowami autorki, „ujęcia całościowe” czyli „opracowania o charakterze syntez historycznych”. Spora liczba książek tu cytowanych – np. Jana Brzozy, „Polski rok 1919” nie odpowiada kryterium syntez historycznych. Nie jest też w żadnym sensie syntezą bardzo cenne opracowanie przez Annę Cieniałę tekstów Józefa Becka. W jakim sensie syntezą jest „Powstanie Warszawskie” Jana Ciechanowskiego? W każdym razie autorka powołując się na Garlińskiego pisze, że jest to książka „doskonała technicznie”.

Do tych 5 działów Szawerna-Dyrzka dodaje osobną stronę (s. 120) poświęconą piśmiennictwu Józefa Garlińskiego, zajmującego „osobne miejsce w dziale ujęć całościowych”.

Na pozostałych czterech stronach autorka omawia czasopisma przynoszące „interesujący materiał dokumentarno-

faktologiczny”. Wśród nich figurują *Zeszyty Historyczne* i *Teki Historyczne*. Czy kilka nazwisk cytowanych autorów jest najszcześliwiej wybranych w sensie zarówno częstotliwości ich artykułów jak i ich wagi – to już inna sprawa. Pewną rewelacją jest natomiast stwierdzenie autorki, że „wysoki poziom pisma gwarantują drukujący tu wybitni znawcy dziejów Polski, np. Szymon Askenazy” (sic!).

Bibliografia (wybór) jest również pewnym curiosum. Na dziewięć pozycji mamy dwie Garlińskiego, nie ma natomiast raczej kluczowego artykułu Mariana Kukieła „Literatura wojskowa” ogłoszonego w: „Literatura polska na obczyźnie 1940-1960” pod redakcją Tymona Terleckiego. A przecież dotyczy on tematyki na którą Szawerna-Dyrzka kładzie taki nacisk. W gruncie rzeczy nie powinno to jednak dziwić, jeśli uświadomimy sobie czego wszystkiego nie ma w tym bądź co bądź osiemnastostronicowym artykule. Nie jest moim zamiarem przedstawienie wyczerpującej listy braków, ale ze względu na ważność samego tematu będę zmuszony wymienić pewną ilość nazwisk i dzieł historycznych.

Zacznijmy od zagadnienia kluczowego jakim jest istota dziejopisarstwa emigracyjnego. Historycy polscy znajdujący się na emigracji, zarówno ci uczeni przedwojennego starszego pokolenia jak i ci, którzy studia historyczne odbyli i praktykowali na Zachodzie, traktowali swą dziedzinę jako coś więcej niż fach. W odróżnieniu od swych kolegów w kraju, mogli pisać bez cenzury i mogli skupiać swą uwagę nad tematami, które albo były w komunistycznej Polsce tabu, albo też były zafałszowywane. Uważna lektura *Tek* i *Zeszytów* pokazuje to aż nazbyt dobitnie. Dochodził tu jeszcze inny element, równie ważny. Historycy polscy starali się trafić do czytelnika zachodniego, anglo- czy francuskojęzycznego, podtrzymując z jednej strony dawne więzy polskiej historiografii z zachodnią, z drugiej zaś prostując opinie na temat naszych dziejów pokutujące na Zachodzie. Stąd duże znaczenie publikacji historycznych zwłaszcza w języku angielskim. Rozumieli to świetnie nasi nestorzy jak Oskar Halecki czy Marian Kukiel, których najbardziej znaczące książki – metodologiczne o pojęciu Europy Środkowo-Wschodniej czy podręcznikowo-syntetyczne „Kresy zachodniej cywilizacji” czy biografia Czartoryskiego, ukazywały się po angielsku. W VI

części omawianego tu tomu nie ma ani jednej pozycji historycznej w języku angielskim a przypomnijmy, iż w cytowanym już opracowaniu pod redakcją Terleckiego artykuł Zofii Kozarynowej „Udział Polaków w literaturach zachodnich” uwzględnił m.in. pisarstwo historyczne. Tutaj autorzy zajmują się jedynie dorobkiem Pietrkiewicza, Kosińskiego, Kuniczaka oraz antologiami poezji polskiej w przekładach. W rezultacie powstaje luka, która zniekształca obraz dziejopisarstwa polskiego na emigracji. Jest to tym bardziej niezrozumiałe, iż szereg najbardziej wartościowych książek historycznych wydanych po angielsku ukazuje się obecnie w kraju w polskim przekładzie. Wynikałoby z tego, iż mają one swe miejsce w historiografii polskiej i obcojęzycznej i rodzimej.

A teraz trochę nazwisk autorów i tytułów tak polskich jak obcojęzycznych z podkreśleniem ich znaczenia. Z wydawnictw źródłowych kapitalną wagę ma „Diariusz” i „Teki” Jana Szembeka opracowane przez Tytusa Komarnickiego. Jego monograficzne i pionierskie dzieła po angielsku (odróżnienie Polski, czy polityka zagraniczna od Wersalu po Locarno ze współautorstwem Anny Cienciały) winny były być wymienione. Z suchej uwagi o „Kronice życia Józefa Piłsudskiego” czytelnik nie domyśli się jakim ewenementem było ukazanie się tej benedyktyńskiej wręcz pracy. Pozostałe o charakterze dokumentarnym edycje materiałów Lipskiego i Łukasiewicza są również ważne. Nazwisko Wiktora Sukiennickiego jest wymienione, ale nie jego dwutomowe dzieło oparte na ogromnej bazie źródłowej o Europie Środkowo-Wschodniej podczas pierwszej wojny. Pionierska praca M.K. Dziewanowskiego o dziejach polskiej partii komunistycznej nie istnieje a sam Dziewanowski, autor szeregu jeszcze innych dzieł historycznych jest *nonperson*. Los ten dzieli Edward Rózek, autor jednego z pierwszych opracowań w języku angielskim o sprawie polskiej podczas drugiej wojny światowej. Szawerna-Dyrszka nie mogła zignorować pionierskiej książki J. K. Zawodnego o Katyniu, umieszcza jednak jej późniejszy polski przekład wśród wielu wydawnictw „Spotkania” zamiast podkreślić jej międzynarodowy wydźwięk i trudności jakie musiano przezwyciężyć, aby móc ją wydać. Tytuły książek angielskich i polskich niżej podpisane – łatwe do znalezie-

nia, bo figurują w bibliografii moich prac zamieszczonej w XXX tomie „Z Dziejów Rosji i ZSRR” ofiarowanej mi jako księga pamiątkowa – jak też i nazwisko ich autora wręcz nie istnieją. Jestem jednak w bardzo dobrym towarzystwie, bo Szawerna-Dyrszka nie zauważyła również istnienia wybitnego historyka starszej generacji jakim był Henryk Paszkiewicz i wielu wielu innych.

Nonperson jest Adam Bromke, którego kontrowersyjny esej historyczny o realizmie i idealizmie w historii Polski wywołał żywe dyskusje. Jeśli chodzi o literaturę pamiątkarską to opuszczono Michała Sokolnickiego i jego dziennik ankarski oraz Władysława Günthera „Pióropusz i szpada”. Jedną jedynie książką Kajetana Morawskiego i to nie ta najważniejsza figuruje w rozdziale „Proza ‘wspominkarska’”. Historia dyplomacji jest najwyraźniej potraktowana po macoszemu, żeby wspomnieć jeszcze Jana Karskiego – również nie istniejącego w tym tomie – syntetyczne „Wielkie mocarstwa i Polska 1919-1945” wydana pierwotnie po angielsku w USA. Przyszłym autorom zajmującym się tą tematyką poleciłbym mój esej bibliograficzny w tomiku „Polish Diplomacy 1914-45” wydanym w Londynie po angielsku i polsku z przedmową Normana Daviesa.

Jeśli chodzi o okres drugiej wojny to Szawerna-Dyrszka odnotowała jedynie książkę o państwie podziemnym Stefana Korbońskiego pomijając jego wspomnienia. Tadeusz Żenczykowski jest wspomniany nawiasowo jako działacz NiD-u (w tym kontekście należało wymienić raczej lidera tegoż Rowmunda Piłsudskiego), ale nie jako autor m.in. książki o powstaniu warszawskim. Żenczykowski należy do legionu nieobecnych w „Literaturze emigracyjnej” wśród których można jeszcze wspomnieć socjologa-historyka Jana T. Grossa, czy zajmującego się tematyką żydowsko-polską Lucjana Dobroszyckiego. Jeśli do dziejopisarstwa emigracyjnego zaliczymy Andrzeja Walickiego to oczywiście jego książki nie mogą być pominięte.

W swej przedmowie do „Literatury emigracyjnej” Józef Garliński przyjmuje postawę obronną wobec ewentualnych krytyków, którzy „wiedzą lepiej” i podkreśla, iż autorami rozdziałów są „ludzie młodzi o ograniczonych środkach” nie mogący sobie pozwolić na przyjazd na Zachód. Rozumiem

trudności młodych naukowców z kraju, uważam jednak, że tym większa odpowiedzialność spada na redaktorów tych dwóch tomów. Oczywiście nie ma książek bez błędów i usterek i nikt z nas nie jest uniwersalny. Jednakże Józef Garliński, który jak pisze we wstępie zapoznał się z wszystkimi tekstami, musiał chyba zauważyć, iż artykuł o dziejopisarstwie emigracyjnym, temacie który winien mu być bliski, nie zasługiwał na zamieszczenie go bez zasadniczych uzupełnień i poprawek. Szkoda, bo wydawnictwa tego typu są nie tylko użyteczne i potrzebne, ale będę, przez lata funkcjonowały jako źródła informacji a w tym wypadku niestety i dezinformacji. Szkoda!

Piotr WANDYCZ

Dwa jubileusze Uniwersytetu Wileńskiego*

Sumptem Ministerstwa Kultury i Sztuki jezuickie Wydawnictwo Apostolstwa Modlitwy (WAM) w Krakowie opublikowało cenne materiały do historii Wszechnicy Batorowej w Wilnie wygłoszone w Warszawie na sympozjach naukowych w 1978 i 1994 roku. Akademia Wileńska miała dotąd relatywne szczęście do wydania drukiem dokumentów związanych ze swoimi jubileuszami, co wiązało się ze szczególną rangą tej uczelni jako ośrodka kultury łacińskopolskiej na ziemi litewskiej i często miało kontekst polityczny. Przypomnijmy w tym miejscu choćby „Księgę Pamiątkową ku uczczeniu CCCL rocznicy założenia i X wskrzeszenia Uniwersytetu Wileńskiego” (1929), czy londyńskie sprawozdania i dokumenty – „W dziesiątą rocznicę przerwania pracy USB”

* Z dziejów Almae Matris Vilnencis. Księga pamiątkowa ku czci 400-lecia założenia i 75-lecia wskrzeszenia Uniwersytetu Wileńskiego. Kraków 1966 SS 426. + ilustracje.

(1949). Dwa ostatnie jubileusze tego Uniwersytetu obchodzono w Warszawie – z okazji 400-lecia założenia (kilkudniowa sesja w archikatedrze św. Jana w 1978) i 75-lecie wskrzeszenia Uniwersytetu (jednodniowe sympozjum w Zamku Królewskim w 1994) – stanowią o dorobku naukowym uczelni, jej randze cywilizacyjnej na rubieżach kulturowych i zawierają obfitą część wspomnieniową uczestników obu sesji. Niektóre ze wspomnień, bardzo osobiste, mogą konfliktować i tak niełatwe stosunki polsko-litewskie, zawierają przecież realia historyczne. I dobrze się stało, że znalazły się w zbiorze. Na początku tej obszernej lektury, o dużym ładunku emocjonalnym, intelektualnym i erudycyjnym, uderzyło mnie owe znamienne dla polskich meandrów politycznych *transit loci* – nawa katedralna w 1978 i sala Zamku warszawskiego w 1994. Nie w pełni wiadomo, dlaczego organizatorzy wybrali rok 1978, skoro formalny akt fundacyjny króla Stefana Batorowego wydany został w 1579 roku i wówczas też został potwierdzony bullą Grzegorza XIII. Genezę Uniwersytetu, transformację wileńskiego kolegium SJ w Akademię SJ oraz jej pierwsze przywileje przedstawił w oparciu o materiały źródłowe ks. Paulius Rabikauskas, inicjując wraz z abp. Henrykiem Gulbinowiczem merytoryczną, naukową część sesji. Kilkanaście następujących wystąpień zaliczyć należy do wartościowych przyczynków i wspomnień odnoszących się do poszczególnych wydziałów i niektórych katedr Uniwersytetu. Tym samym historycy nauki polskiej otrzymali znaczące ilościowo i merytorycznie informacje o przedwojennym funkcjonowaniu życia naukowego w Wilnie i losach jego intelektualnej elity (np. biogram o prof. Jakubie Mowszowiczu). Okoliczności towarzyszące wskrzeszeniu uczelni w 1919, dramaturgię tamtych wydarzeń, tak doniosłych dla środowiska umysłowego Wilna, przypomniał w bardzo osobistym wystąpieniu Stanisław Stomma. Dalsze referaty kumulują impresje osobiste, lawinę faktów, liczb, szczegółów z zakresu biografistyki, wykazując prężność wileńskiego ośrodka naukowego w okresie międzywojennym. Przytoczmy w tym miejscu niektóre dane. W roku akademickim 1938/39 na Uniwersytecie studiowało około 3100 młodzieży. Najliczniejszy z wydziałów, Wydział Prawa i Nauk Społecznych, który ukończyli m.in. Stanisław Cat-Mackiewicz i Czesław Miłosz, miał ciekawy skład narodowościowy – 73% stanowili Polacy, 13% Żydzi, 7% Rosjanie, 3% Białorusini, 2,7%

Litwini. Podobne dane zawiera cytowane już wydawnictwo londyńskie z 1949 roku. W innym miejscu omawianego tomu przypomniano o nasilających się gdzieś około 1937 roku ekscesach antyżydowskich na niektórych kierunkach filologicznych (s. 88), stosowanie *numerus clausus* i psucie się ogólnej atmosfery uczelni. Fakty te jedynie potwierdzają istnienie tzw. kwestii narodowościowej nękającej kresy II Rzeczypospolitej, co znamy z licznych publikacji.

W pierwszej części tomu na uwagę zasługuje tekst *stricte* historyczny Henryka Gulbinowicza „Dzieje Almae Vilnensis w dobie Komisji Edukacji Narodowej”. Autor zebrał dostępny mu materiał źródłowy i dla przeciwwagi laickiej części historiografii polskiej, sięgającej gdzieś czasów Władysława Smoleńskiego, starał się podkreślić rolę Kościoła polskiego w dobie przełomu oświeceniowego, w tym zakresie oświaty i nauki. Zawarty w referacie materiał wzbogaca naszą wiedzę o Akademii Wileńskiej, przekształconej w 1783 w Szkołę Główną Wielkiego Księstwa Litewskiego. Trudno się jednak zgodzić z wywodem autora, iż szkolnictwo jezuickie oraz Akademia gwarantowała nadal wysoki poziom naukowy i dydaktyczny przed kasatą zakonu w 1773. Przeczą temu nowsze badania, choćby nad wkładem o.o. pijarów do nauki i kultury polskiej w XVII-XIX w. (publikacja PAN z 1993 r.). Powszecznie przyjmuje się, że pod auspicjami Komisji Edukacji Narodowej wileńska Szkoła Główna przeżywała swój renesans w zakresie nauk matematyczno-przyrodniczych, głównie astronomii. Henryk Gulbinowicz nie podważa tych opinii, ale i nie podbudowuje nowym materiałem faktograficznym. Raczej rozmywa innymi szczegółami. Uwaga autora, iż wileńska Szkoła Główna w „wieku światła” kładła nacisk na wychowanie patriotyczne i przedkładała utylitaryzm – wiązanie nauki z życiem – nad prace teoretyczne, jest konkluzją nader słuszną. Materiały drukowane z pierwszego jubileuszu Uniwersytetu Wileńskiego (s. 215) wskazują, iż sesja w archikatedrze warszawskiej była przede wszystkim osiągnięciem naukowym, któremu podporządkowano resentymenty.

Zamkowe sympozjum z 11 października 1994, dokładnie w 75-lecie wskrzeszenia Uniwersytetu dekretem Naczelnika państwa i nadania mu imienia Stefana Batorego, jest uzupełnieniem jubileuszu z 1978. W ciągu jednego dnia wysłuchano około dwudziestu (!) referatów, komunikatów naukowych i głosów w dyskusji. Ks. Ludwik Piechnik z SJ we wnikliwy sobie sposób przedstawił dwa pierwsze wieki

istnienia Akademii Wileńskiej. Warto w tym miejscu przypomnieć trwały konflikt obu uczelni, wileńskiej i krakowskiej, obronieniem się tej drugiej przed utworzeniem jeszcze w XVI w. w jej murach katedr prowadzonych przez jezuitów. Autor dostrzegł na niwie oświaty rywalizację między polskimi jezuitami a pijarami. Dwa kolejne wystąpienia odniosły się do sedna sympozjum – wskrzeszenia Uniwersytetu. Piotr Łossowski przedstawił restytucję uczelni w 1919 i jej brutalne rozwiązanie przez władze litewskie w grudniu 1939 roku. Głos litewskiego historyka Sigitasa Jегевісiуса był przypomnieniem faktów, których strona polska dotąd nie dostrzegała. Autor omówił próby utworzenia w Wilnie litewskiego uniwersytetu w 1918 roku. Trudno nie zgodzić się z konkluzją tego uczonego, iż uwarunkowania militarne i polityczne lat 1918-1919 zadecydowały o powstaniu na ziemi etnicznie litewskiej, w mieście gdzie działała Państwowa Rada Litewska, uniwersytetu polskiego. Był on do 1939 roku narzędziem polityki i nie służył interesom państwa litewskiego (s. 246). Dobrze się stało, że w tej naszej narodowej chwale o misji cywilizacyjnej na dawnych kresach i smutnych wspominkach części uczestników sympozjum dało się usłyszeć odmienny punkt widzenia, chociaż uproszczony. Kilku referentów przedstawiło w wartościowych przyczynkach powojenne losy rozproszonej po kraju i świecie kadry naukowej Batorowego Uniwersytetu. Wstrząsającą okazała się relacja o męczeńskiej śmierci ostatniego rektora USB Stefana Ehrenkreutza w enkawudowskim więzieniu na Łukiszczach w marcu 1945, której świadkiem był 19-letni akowiec, też więzień. Algis Kasperavicius z Wilna przypominał postać Mariana Zdziechowskiego, profesora USB, uczonego humanisty o wymiarze europejskim oraz jego archiwum (około dwa tysiące jednostek archiwalnych), które stanowi depozyt miejscowej biblioteki uniwersyteckiej i było zamknięte w tzw. specchranach w okresie sowieckim. Przypomniano, iż Marian Zdziechowski (1861-1938) głosił pesymizm filozoficzny i katastrofizm, przepowiadając zagładę kultury europejskiej przez system komunistyczny. Inny komunikat z zakresu biografistyki, z większym naciskiem na spuściznę epistolarną, a zwłaszcza na omówienie obszernego Dziennika (1894-1932) Ferdynanda Ruszczyca, artysty i dziekana Wydziału Sztuk Pięknych Uniwersytetu, przedstawił jeden z potomków rodu Ruszczyków. Zasygnalizowane na sympozjum materiały biograficzne mają zapewne znaczenie

dla przyszłych badań szczegółowych. Mnie zaniepokoiły elementy pewnej wyniosłości w niektórych wystąpieniach, zwłaszcza w dyskusji, co kolidowało z obiektywnym wywodem naukowym i rangą konferencji na Zamku. Można wątpić, czy USB był np. bardziej „otwartą i europejską wszechnicą” lub bardziej „integrującą wielonarodową populację” (s. 250) od innych uniwersytetów polskich. Także podkreślane szczególnie dowody międzynarodowego uznania dla USB mieściły się w normach przyjętych dla innych ośrodków, zaś omal światowe „dziedzictwo” – USB, a właściwie tragiczne rozproszenie wileńskiego środowiska naukowego z powodu wojny – zostało przesadzone. Choć nie ulega wątpliwości, że ośrodek intelektualny Wilna wpłynął w poważnym stopniu na powstanie życia akademickiego Gdańska, Torunia, Łodzi czy Białegostoku po 1945. W przypadku Torunia i Łodzi przypomniano o tym w odrębnych komunikatach. Z materiałów poświęconych warszawskiemu symposium jubileuszowemu 1994 należy przypatrzeć się tym fragmentom, które mogą mieć wpływ na rozwój stosunków polsko-litewskich w postsowieckiej Europie środkowo-wschodniej. W przypadku symposium na Zamku zwrócić należy uwagę na krótkie wystąpienie Juliusza Bardacha, absolwenta USB i ucznia Stefana Ehrenkreutza. Profesor Bardach zrelacjonował swój udział w grupie dziesięcio-osobowej uczonych polskich na trzydniowej konferencji naukowej litewsko-polsko-węgierskiej w Uniwersytecie Wileńskim we wrześniu 1994 z okazji 460 rocznicy urodzin Stefana Batorego, twórcy Akademii Wileńskiej i 415 rocznicy jej założenia. Autor podkreślił życzliwość władz uczelni dla strony polskiej, rzetelność i obiektywizm uczonych litewskich w badaniach dziejów Uniwersytetu, również tych trudnych do zaakceptowania dla strony litewskiej, tj. lat 1919-1939. Przypomniał swoją rozmowę z rektorem Rolandem Pawilionisem o przekształceniu katedry polonistyki Uniwersytetu Wileńskiego w Instytut Studiów Polonistycznych na wzór działającego już Instytutu Skandynawistyki. Przynajmniej, iż dotąd (1997) zamierzenia te nie zostały zrealizowane i zachodzi obawa, czy nie zostały zlekceważone przez decydentów politycznych z obu stron. Nadal mamy w Wilnie sytuację raczej patową – istnienie od 1991 roku w Wilnie efemerydy, polskiego uniwersytetu bez formalnego przyzwolenia władz republiki, bez stałych pomieszczeń i wysoko kwalifikowanej kadry naukowej.

Parytet racji naszych i litewskich powinien być zachowany. Juliusz Bardach słusznie zauważył np. – w uroczystościach warszawskich uczestniczyło dwóch uczonych litewskich, w wileńskich tegoż 1994 roku było dziesięciu historyków polskich. Podjęta przeze mnie problematyka bilateralności polsko-litewskiej była na symposium jubileuszowym w Warszawie skromnym marginesem wobec całego wkładu intelektualnego i merytorycznego jego uczestników i próbą zebrania wartościowych wspomnień osób, które już odchodzą. Wysoki poziom konferencji zapewnili wybitni konsultanci naukowcy (A. Gieysztor, P. Łossowski, I. Stasiewicz-Jasiukowa). Przyznaję jednak, że materiały w Księdze pamiątkowej odnoszące się do jubileuszu Uniwersytetu Wileńskiego z roku 1978 (pod patronatem prymasa Stefana Wyszyńskiego) spodobały mi się bardziej ze względu na umiar i spokój w ferowaniu ocen wcale nieostatecznych. Przyznaję za redaktorami i wydawcami omawianego tomu, że drukowane pokłosie obu jubileuszów obchodzonych w Warszawie przyczynią się wydajnie do syntetycznego ujęcia dziejów Uniwersytetu Wileńskiego i losów jego rozproszonego środowiska naukowego. Niedużą część tej syntezy już wykonał Kazimierz Puchalski (Gdańsk) w trzeciej, ostatniej części Księgi pamiątkowej. Autor opracował kilkaset związanych biogramów studentów, absolwentów i pracowników naukowych USB. W nocy wydawniczej tej części Księgi zapowiedziano pełniejsze, jeśli nie kompletne wydanie biogramów i autobiogramów osób związanych z losami wileńskiej wszechnicy. Będzie to zapewne świadectwo wzruszające o ludzkim przemijaniu, tak jak wzruszający jest materiał ikonograficzny zamieszczony na końcu Księgi pamiątkowej.

Lesław GRUSZCZYŃSKI

Notatki Redaktora

Można powiedzieć, że w obecnej chwili „Polska nie-rządem stoi”. Klecenie przez p. Krzaklewskiego nowej koalicji, trudności z wyłonieniem rządu, gdzie z aptekarską dokładnością trzeba zaspokoić apetyty licznych koalicjantów zachowując swoją dyktatorską władzę. Do tego ustępująca koalicja wszystkie palące sprawy zostawia następcom, zajmując się obsadzaniem strategicznych, długoterminowych stanowisk masowymi nominacjami, które legalnie będzie trudno zmienić. Aparat administracyjny, niepewny swojej przyszłości, boi się podejmowania ważniejszych decyzji. Gdy ten zeszyt *Kultury* ukaże się, będziemy już mieli rząd, ale upłynie dużo czasu zanim zacznie on normalnie funkcjonować. Mrowie partii i ugrupowań, z których składa się nowa koalicja, będzie chciało realizować słynne TKM p. Kaczyńskiego. Rząd zaś nie ma konkretnego planu działania z wyjątkiem może prof. Gremka jeśli idzie o politykę zagraniczną i Balcerowicza w dziedzinie gospodarczej. Pytanie, czy Balcerowicz będzie mógł go realizować, gdyż w obsadzie ministerstw gospodarczych są jego zdecydowani przeciwnicy. I te wszystkie przepychanki uprawia się, kiedy mamy dramatyczny strajk głodowy w szpitalach, który zagraża życiu ludności, kiedy szerzy się bandytyzm i przestępczość przy bezradności policji, i kiedy zbliżająca się zima grozi ludności na terenach popowodziowych, pozbawionej mieszkań i podstawowych warunków egzystencji. Pisałem o tym w swoich „Notatkach” we wrześniowym numerze *Kultury*. Jak widać, bez skutku.

W tym długotrwałym okresie przejściowym nie było wiele miejsca na dyskusje programowe, ale uderza, że prawie nic nie było jeśli idzie o obsadę Ministerstwa Edukacji Narodowej i Ministerstwa Kultury i Sztuki.

Nieprzyjemnym incydentem było zawieszenie ukradkiem krzyża na sali sejmowej. Nie było to potrzebne, ale dlaczego nie zrobiono tego jawnie? Taki wniosek by niewątpliwie przeszedł bez trudności. Ta prowokacja, bo trudno to inaczej określić, w stylu Radia Maryja, miała zapewne – jak liczone – wywołać reakcję żydomasonów: nie udała się, a zostawiła osad niesmaku.

Otrzymałem list od ministra Siemiątkowskiego następującej treści:

Warszawa, dnia 01.10.97

Zgodnie z wcześniejszym zobowiązaniem mam przyjemność przekazać Panu kserokopie kolejnych dokumentów, przechowywanych w archiwum Urzędu Ochrony Państwa, które dotyczą działalności Instytutu Literackiego w Paryżu oraz związanego z nim środowiska.

Są to głównie materiały osób kontaktujących się z pracownikami Instytutu podczas pobytu na terenie Francji oraz upowszechniających *Kulturę* w Polsce.

Kwerenda archiwalna, mająca na celu odnalezienie materiałów pozostających w Pana zainteresowaniu, prowadzona w Biurze Ewidencji i Archiwum Urzędu Ochrony Państwa, została już zakończona. Udostępniono Panu kserokopie wszystkich dokumentów, które w świetle aktualnego stanu prawnego można było udostępnić. Pozostałe materiały ze względu na operacyjny charakter oraz obowiązujące przepisy o tajemnicy państwowej nie mogą zostać udostępnione.

Chciałbym równocześnie Pana poinformować, że z inicjatywy Prezydenta RP Pana Aleksandra Kwaśniewskiego zostanie zgłoszony do laski marszałkowskiej projekt ustawy o udostępnianiu obywatelom Rzeczypospolitej Polskiej materiałów archiwalnych wytworzonych przez b. organy bezpieczeństwa państwa w latach 1944-1990. Wyrażam przekonanie, że prace legislacyjne zostaną szybko zakończone i wspomniana ustawa pozwoli na szeroki dostęp do materiałów archiwalnych.

Łączę wyrazy szacunku.

Z. Siemiątkowski

Tak jak poprzednio, dostarczone mi „materiały” ilustrują jak policja polityczna w sposób nieudolny, ale z ogromnym nakładem pracy, zajmowała się inwigilacją ludzi podejrzanych już nie tylko o kolportowanie *Kultury*, ale ją posiadających. Zjawisko naprawdę żenujące. W dalszym ciągu stoję na stanowisku, że należy usunąć absolutnie wszystkich pracowników służb specjalnych i odbudować je na nowych zasadach. Jeśli nawet wśród nich znajdowali się dobrzy specjaliści, to albo byli związani ze służbami sowieckimi albo amerykańskimi, bo takie powiązania są długotrwałe. Zbyt wiele jest symptomów działalności służb rosyjskich mających na celu destabilizację Polski. Ci ludzie są poza tym zdemoralizowani i wykorzystywani do rozgrywek wewnętrznych. Nie mówiąc już o tym, że są gadatliwi i uprawiający autoreklame, jak np. wystąpienie w telewizji warszawskiej 25-go października br. o ich wyczynach w Iraku w okresie „wojny pustynnej”. I proszę nie argumentować, że będziemy w okresie reorganizacji „bezbronni”. Jesteśmy w okresie, kiedy nic nam specjalnie nie zagraża i ma się rozumieć operację taką trzeba przeprowadzić błyskawicznie. Największym zagrożeniem poza własną głupotą jest zły wywiad.

W paryskiej Sorbonie jest Centre des Recherches sur l'Histoire des Slaves kierowany przez prof. D. Beauvois. Ostatnio postanowiono zmienić nazwę na Centre d'Histoire Russe et Soviétique. Na skutek tego już nie będzie mowy o innych Słowianach nawet symbolicznie.

Jest to niepokojąca ilustracja polityki prezydenta Chiraca zbliżenia z Rosją i stworzenia osi Francja-Niemcy-Rosja.

W każdym razie ta decyzja Sorbony powinna spowodować protesty ze strony polskich, ukraińskich i białoruskich historyków.

REDAKTOR

Polemiki

Inność Rosji

Nie jestem znawcą Rosji ani rusofilem. Nie ulegam rusofobii. Byłem raz jeden w Moskwie, przez kilkanaście dni, znałem wielu Rosjan poza Rosją – obserwacje moje czynione są więc z pozycji *outsider'a*. Za to – jako *outsider* właśnie – interesowałem się zawsze rozwojem wypadków w Rosji. Z przekonania, iż mają one wielkie znaczenie dla Polski, a także dla reszty świata. Zdaję sobie oczywiście sprawę, że uwagi czynione z takiej perspektywy mają ograniczoną wartość, jednocześnie jednak jestem świadom, iż *dystans i wyważenie* są jej mocną stroną.

Celem niniejszej wypowiedzi jest stwierdzenie, że zawsze miałem i – w miarę postępu czasu – mam coraz większe kłopoty z zaakceptowaniem „inności” Rosji i Rosjan, jako istotnego elementu spojrzenia na nich czy ich oceny. Zdałem sobie z tego znowu sprawę czytając kolejny odcinek – jak zawsze świetnych – „Zapisków sołowieckich” Mariusza Wilka w czerwcowym numerze *Kultury* (Nr 6/597).

Teza o „inności” Rosji i jej mieszkańców nie jest nowa, ale stanowi ona podstawową myśl tego eseju. Dla jej podkreślenia autor rozpoczyna od motta, w którym przytacza wypowiedź Dostojewskiego z 1873 r., iż Europejczycy t.j. cudzoziemcy tej „inności rosyjskiej”... „długo jeszcze nie będą... rozumieć, ani w obecnych ani w przyszłych pokoleniach”. W opowiadaniu Wilka symbolem tej „inności” jest *ruska bania* – mikrokosmos społeczeństwa rosyjskiego, poligon studiów duszy rosyjskiej i sposobu myślenia Rosjan – dla obcych nie do przeniknięcia.

W krótkiej analizie zasadności tej tezy, a także jej konsekwencji, zaczniemy od stwierdzenia, że owa inność Rosjan nie ulega żadnej wątpliwości. Tak samo jak inność Koreańczyków, Meksykańczyków, czy mieszkańców Egiptu,

Albanii, Anglii czy Japonii. Problem z innością Rosji polega jednak na tym, iż w wielu wypowiedziach nabiera ona *mistycznego charakteru*, co z jednej strony jakoś *a priori* ją nobilituje, a z drugiej implikuje jej *niepoznawalność*. Nie trudno zgodzić się z faktem, iż w obu wypadkach uznanie takiej *inności* wiąże się z niebezpieczeństwem błędnego spojrzenia na bardzo wielki kraj i naród, który – jako taki – będzie miał zawsze wpływ na losy świata.

Dostojewski i inni mistycy rosyjscy chętnie podkreślali rzekomą specyfikę duszy swego narodu i niemożność jej zgłębienia przez cudzoziemców. Ale przecież zjawisko, iż ludzie Zachodu nie potrafili zrozumieć tego, co widzieli w Rosji nie powinno było być zaskakujące. Wielkość Rosji, jej ekonomiczne i społeczne zacofanie, musiały wytworzyć *zwyczaj i sposób myślenia* zupełnie różne od tych, jakie w ciągu wieków wykształciły się w Europie. Fakt, że w naszym już stuleciu właśnie Rosja przeszła wielką rewolucję i stała się *połem doświadczalnym* nowego *komunistycznego* ustroju pogłębił jeszcze bardziej niemożność zrozumienia współczesnej już mentalności *homo sovieticus*. Niepokojące jednak są – wcale liczne – bieżące wypowiedzi podkreślające mistyczną inność Rosji i jej narodu i podnoszące tę rzekomą cechę do rangi *wartości moralnej*, która może się stać wzorem dla innych narodów lub nawet dla świata. Aleksander Sołżenicyn w swej roli proroka jest najpoważniejszym eksponentem czy rzecznikiem tej postawy. Ale w pewnym sensie jest ona zaraźliwa. Nawet tak doświadczony i chodzący po ziemi obserwator jak nasz Ryszard Kapuściński w swym świetnym „Imperium” daje temu wyraz. Podkreślając wielkie paradoksy Rosji, którą zjechał wzdłuż i wszerz, choć widzi on przyszłość Rosji optymistycznie i stwierdza, że „ogólne prawo rozwoju ludzkości odnosi się z pewnością i do Rosji”, kończy Kapuściński swą książkę cytatem z Lwa Tołstoja: „Jedziemy Bóg wie dokąd i Bóg wie, co się z nami dzieje”.

O inności Korei opowiadał mi niedawno znajomy inżynier, który pojechał tam w celu przeprowadzenia skomplikowanych rozmów technicznych. Otóż w czasie oficjalnego obiadu, koreański kolega chciał jakoś nawiązać rozmowę i zadał mu pytanie: „A jaki jest kształt grobów Pana przodków”? Mój znajomy zupełnie zaskoczony dopiero po pewnym czasie dowiedział się, że w kulturze koreańskiej właśnie kształt grobu ma jakieś znaczenie. Ale nawet taka inność nie przeszkadza, że Korea Południowa z zacofanego,

biednego kraju przekształciła się w ciągu ćwierćwiecza w światową potęgę przemysłową. Eksportuje na cały świat statki, maszyny i wszelaki sprzęt, a w Warszawie uruchamia dużą fabrykę samochodów.

Jung Chang w swej słynnej książce „Dzikie łabędzie”, nagrodzonej w 1992 r. na przykładzie swej rodziny opisuje inność Chin. Składa się na nią postać jej babki z tradycyjnie skrzepowanymi stopami, która jeszcze w 1924 r. była konkubiną-niewolnicą generała-tyrana. Drugim elementem jest saga jej rodziców-komunistów będących budowniczymi, a następnie ofiarami okrutnego reżymu Mao Tse Tung. Jung Chang mieszka w Anglii, lecz podróżuje do Chin, w 1989 roku była nawet świadkiem narastających demonstracji na placu Tiananmen. Mimo kontynuacji – jak dotąd – dyktatury komunistycznej w Chinach, ich „inność” ulega jednak stałej ewolucji czy erozji. Ogromna część towarów, które kupuje się dziś w Ameryce, czy Australii pochodzi z Chin. Od konfekcji, zabawek, prostych narzędzi do skomplikowanych maszyn i wszelkiej elektroniki.

Rewolucja w sferze informacji i łączności, fax, komputer, telefon i globalizacja gospodarki w każdej dziedzinie czy części świata prowadzi do drastycznego *zmniejszania inności*. Tak w odniesieniu do procesów technologicznych jak i w stylu życia i sposobu myślenia. Nie mamy więc podstaw, aby owej *rosyjskiej inności* rokować długą czy „świetlaną” przyszłość. Mamy już tego wiele bieżących przykładów. W kwietniu 1996 roku (*Kultura* Nr 4/583) Leopold Unger w „Widziane z Brukseli i z...Moskwy” omawia znamiona powolnego utrwalania się demokracji w Rosji. Wszyscy pamiętamy nasze zdziwienie kiedy na ekranach telewizyjnych oglądaliśmy udział i zachowanie się obywateli Rosji w pierwszych w tym kraju demokratycznych wyborach, po upadku Gorbaczowa i ZSSR. Ci przysłówiowi zacofani, *inni*, „ludzie sowieccy”, korzystali ze swoich uprawnień wyborczych w dojrzały sposób, zupełnie przypominający ich zachodnich „braci”. Krwawa wojna w Czeczenii, na którą wysłano także najmłodszych poborowych, pociągnęła za sobą zorganizowane protesty ich matek, na pewno nie inne, niż te, które – z tych czy innych powodów – oglądaliśmy w Europie Zachodniej czy np. w Argentynie. Otwarcie granic, wolna prasa, penetracja zachodniego kapitału wystawiły Rosjan na wpływ i „korupcję” ze strony wartości i stylu życia obowiązujących dziś w wolnym świecie. Konsumeryzm, swoboda

seksualna, praktyki religijne – wszystko to musi wpływać niwelująco na ową inność Rosji. Miliony Rosjan, którzy przyjeżdżają na handel i pracę na czarno do Polski nie „rażą” bynajmniej swoją innością. Emigranci rosyjscy, których obserwujemy na Zachodzie także nie wykazują jakiegś mistycznej mentalności. Znamy ich typowe cechy (np. sentymentalizm), lub zwyczaje (np. pijaństwo), ale nie składają się one na jakąś niezrozumiałą „inność”, a już z pewnością nie posiadają jakiegś godnej podziwu czy naśladowania mistyki. Na niedawnym dorocznym festiwalu filmowym w Sydney oglądaliśmy doskonały film o wojnie w Czeczenii pt. „Kawkazki plennik” (ang. „Prisoner of the mountains”), w reżyserii Sergeia Bodrova. Świetnie zarysowane postacie Czeczeńców i żołnierzy Rosjan nie wykazywały żadnej inności. Były one dla australijskiej widowni całkowicie zrozumiałe i film ten został uznany w głosowaniu widzów za najlepszy na festiwalu.

Rosja boryka się i będzie się nadal borykać z ogromnymi problemami. Podźwignięcie kraju z ruiny gospodarczej, uratowanie znacznych obszarów od katastrofy ekologicznej, stworzenie warunków współżycia różnych narodów i grup etnicznych w duchu demokracji – to zadania gigantyczne. Kiedy i w jakiej kolejności nastąpi postęp w ich rozwiązaniu nie sposób przewidzieć. Wyraźny, choć może bardzo jeszcze powolny wydaje się jednak trend: od „inności” do normalności.

Niezależnie więc od tak specyficznej i niezrozumiałej dla innych „instytucji” jak ruska bania, uznawanie mitycznej inności rosyjskiej utrudnia tylko bieżącą ocenę skomplikowanych często zjawisk społecznych czy postaw ludzkich. Prowadzić ono może do niebezpiecznych błędów czy uproszczeń w ich diagnozie. Dlatego proponuję patrzeć dziś na Rosję w kategoriach sprawdzonych na doświadczeniach innych krajów i postuluję *zdemitologizowanie Rosji i narodu rosyjskiego*.

Sydney, 20 lipca 1997

Jerzy Boniecki

Na marginesie artykułu Jerzego Bonieckiego

1.

„Kraj ów, to całkiem inny świat i sądzić o nim nie sposób, uprzednio go nie poznawszy dokładnie”.

Joseph de Maistre, z listu do pani Saint-Real, 22.08.1806

Inność Rosji to wiązka osobliwości jej bytu: geograficznego, historycznego, ekonomicznego, politycznego, etc. Podkreślam: wiązka, bo każdą z owych osobliwości z osobna można znaleźć i gdzie indziej. Rozpatrzmy kilka z nich.

Po pierwsze: osobliwość geograficzna. Już Kluczewskij podkreślał znaczenie geograficznego położenia Rosji i wpływ geografii na jej historię. „Historycznie, rzecz jasna, to nie Azja, ale geograficznie to niezupełnie Europa. Innymi słowy, to ziemia przejściowa, pośredniczka między dwoma światami”. Czy Korea, czy Chiny, o których pisze Boniecki, to Azja i tylko Azja, zaś Anglia, czy Czechy, to Europa i tylko Europa – jakby na to nie patrzeć. Natomiast Rosja ni to Europa w pełni, ni Azja do końca, i dlatego nie sposób do niej przykładać kategorii „sprawdzonych na doświadczeniach innych krajów”. Zwłaszcza, iż do osobliwości geograficznych Rosji należy zaliczyć jej rozmiar, a raczej bezmiar, którego żadna skala nie pomieści.

Po drugie: osobliwość historyczna. Tenże Kluczewskij pisał, że „historia Rosji jest historią kraju, który się kolonizuje”. (Zaś cudzoziemscy podróżnicy dodają – na przykład de Custine – iż nie tylko się kolonizuje, ale i innych podbija: „Rosjanie, niczym społeczności starożytne, chcą podbić świat i nim rządzić”). Cóż, rosyjski historyk miał zapewne na myśli proces kolonizacji Północy, gdzie tajga, tundra i wieczna zmarzlina niszczą dzieło człowieka: giną szyny kolei żelaznej, kruszą sztolnie, dewastują kanały, zarastają baraki

zeka... i dlatego trzeba wciąż od nowa ją zagospodarowywać. Czy Anglia, czy Francja, kolonizując to Afrykę, to Amerykę, korzystały z pracy kolorowych niewolników, natomiast w Rosji swoich smerdów do tyrania zaprzęgano. W końcu państwa Zachodu zrezygnowały z kolonii, a Rosja ciągle się jeszcze kolonizuje. Do dziś.

Po trzecie: osobliwość ekonomiczna. I raz jeszcze Kluczewskij, u którego czytamy, że już w Kijowskiej Rusi „niewolnictwo było tak prawnym, jak i ekonomicznym źródłem ruskiej własności ziemskiej, a ruscy kupcy słynęli na wschodnich bazarach swym żywym towarem – niewolnikami”. Później, kiedy Rosja skierowała ekspansję na Północ – tam tylko tundra, błoto i gnus – jedynie rabstwowym trudem można było zagospodarować owe bezludne obszary. „Rosja jest jedynym krajem, gdzie wzniesiono budowle, podobne starożytnym, bo ludzie tu, to raby i kosztują nie więcej, niż główka czosnku, jak w Egipcie” – pisał Charles Masson, francuski guwernant, o stolicy Rosyjskiego Imperium pod koniec XVIII wieku. I Sankt-Petersburg zbudowano na kościach poddanych, i kolej murmańską, i kanał Białomorski. Żaden kraj na świecie nie *ugrobił* przymusową pracę tylu milionów własnych obywateli.

Po czwarte: osobliwość polityczna. Większość cudzoziemców podróżujących po Rosji zauważało niezwykle despotyzm, odróżniający ją od reszty świata. Herberstein pisał o Wasylu III, iż władzę przerasta innych monarchów i „trudno powiedzieć, czy dzikość narodu wymaga takiego despotyzmu, czy też despotyzm sprawił że ów naród tak zdziczał?” A legat papieski, Antonio Possevino, twierdził, iż tyrania Iwana IV przypomina jedynie władzę azjatyckich chanów. Późniejsze relacje cudzoziemców pełne są porównań Rosji do ogromnej tury, a jej poddanych dzielą na tych, którzy tyrają i tamtych, którzy tych pilnują. I niejeden podróżnik tu wzdychał, jak de Maistre: „Cóż, każdy naród ma taką władzę, na jaką zasłużył”. A jednocześnie, ten sam de Maistre pisał: „Nie ma innego takiego kraju, gdzie by było tyle sprzeczności, jeden powie, że to ostatnie stadium rabstwa, drugi – że pełna swoboda, i obaj mają rację”. Czyż to nie osobliwe?

Można jeszcze wspomnieć o osobliwościach kultural-

nych i religijnych, związanych z przyjściem na Ruś chrześcijaństwa w języku bułgarskim, i odcięcia jej, tym samym, od tradycji antyku; a potem ze schizmą, która zablokowała dostęp na Ruś idei europejskiego Renesansu, otwierając, zarazem, drogę mistycznym praktykom hezychazmu, co z kolei zaowocowało pewnymi osobliwościami w ruskiej sztuce, lub, szerzej, w ruskiej duchowości. Nie należy też zapominać o osobliwościach tutejszego klimatu, tudzież landszaftu, mających wpływ na życie codzienne Rosjan, ich obyczaje, stroje, jadło, innymi słowy: na ruski byt. I raz jeszcze podkreślam: *inność* Rosji tkwi w tym, że wszystkie wyżej wymienione osobliwości występują razem, w jednej wiązce.

2.

„Wszystko, co w Rosji zwraca naszą uwagę, wszystko, co się wokół nas dzieje, przeraża swoją niezmiennością...”

Astolphe de Coustine, Rosja w roku 1839

Ba, powie Boniecki, ale wszystko, co wyżej, to przeszłość, natomiast dziś: „Rewolucja w sferze informacji i łączności, fax, komputer, telefon i globalizacja gospodarki w każdej dziedzinie czy części świata prowadzi do drastycznego *zmniejszenia inności*. Tak w odniesieniu do procesów technologicznych jak i stylu życia i sposobu myślenia”. Wystarczy, wedle Bonieckiego, przeczytać relację Ungera z Moskwy...

Otóż to: Rosja widziana z Moskwy, czyli Rosja zredukowana do Moskwy – najczęstszy błąd korespondentów. I obserwatorów. Błąd, polegający na niedowiedzeniu geograficznych osobliwości rosyjskiego państwa, również dziś. Jego nieobjętości, jego *głębiny* i jego błot niedostępnych. Jaki fax, jakie komputery, kiedy we wsiach prądu nie ma? Jaka informacja, jaka globalizacja, kiedy samoloty przestają latać, poczta przestaje chodzić, a cała Daleka Północ wymiera, bo transport morski był zdechł? Ot, wieś Kuzomień na Terskim brzegu, w której pobywałem w ubiegłym roku. Zrobili biznes z Japończykami, tak zwany „barter”: my im łososia, oni nam video Sony i telewizory Hitachi. I teraz siedzą przed pustymi ekranami, już drugą zimą, bo ropy nie dowieziono i elektrownia nie pracuje.

Z Moskwy nie widać także historycznej osobliwości Rosji. Jej północnych kresów, które wciąż od nowa trzeba zagospodarowywać, bo jakże wywieźć węgiel, drewno, czy apatyty, kiedy dróg brak, a wodą się nie opłaca. Jak złoto wydobyć, kiedy posiołki wymierają i rąk do roboty nie ma? Ot, Białomorkanał, zbudowany na polecenie Stalina, miał skrócić (aż czterokrotnie) drogę z Leningradu do Archangielska, miał dać Karelii moc elektryczną, miał być aortą przemysłu drzewnego. I co? Zbudowany w rekordowym tempie i nadwyzczaj oszczędnie (zamiast stali i betonu – drewno, kamień i piasek), dzisiaj butwieje, osypuje się i wymaga remontów, wciąż od nowa.

A osobliwość ekonomiczna Rosji: bezpłatny, rabski trud. Dzisiaj, kiedy zabrakło zeka, a armii do pracy zagonić nie sposób, znalazło się wyjście najprostsze – w ogóle zaprzestano płacić. Pracownicy służb komunalnych na Sołowkach, dla przykładu, nie widzieli wypłaty od maja zeszłego roku. I siedzą cicho, jeśli nie liczyć wkurzonego Żeni Kozłowa, który co jakiś czas próbuje naród zbuntować. Lub inny przykład: Warzuga. Tam rządzi naczelnik kołchozu, były politruk z Północnej Floty, który nie tylko nie płaci muzykom, ale ich żony *trachajet*, wychodząc z założenia, że wszystko, co kołchoźniane, do niego należy: i ziemia, i smerdy, i baby smerdów. Ciekawe, w jakim cywilizowanym kraju to możliwe?

Wreszcie osobliwości polityczne dzisiejszej Rosji. Te nawet w Moskwie gołym okiem widać, wystarczy się znaleźć, przypadkiem, w polu obstrzału rywalizujących band. Jeszcze Szałamow ostrzegał przed przenikaniem praw *blatnego mira* do świata naszej codzienności. I oto, stało się. Jedni nazywają to *rekiem*, inni mafią. Poszeptują już o *worach w zakonie* w strukturach władzy. Rośnie ilość tzw. *otmorożennych*, czyli tych, którym wojna mózgi odmroziła i którzy gotowi są na wszystko. Innymi słowy, dzisiejsza Rosja przypomina więzienie, w którym strażnicy z bandytami się zbratali i razem biją *frajerów*, czyli nas z wami. A *frajerzy* wzdychają do „silnej ręki”, bo lepszy był wczorajszy łagier, niż dzisiejszy bardak.

O innych osobliwościach kiedy indziej.

3.

„Przeto uważam, miły Książę, iż dla uważnego obserwatora nie ma dziś większej i ciekawszej areny do oglądania, niżli Rosja, pod jednym wszak warunkiem – że się tutaj żyje”.

Joseph de Maistre, z listu do księcia Kozłowskiego, 24.10.1815

Cóż, pozostaje moja bania – do wyjaśnienia. Jerzy Boniecki raz ją odczytuje jako „symbol rosyjskiej inności”, to znów widzi w niej „specyficzną i niezrozumiałą dla innych instytucję”. Przy tym zarzuca mi mitologizację rosyjskiej inności, ba, i nawet o mistyce *à la Dostojewski* wspomina w swym szkicu. A ja do bani myć się chodzę, raz w tygodniu, i tyle. I napisałem o niej, że może być metaforą Rusi, nie zaś... jej inności. Bo jeśli uważniej przeczytać mój tekst, to wyjdzie, iż to właśnie *outsider*, czyli mój przyjaciel z Polski, ów fotograf-reporter, mówi o Swidrigajłowie i o wieczności, i jeszcze o samej bani rozповіда, choć jej na dobrą sprawę nie widział. Nie przypadkiem Charles Masson zauważył, w „Sekretnych zapiskach o Rosji”, iż trzeba żyć tu z dziesięć lat, języka się nauczyć, obyczaje poznać, zgłębić dawne latopisy, i obecne plotki, by cośkolwiek sensownego o Rosji powiedzieć. W przeciwnym razie dzieje się tak, jak z moimi polskimi przyjaciółmi, rzeczy postrzegają, miast rzeczywistości.

Mariusz WILK

POLSKA I WSCHODNI SĄSIEDZI

23.7.97

Zarząd miejski w Aleksandrowie Kujawskim nadał tytuł honorowego obywatela miasta p. Marii Danilewicz Zielińskiej.

15.9.97

W czasie VIII Krajowych Targów Książki w Warszawie, organizowanych przez Ars Polonę, kapituła Nagrody Sezonu Wydawniczo-Księgarskiego przyznała nominację do Nagrody Ikar 97 księgarni Stanisława Korczyńskiego w Wilnie za „propagowanie książki polskiej wśród czytelników polskich i litewskich, za umiejętność łączenia funkcji społecznych z powodzeniem rynkowym”. Następne nominacje do tej nagrody otrzymali: prof. historii Janusz Tazbir i Wydawnictwo Literackie w Krakowie.

20.9.97

Tegoroczne nagrody im. Kościelskich zostały przyznane Oldze Tokarczuk za powieść „Prawiek i inne czasy” (Wyd. WAB, 1996) oraz Andrzejowi Sosnowskiemu za całokształt dotychczasowej twórczości poetyckiej.

25.9.97

Zmarła w Domu Artystów Weteranów Scen Polskich w Skolimowie Maria Modzelewska, gdzie spędziła ostatnie lata życia po 55 latach pobytu na emigracji. Znakomitej aktorce scen warszawskich i filmu poświęcimy osobne wspomnienie w jednym z najbliższych numerów *Kultury*.

10.10.97

Prof. Stefan Kozak, kierownik katedry ukrainistyki Uniwersytetu Warszawskiego, został odznaczony przez prezydenta Ukrainy, Kuczmę, Orderem Zasługi.

19.10.97

Nagrodę NIKE, nową nagrodę literacką w Polsce, przyznano książce Wiesława Myślińskiego „Widnokrąg”.

20.10.97

Leszek Kołakowski otrzymał doktorat honoris causa Uniwersytetu Gdańskiego. Doktorat przyznano za „wkład w rozwój filozofii, obronę praw człowieka i wskazanie perspektyw dotyczących badań filozoficznych”. ■ W Polskim Pen Clubie w Warszawie odbyło się spotkanie panelowe pt. „Kultura w mediach politycznych” z udziałem Stefana Bratkowskiego, Ireneusza Krzemińskiego, Rafała Marszałka, Stefana Morawskiego i Andrzeja Wajdy.

21.10.97

W Mińsku miało miejsce poświęcenie odbudowanej katedry. W uroczystości wzięli udział kard. Kazimierz Świątek z Białorusi, specjalny wysłannik papieża, kard. Szrot; z Polski prymas Glemp, abp Gulbinowicz; z Moskwy abp Kondrusiewicz. Byli również przedstawiciele władz państwowych i patriarchatu prawosławnego. W tym samym dniu odbyło się otwarcie kursów języka, kultury i cywilizacji polskiej zorganizowanych przez Instytut Polski w Mińsku. W kursach bierze udział 60 słuchaczy, przeważnie są to Białorusini – lekarze, prawnicy, humaniści. Chwilowo zajęcia prowadzone są w 6-ciu grupach dwa razy w tygodniu po dwie godziny. Dwie pierwsze godziny będą wypełnione filmami video i TV Polonia, zaś kolejne dwie godziny wykładami z kultury i historii związków między Białorusią a Polską. Wykłady są prowadzone w języku białoruskim. Ponieważ zainteresowanie kursami okazało się bardzo duże, będą organizowane następne grupy słuchaczy.

4.11.97

Na Uniwersytecie Warszawskim miało miejsce Międzynarodowe Sympozjum Naukowe na temat: „Polsko-Ukraińskie pogranicze kulturowe” zorganizowane przez Katedrę Ukrainistyki UW, Polskie Towarzystwo Ukrainoznawcze, Międzynarodową Asocjację Ukraińców oraz Międzynarodowe Towarzystwo im. Szewczenki.

ZACHÓD

10.10.97

W Centre du Dialogue w Paryżu prof. Witold Kieżun, wykładowca na uniwersytetach w Filadelfii, Montrealu oraz Quebecu wygłosił odczyt na temat „Nowoczesność społeczno-ekonomicznych koncepcji Jana Pawła II”.

18.10.97

Zbiórka na pomoc dla powodzian prowadzona przez specjalny komitet Kongresu Polonii Kanadyjskiej osiągnie prawdopodobnie wysokość 1 mln dolarów kanadyjskich. Wysłano już 230 tys. do Caritasu polskiego oraz ok. 300 tys. na odbudowę całkowicie zniszczonej miejscowości Olbrzychowice k/Kłodzka. ■ Związek Polaków w Kanadzie, największa organizacja polonijna, obchodzi 50-lecie powstania. Jubileuszowy zjazd odbył się 10-go października w Toronto.

23.10.97

Staraniem Towarzystwa Historyczno-Literackiego w Bibliotece Polskiej w Paryżu odbył się odczyt p. Elżbiety Virol o Gabrieli Zapolskiej jako polskiej aktorce końca XIX w. w Paryżu.

30.10.97

Tegoroczne nagrody Instytutu Józefa Piłsudskiego w Nowym Jorku otrzymali biznesmen Bill Bresnan, pisarz Ryszard Kapuściński, astronom Bohdan Paczyński i historyk Janusz K. Zawodny. Nagrody Instytutu mają charakter honorowy. Laureaci otrzymują pamiątkowe medale.

4.11.97

W Stacji Naukowej PAN w Paryżu odbył się odczyt dr Bolesława S.Szostakowicza na temat: „Główne problemy historii Polaków na Syberii od XVII do końca XIX w.” Dr Bolesław S.Szostakowicz wyklada na Państwowym Uniwersytecie w Irkucku i jest wiceprzewodniczącym Polskiego Stowarzyszenia Kulturalno-Oświatowego „Ogniwo”. Poprzednio w Stacji Naukowej PAN prof. Andrzej Hryniewicz wygłosił odczyt pt. „Dwa oblicza energii atomowej”.

6.11.97

W Księgarni Dobosz w Paryżu miał miejsce wernisaż prac Joanny Wierusz oraz wyświetlenie filmu Grzegorza Dubowskiego poświęconego twórczości artystki.

Kronika australijska

W Australii, jednym z najbardziej imigracyjnych krajów na świecie, gdzie powstaje wielokulturowy naród, na podstawie ponadetniczności (taki naród istnieje w Szwajcarii), utworzona została partia polityczna z programem zarzucenia polityki wielokulturowości. Partia ta, założona i kierowana przez byłą posłankę Partii Liberalnej Pauline Hanson, wzywa także do ograniczenia pomocy dla tubylczej ludności – Aborygenów i wstrzymania imigracji, zwłaszcza z Azji. Nowa partia polityczna przyjęła nazwę Jeden Naród. Po początkowych sukcesach, w związku z populistycznymi hasłami, kiedy sondaże badania opinii publicznej określały poparcie dla tej partii na czternaście procent, w końcu roku 1997 to poparcie spadło poniżej dziesięciu procent. Wszystkie australijskie stronnictwa polityczne, zarówno w rządzącej koalicji, jak i będące w opozycji, potępiły powstanie i działalność ugrupowania politycznego Jeden Naród. Do świadomości australijskiego społeczeństwa dochodzi również większe zrozumienie, że wielokulturowość jest już stałym zjawiskiem w Australii, że izolacja od Azji grozi bankructwem ze względu na bardzo szerokie ekonomiczne powiązania z tym rejonem. Dla przykładu – znaczna większość australijskiego eksportu idzie na azjatycki rynek a Japonia jest największym partnerem handlowym Australii. ■

W roku finansowym 1996/97 przybyła do Australii rekordowa liczba turystów – ponad cztery miliony. Najwięcej było turystów z Japonii a następnie z Nowej Zelandii, Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych.

■ Australia, jako jedyny kraj na świecie, zajmuje obszar całego kontynentu (siedem milionów, siedemset tysięcy kilometrów kwadratowych, z ludnością liczącą obecnie osiemnaście milionów). Według ostatnich obliczeń statystycznych, jedna osoba na dwadzieścia jest urodzona w Azji. Przeciętna długość życia dla mężczyzn określana jest na 75,4 lat a dla kobiet 81,1 lat; umieszcza to Australię (w przeciętnej długości życia) na jednym z najwyższych miejsc na świecie, przed Kanadą, Włochami, Nową Zelandią i Stanami Zjednoczonymi. ■ Dużym i znaczącym wydarzeniem dla australijskiej Polonii jest wydanie książki w języku angielskim o Sir Pawle Edmundzie Strzeleckim – podróżniku, geologu i badaczu australijskiego kontynentu (między innymi zdobył on – jako pierwszy – najwyższy szczyt Australii i nazwał go Górą Kościuszki). Ponad dwadzieścia nazw geograficznych w Australii powiązanych jest z osobą Pawła Edmunda Strzeleckiego; noszą jego nazwisko lub zostały nazwane przez niego. Jest on najbardziej znanym i zasłużonym Polakiem w historii Australii. Książka pod tytułem „Sir Paul Edmund de Strzelecki, reflection on his life” ukazała się w dwusetną rocznicę jego urodzin. Autorem książki jest historyk australijskiej Polonii Lech Paszkowski (autor m. in. książek: „Polacy w Australii i Oceanii, 1790-1940” i w języku angielskim „Poles in Australia and Oceania, 1790-1940”). Polska nie może poszczycić się wieloma odkrywcami i zdobywcami nowych lądów, którzy uzyskali światową sławę; wśród nich bezsprzecznie zajmuje pierwsze miejsce Paweł Edmund Strzelecki. O Strzeleckim ukazało się szereg biograficznych książek w języku angielskim, w polskim, m.in. Wacława Ślabczyńskiego „Paweł Edmund Strzelecki”. Promocja książki odbyła się staraniem Australijskiego Instytutu Spraw Polskich i z udziałem federalnego ministra imigracji i spraw wielokulturowych Philipa Ruddocka. ■ W sprawozdaniu prezesa Rady Naczelnej Polskich Organizacji w Australii Ryszarda Majchrzaka, opublikowanym w melbourniejskim *Tygodniku Polskim* podane zostało, że australijska Polonia zebrała ćwierć miliona dolarów na powodzian w Polsce. ■ W Polsce ukazała się antologia poezji i prozy polskiej w Australii, pt. „Zielona zima”, wydana przez Norbertinum w Lublinie. Jest to pierwsza tego rodzaju antologia. W antologii, w opracowaniu poetki polskiej z Australii Ludwiki Amber, zebrane zostały utwory dwudziestu pięciu autorów. W „Zielonej zimie” są różnorodne utwory literackie – poezja, proza, eseje i przekłady z literatury australijskiej. Książka zawiera również noty biograficzne autorów. ■ Zakończyła się kadencja Agnieszki Morawińskiej, jako ambasadora RP w Australii. Wywodzi się z solidarnościowych środowisk, z wykształcenia jest historykiem sztuki, była wiceministrem kultury i sztuki w rządzie Krzysztofa Bieleckiego. W

okresie jej urzędowania jako ambasadora, nastąpiło duże ożywienie i rozwój w stosunkach handlowych między Australią a Polską. Australijskie inwestycje w Polsce mają obecnie wartość sześciuset milionów amerykańskich dolarów i Australia mieści się w grupie większych zagranicznych inwestorów w Polsce (inwestycje te obejmują głównie produkcję piwa, napojów chłodzących, opakowań, materiałów budowlanych oraz telekomunikację). ■ Nowym ambasadorem RP w Australii został 46-cio letni Tadeusz Andrzej Szumowski. W latach osiemnastu pracował naukowo w Instytut d'Etudes Politiques w Paryżu, pracę w Ministerstwie Spraw Zagranicznych podjął w roku 1990; ostatnio był wicedyrektorem Departamentu Azji, Afryki, Australii i Oceanii. Zna języki – angielski, francuski i rosyjski. ■ W wydawnictwie „Ossolineum” we Wrocławiu została wydana „Historia Australii” profesora Wiesława Olszewskiego. Uwagę zwraca brak proporcji w opracowaniu tematu: dwieście pięćdziesiąt stron zajmuje okres do końca drugiej wojny światowej, a historia powojenna tylko dwadzieścia siedem, mimo że w tym okresie miały miejsce w Australii wielkie przemiany w wielu dziedzinach. Nie ma nic o polityce wielokulturowości ani nazwiska polityka Arthura Calwella, który w dużej mierze przyczynił się w końcu lat czterdziestych do pierwszego w historii Australii masowego napływu emigrantów i to z różnych krajów. Nie ma nazwiska profesora Jerzego Zubrzyckiego, najbardziej w australijskiej Polonii znanego i poważanego. Prof. Zubrzycki znany w środowiskach politycznych, naukowych i społecznych był architektem polityki wielokulturowości. Największe zastrzeżenia budzi ostatni rozdział książki pt. „Polonia i Polonica”. Brakuje tutaj, jako źródła informacji, podstawowej pracy z dziejów Polonii, wydanej w roku 1987 przez Australian National University Press wyżej wymienionej książki Lecha Paszkowskiego „Poles in Australia and Oceania, 1790-1940”, owocu trzydziestu lat poszukiwań. Oto kilka przykładów do sprostowań. Założyciele polskich skupisk w południowej Australii, w miejscowościach Tanunda i Polish Hill River nie wywodzili się ze Śląska ale głównie z Wielkopolski. W „Historii Australii” na str. 279 jest wzmianka o „słynnym wyczynie polskich lotników: majora Adama Karpińskiego i konstruktora Stanisława Rogalskiego. W roku 1935 startując z lotniska w Poznaniu na samolocie ‘Niebieski Ptak’ pokonali oni trasę do Australii i z powrotem, co było wówczas ogromnym wyczynem”. Jak było naprawdę można dowiedzieć się również z wymienionej książki Lecha Paszkowskiego. Lotnicy polscy nie dolecieli do Australii, ale rozbili się w dżungli na Półwyspie Malajskim i wrócili do Polski na parowcu. Joseph Conrad (Korzeniowski) bywał w Australii nie tylko jako kapitan „Otago”, ale również na trzech innych statkach. Na stronie 174 znajduje się ilustracja, pod którą czytamy, że Kapunda była ważnym ośrodkiem wydobywania miedzi w Wiktorii. Kapunda jednak nigdy nie była w tym stanie, ale w Południowej Australii.

Jerzy GROT-KWAŚNIEWSKI

Listy do Redakcji

Paryż, 27.10.1997

Szanowny Panie Redaktorze,

W moim artykule „Latem ósmego roku”, zamieszczonym w *Kulturze* nr 10/601, na str. 3, znalazł się następujący tekst:

„Jedną z przyczyn są fundacje i konkursy. Fundacje na ogół pomagają autorom krajowym, zwłaszcza początkującym, a konkursy obdarzają najczęściej autorów zagranicznych, przede wszystkim amerykańskich...”

który zniekształcił moją myśl. Oryginalny tekst brzmiał:

„Jedną z przyczyn może być struktura rynku, gdzie fundacje i konkursy są dla krajowych autorów, zwłaszcza początkujących, a rynkowy obrót dla zagranicznych przebojów, najczęściej amerykańskich, co oczywiście nie sprzyja rozwinięciu wartościowej lokalnej produkcji”.

Łączę pozdrowienia

R. KACZMAREK

Warszawa, 3 września 1997

Szanowny Panie Redaktorze,

Udało nam się zebrać większość nazwisk osób, które pomogły w przeprowadzeniu ankiet wśród młodzieży (brakuje jedynie informacji odnośnie Kielc).

- Jan Olenowicz (VI LO im. T. Reytana, Warszawa)
- Maria Cizek (XXXVII LO im. J. Dąbrowskiego, Warszawa)
- Anna Grajewska, Witold Dąbrowski (II LO im. S. Batorego, Warszawa)
- Danuta Matyjasik, Jan Grondko (Zasadnicza Szkoła Zawodowa im. M. Konarskiego, Warszawa)
- Zofia Miecznikowska, Jan Dąbrowski (Białobrzegi i mniejsze miejscowości).

Uprzejmie prosimy o zamieszczenie tych nazwisk, z podziękowaniami, przy jednym z tekstów poświęconych młodemu pokoleniu. Z góry dziękujemy.

Samanta STECKO
Tomasz JASTRUN

KSIĄŻKI

Kazimierz Dziewanowski:	<i>Wizje czasu i historii</i>	117
Piotr Wandycz:	<i>Szkoda</i>	131
Lesław Gruszczyński:	<i>Dwa jubileusze Uniwersytetu Wileńskiego</i>	136

NOTATKI REDAKTORA	142
-------------------	-----

POLEMIKI

Jerzy Boniecki:	<i>Inność Rosji</i>	145
Mariusz Wilk:	<i>Na marginesie artykułu Jerzego Bonieckiego</i>	149
—	<i>Wydarzenia miesiąca</i>	154
Jerzy Grot-Kwaśniewski:	<i>Kronika australijska</i>	156
R. Kaczmarek, S. Stecko i T. Jastrun:	<i>Listy do Redakcji</i>	159

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE

91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.

Commission Paritaire N° 60789.

Dépôt légal: 4^{ème} trimestre 1997.

Akredytowany korespondent Kultury w Rosji:

**Mariusz Wilk, Primorskaja 15, Archangelskoj obl.,
164409 SOŁOWKI**

Skład komputerowy: MacWire Diffusion.

Imprimé en France.

KULTURA

REDAKTOR: JERZY GIEDROYC

**Adres Redakcji: 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 Maisons-Laffitte – Telefon 01-39-62-19-04
Fax: 01-39-62-57-52**

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	roczna
Ceny na rok 1997			
AFRYKA POŁUDNIOWA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
ARGENTYNA: «Libreria Polaca», Serrano 2076, 1425 Buenos Aires	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
AUSTRALIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
AUSTRIA: Księgarnia Polska, 1070 Wien, Burggasse 22. Tel.: (1) 52-63-114	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
BELGIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
BRAZYLIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
DANIA: O.T. Zalewski, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
FRANCJA: do nabycia w redakcji «Kultury» i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
HOLANDIA: Barbara Malak-Minkiewicz, Reguliersgracht 46/II, 1017 LS Amsterdam. Tel.: (20) 62-61-623	Fl h 20,00	Fl h 110,00	Fl h 210,00
IZRAEL: Księgarnia Polska, E. Neustein, 94, Allenby Rd., P.O.B. 29443, 61239 Tel-Aviv. Tel. i fax: (3) 5606311	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
KANADA: Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.Q. J4W 1S5. Tel.: (514) 465-2362; Baltazar Krasuski, 8, Neilor Crsc., Etobicoke, Ont., M9C 1K4; Księgarnia Polska w Ottawie, Andrzej Lifsches, 512 Rideau Street, Ottawa, ON K1N 5Z6, tel.: (613) 789-8260, fax: (613) 789-1051; Z. Micherdziński, 285-287 Ottawa St. N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8, tel.: 545-2115	\$ can.13,00	\$ can.75,00	\$ can.140,00
NIEMCY: Kubon & Sagner, Buchexport-Import, Hessstr. 39/41, D 80328 München, tel.: (089) 54-21-80; Księgarnia Wawel, Stephanstr. 11, 5000 Köln, 1, tel.: 0221/24-61-60	DM 17,00	DM 100,00	DM 185,00
NORWEGIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
SZWAJCARIA: Krystyna Wasung, 27, rue de la Fontenette, 1227 Carouge/GE. Tel.: 343-05-84	F.S. 15,00	F.S. 90,00	F.S. 160,00
SZWECJA: Wojciech Luterek, Regnstigen 14-6 Tr., 171-46 SOLNA. Tel. (08) 83-13-33. PG-KONTO 614 87 10-4.	Sk 85,00	Skr 450,00	Skr. 850,00
U.S.A.: Ada Dziewanowska, 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; St. Kwiatkowski, 4749 W. 11 St., Cleveland OH, 44109, tel.: (216) 351-8219; POLONIA Bookstore, 4738N Milwaukee Avenue, Chicago, IL 60630, tel. (773) 481-6968; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347, Chene Street, Detroit, Mich. 48211; Szwede Slavic Books, 2233, El Camino Real, Palo Alto, Cal. 94302, tel.: (415) 327-5590 & 851-0748; Księgarnia «Nowego Dziennika», 333, West 38th Street, New York, N.Y., 10018, tel.: (212) 594-2266	\$ US 11,00	\$ US 60,00	\$ US 116,00
WIELKA BRYTANIA: Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London SW5. ORD. Tel.: (171) 370-2210	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
WŁOCHY: Elżbieta Zahorska, 00183 Roma, via Gallia 60 Int. 27. Tel.: (06) 77-20-15-58	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00

**W krajach nie wymienionych prenumerata roczna – F. 600; półroczna – F. 320.
Przesyłka pojedynczego numeru – F 6,00.**

**Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe.
INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,
par 78600 MAISONS-LAFFITTE – C.C.P. PARIS 18-228-56 W (z Francji)
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 B (z zagranicy)**

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA «KULTURY»

Tom 498

ANNA SUPRUNIUK – MIROSLAW A. SUPRUNIUK

BIBLIOGRAFIA

„KULTURA” (1988-1996)

„ZESZYTY HISTORYCZNE” (1988-1996)

DZIAŁALNOŚĆ WYDAWNICZA (1988-1996)

Str. 464

Cena F. 200,00

Tom 500 – ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT

STO DWUDZIESTY PIERWSZY

zawiera opracowania: A. Grzywacz: *Wojna obronna Polski 1939 roku w relacji polskiego sztabowca*; K. Bieniecki: *Współpraca SOE z NKWD i Polacy*; T. Wyrwa: *Studium Polski Podziemnej w Londynie*; A. Ziółkowska Boehm: „*Złamana strzala*”. (Rozmowa z Januszem Żurakowskim, legendarnym „Żurą”, pilotem Bitwy o Anglię i Arrow); R. Socha: *Wszystkie teczki „Bolka”*; *Marszałek Rydz-Śmigły a Ministerstwo Spraw Wewnętrznych Proces Taterników*; *Deklaracja polsko-ukraińska z 1979 r. na tle historycznym* *Relacja o śmierci Marszałka Piłsudskiego*; *Zaznałam w życiu tyle dobroci. (Z Mychajłyną Kociubynską rozmawiają Bogumiła Berdychowska i Aleksandra Hnatiuk)*; Z T. Wierzbicki: *Antoni Peretiatkowicz 1884-1956*; T. Wyrwa: *Od Napoleona do De Gaulle’a*; E. Halicz: *Problem Niemcy-Polska*; T. Mianowicz: *Oceny i zalecenia: Wizyta Michaiła Susłowa w Warszawie w kwietniu 1981 r.*; M. Rudzki: *Winietki drugiej okupacji i emigracji*; J. Słubicki: *Katedra historii Polski na Kanadyjskim Uniwersytecie oraz LISTY DO REDAKCJI*.

Str. 240

Cena F. 90,00